ROK XVII NR 42 (883) 17 PAŹDZIERNIKA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

REKOMENDACJE

W pierwszym rzędzie chcielibyśmy zwrócić uwagę Czytelników na więcej niż interesującą, bo przede wszystkim ważną, wypowiedź arch. WITOLDA MILLO. Chcemy tym głosem rozpocząć wybiegającą daleko w przyszłość dyskusję nad przyszłym kształtem naszego miasta. Zapraszamy do niej przedstawicieli środowisk twórczych, urbanistów i architektów, inżynierów, ekonomistów, działaczy politycznych, kulturalnych i gospodarczych. Oczywiście nie z mniejszą satysfakcją drukować będziemy wypowiedzi tzw. zwykłych mieszkańców Łodzi, bo przecież z myślą o nich pracują sztaby specjalistów.

Z cyklu „wypowiedzi rektorów" oddajemy dziś głos prof. dr MIECZYSŁAWOWI SERWIŃSKIEMU, rektorowi Politechniki Łódzkej.

W problemy dnia dzisiejszego Tomaszowa wprowadza nas reportaż BOGDY MADEJ pt. „Dama na niedźwiedziu", natomiast JERZY KORDACKI w „Długiej drodze do prawdy" wraca do Tomaszowa sprzed lat 20.

KURT DAVID, znany pisarz i reportażysta z NRD. odwiedził Łódź kilkanaście lat temu. Jego reportaż „Miasto 1000 kominów" odnalazł jeden z naszych współpracowników dopiero teraz. Może to i lepiej, bo porównując ów zapis sprzed lat, łatwiej dostrzec możemy jak bardzo zmieniło się nasze miasto.

Nie jesteśmy „LITERATURĄ" więc staramy się publikować możliwie sporo tekstów literackich, prezentować literaturę na różnych planach. A więc w cyklu „Lekcja literatury" J. Rzymowski pisze o Conradzie. W „Słowniku Pisarzy Łódzkich" dr J. Kowalczykowa przedstawia sylwetkę twórczą HONORATY CHRÓŚCIELEWSKIEJ. Po dłuższej nieobecnośc na naszych łamach JAN CZARNY publikuje swoje trzy krótkie opowiadania.

Łódzki poeta młodszego pokolenia ANDRZEJ BISKUPSKI publikuje swoje najnowsze wiersze.

Nie zszedł jeszcze z ekranów film Trzosa-Rastawickiego „Zapis zbrodni". Nauczyciel z Konstantynowa W. SKOCZYLAS dzieli się z Czytelnikiem swymi refleksjami na marginesie tego filmu i konstantynowskiej rzeczywistości.

W dziale publicystyki kulturalnej STEFAN KUBICKI pisze o „Sztuce etatami obdzielonej". Przeprowadzanej reformy teatru nie skwitujemy oczywiście jednym felietonem – wrócimy do niej po zamknięciu pierwszego etapu.

Ostatnia strona (mamy nadzieję) rozbawi Czytelników, ale głosy J. Darnala i J. Wilmańskiego drukujemy nie tylko dlatego żeby było śmiesznie.

MIĘDZY FABRYKĄ DOMÓW A BACHEM

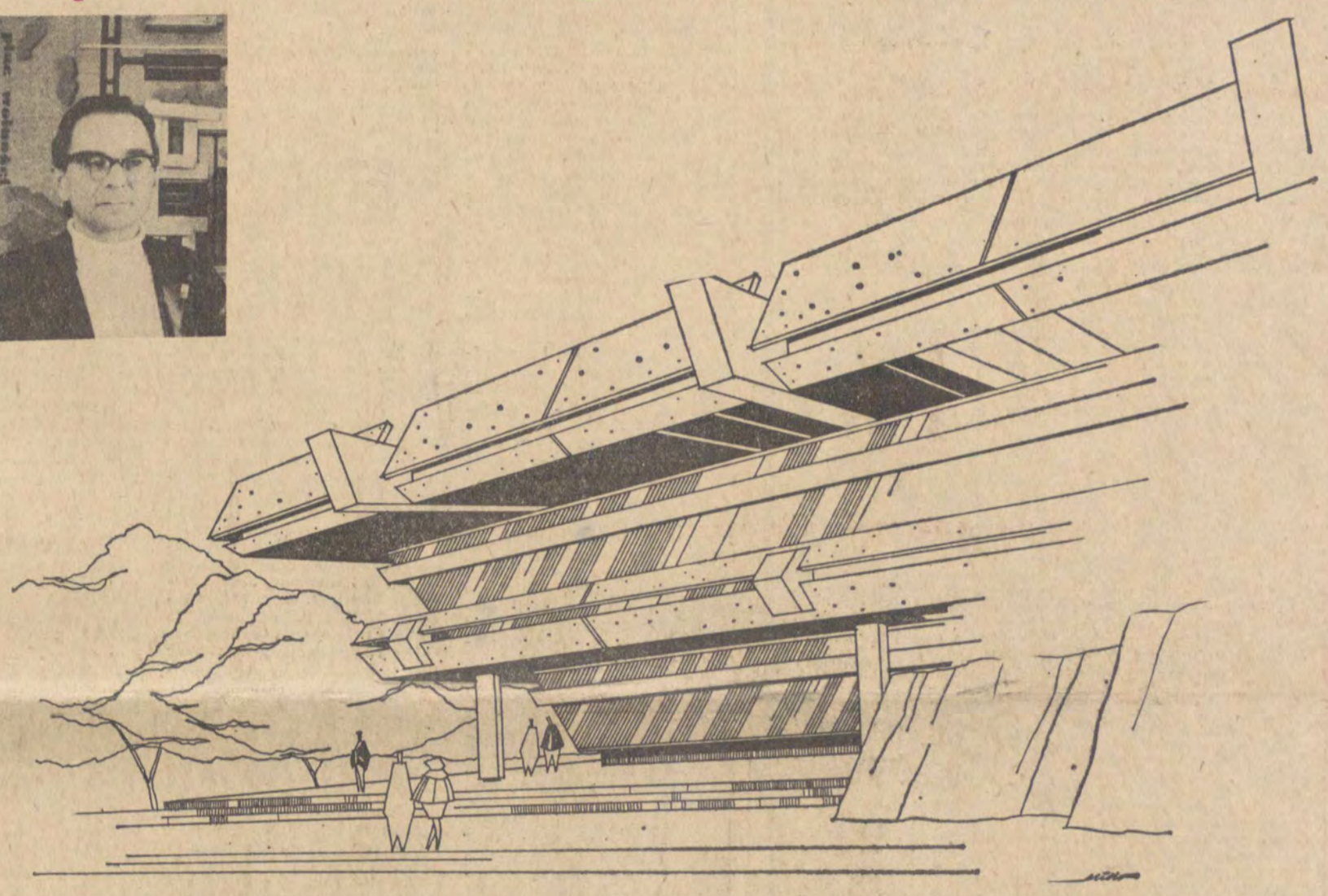

Z architektem WITOLDEM MILLO rozmawia Antoni Szram

— Na łamach łódzkich czasopism toczy się spór o to, co w naszym mieście należy wyburzyć, a co nowego zbudować. Pan wygrał konkurs na projekt filharmonii, wykonał zamówienie z wielkim zaangażowaniem; co Pana do tego skłoniło?

— Przyczyn było parę. A więc przede wszystkim chyba to, co zresztą cechowało wszystkie zespoły — poczucie solidarnej odpowiedzialności za losy miasta i jego śródmieścia. Ten konkurs musiał być zrobiony i to dobrze zrobiony. Jako środowisko architektoniczne byliśmy zobowiązani dać własnym mieszkańcom ich własną, łódzką, niepodobną do innych filharmonię. Są to fragmenty miasta, obiekty o szczególnym znaczeniu, których nie wolno traktować marginesowo, gdyż rzutują one na swoje otoczenie. Takim obiektem jest właśnie filharmonia. Jej budowa jest wydarzeniem, jest zjawiskiem o wiele rzadszym niż budowa teatru, a przecież teatrów nie buduje się codziennie. Są to obiekty drogie. Bardzo drogie i... długowieczne. Dlatego muszą być opracowane ze szczególną dbałością o ich wartości tak funkcjonalno-przestrzenne, jak i o szczególne wartości architektoniczne. Z naszej epoki nie może pozostać tylko skoszarowana, stypizowana „mieszkaniówka". Filharmonia nie może być tandetą. Łódzkie środowisko architektoniczne ma zdecydowanie wiele do powiedzenia i dlatego ten konkurs musiał być przez nas opracowany dobrze i dlatego plon konkursu reprezentował wysoki poziom prac.

— Szukamy cech indywidualnych Pana projektu?

— To bardzo trudno mówić o własnym projekcie. Szczególnie, gdy ocena ma dotyczyć cech indywidualnych, prawie osobistych. Tu łatwo o subiektywizm. W wypadku pracy konkursowej, no cóż, sam rodzaj tematu jest rzeczą unikalną. Filharmonia, muzyka, to są przeżycia oderwane od szarej codzienności, sztuka przez wielkie „S". To narzuca już cechy indywidualne, dalej sąsiedztwo parku, galerii, to wyznacza kierunek działania, wpływa na charakter obiektu. Myślę, że pewna rzeźbiarskość architektury jest niezbędna. Rzeźbiarskość, bo ja wiem... jak to nazwać — pewien dynamizm, ale jednocześnie czystość i spokój tej architektury. Znamy w Łodzi place i ulice, zabudowę zwartą, ciągłą lub szablonowe osiedla. Nie mamy takich elementów pejzażu miejskiego, jak stare zaułki, kamienne schodki zbiegające po zboczach, bulwarów, ba, nawet dobrych punktów widokowych. Mamy długie proste ciągi uliczne, z reguły wąskie i ponure. Zbyt wielka przepaść dzieli nas od miast, których teren, warunki naturalne pozwoliły wykształcić typ

Dalszy ciąg na str. 5

BOGDA MADEJ

DAMA NA NIEDŹWIEDZIU

— Ja to mam cholerne szczęście — mówiła dziewczyna w czerwonych spodniach do starszej kobiety. — Zawszę muszę być świadkiem wypadku.

— A co znowu widziałaś?

— Na Szczęśliwej autobus wpadł na kobietę.

— Młoda?

— Nie. Stara już była. Tylko westchnęła i po wszystkim. A krew z niej się lała aż czarna

— Poharatało ją tak?

— Nie, z ust jej krew leciała.

— Szofera zamknęli? — niczym prokurator pytała dalej starsza.

— Uciekł, nim milicjanci przyjechali. Mówili później, że autobus nie miał hamulców. Szukają go.

Mecenasowi nie przeszkadzał ten dialog. Stał, jak zawsze, kiedy przychodzi tu ze swymi gośćmi i pokazuje im „zabytkowy układ urbanistyczny".

— Jest to najstarsza część miasta — mówi wtedy. — Od placu szachownicą odchodzą ulice, przy których stoją klasycystyczne kamieniczki.

Mecenas bardzo się złości, gdy jego goście nie potrafią docenić uroku tych kamieniczek, uroku starych jatek, zbudowanych w latach 1837—1838, w których dziś mieści się tutejsza galeria sztuki. Mecenas nie może zrozumieć, że ludzie przyjeżdżają tu załatwić interes, że się śpieszą, że drażni ich ten plac, w gruncie rzeczy brzydki, który jednym służy za promenadę, a im — gościom w tym mieście — za najgorszy z przystanków autobusowych PKS. Do miasta najwygodniej przyjeżdżać autobusami. Z Warszawy, Łodzi, a nawet Wrocławia. A przyjezdny, wiadomo, musi mieć gdzie umyć ręce, gdzie coś zjeść, a także poczekać na dobre połączenie.

— Taki plac — powiedział niedawno znajomy Mecenasa, który tu zawitał po kilku latach — powinien być wizytówką nowoczesnego miasta. A to co? Brzydota, Szarość. Bałagan nie wizytówka.

Gość był zdenerwowany, bo nie udało mu się załatwić sprawy w fabryce, w której zaczynał swoją zawodową karierę i do której specjalnie go wysłano, sądząc, że kto jak kto, ale on załatwi to śpiewająco.

Mecenas stał teraz na placu i myślał: — A może on ma rację? Nie

Dalszy ciąg na str. 8

FIRMA ZOBOWIĄZUJE

Wszystko zaczęło się od tego, że w Warszawie urządzono wystawę pod – przyznacie chyba – frapującym hasłem **„Niemowlę też człowiek"**. Generalnie rzecz biorąc chodziło o zaprezentowanie rozmaitych wzorów wyrobów, o których marzą rodzice naszych milusińskich, a i tym ostatnim – przecież bezpośrednio zainteresowanym – bez względu na płeć, tudzież zdolność odbierania wrażeń, powinny sprawić wiele, jeśli nie satysfakcji, to przynajmniej najzwyczajniejszej wygody.

No i dobrze – powiecie – urządzono wystawę, a tymczasem jedna z matek pewnego dnia pytała, gdzie u licha mogę kupić wózek dla moich bliźniaków? Uchodziłam już nogi i jak na razie bez większego rezultatu. Bliźniaki to już nie potrzebują wózka?

Potrzebują – to fakt. Mam także nadzieję, że w końcu znajdzie się on, a nawet o szczęśliwym... rozwiązaniu tego życiowego problemu tej młodej mamy zostaniemy poinformowani przez handel. Byleby tylko nie taką, dosyć często stosowaną formułką w rodzaju: **„Mamy zaszczyt i przyjemność zawiadomić, że sprzedażą** – tutaj następuje nazwa powiedzmy mniej powszechnie używanego wyrobu – **zajmuje się wyspecjalizowana placówka w mieście „X". Polecamy nasze usługi"**. Tutaj następują zamaszyste podpisy. No dobrze, ale co ma zrobić z tym fantem mama owych bliźniaków, jeśli akurat mieszka w mieście „Y", położonym na drugim końcu Polski w stosunku do miejscowości „X", wyspecjalizowanej w sprzedaży wózków dla bliźników? To usiądź i płacz – jak by to „podsumował" mistrz Wańkowicz.

Wózek – wózkiem, ale Czytelnicy zapewne odgadują, że stanowi on tutaj pretekst do podjęcia poważniejszego problemu (nic nie ujmując kłopotom, gdy nagle rodzina powiększa się o parkę bliźniąt), któremu na imię możliwie szybkie trafienie do odbiorcy, na rynek z wyrobem potrzebnym, poszukiwanym, o d b i e g a j ą c y m o d „n o r m a l k i", po prostu – n o w y m.

Niewątpliwie bardzo, ale bardzo wiele zależy od handlu. Dokładniej od jego operatywności, umiejętności wychwytywania nowości, potrzeb rynku, nawet tych, które zaopatrzeniowcom – z ich punktu widzenia, wydają się mało istotne bądź... takie jakieś nie z tej Ziemi. No cóż, na tej Ziemi sporo, i to w bardzo krótkim czasie się zmieniło, co więcej – należy przypuszczać, że jeszcze to i owo w dziedzinie potrzeb i wymagań społeczeństwa ulegnie przemianie, także na rynku wewnętrznym, na który obywatel PRL wychodzi z coraz zasobniejszym portfelem. I tak być powinno– wszak cały rozwój ekonomiczny kraju, wszystkie jego trybiki kręcą się nie dla jakiegoś teoretyczno-statystycznego rozwoju, ale dla spełnienia ściśle określonych celów społecznych, ujętych w lapidarne hasło: **by Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej.**

Handel ma oczywiście na swoją obronę bardzo wiele argumentów, jak choćby szczupłość bazy, którą dysponuje. Rzeczywiście, nie przedstawia się ono imponująco i tak dla przykładu, jeśli dostawy artykułów rynkowych i dochody ludności wzrosły w roku 1972 na tyle, że sprzedaż detaliczna była o blisko 13% wyższa niż w roku 1971, to równocześnie ilość punktów sprzedaży detalicznej zwiększyła się zaledwie o 1,8%. Jeśli w roku 1971 na jeden taki punkt sprzedaży przypadło 166 mieszkańców, to w rok później 165. Postęp bardzo, ale to bardzo znikomy. Handel skłonny jest także wiele niedomagań przypisywać nazbyt imponującej powierzchni, przeznaczonej do sprzedaży towarów. W roku 1971 na każdy tysiąc mieszkańców naszego kraju przypadało tej powierzchni sprzedażnej w sklepach 259 m. kw., a w rok później – 267. Też niezbyt wiele.

Chcąc więc oddać handlowi to, co mu się słusznie należy, trzeba powiedzieć, że pracuje w trudnych warunkach, że potrzebuje więcej nowych placówek dla siebie i stara się stopniowo nadrabiać dystans, jaki w tej dziedzinie dzieli nas jeszcze choćby od takich krajów jak NRD, CSRS czy Węgry. Na rezultaty przyjdzie nam jeszcze poczekać. Na to nie ma rady, inwestycje – sprawa kosztowna. Zgoda, ale czy można przechodzić do „porządku" nad takimi logicznie rzecz biorąc zupełnie przeciwstawnymi faktami, jak choćby to, że – cytuję za materiałami GUS – przeciętny klient dokonuje zakupu dopiero w co czwartym sklepie, a z drugiej strony w magazynach fabrycznych (także i hurtowniach handlu) odkładają się bardzo pokaźne zapasy, że klienci twierdzą, iż za późno i w zbyt małych ilościach pojawiają się na rynku n o w o ś c i, a dla odmiany przemysł twierdzi, że handel w bardzo wielu przypadkach przyjmuje postawę zchowawczą, ba – niekiedy boi się rzekomo nie sprawdzonych rynkowo n o w i n e k. Podobno brakuje rozeznania, czy to, czy owo „chwyci".

Chwyta i to jeszcze jak, jeśli tylko trafi na rynek. Wielce pouczający jest pod tym względem przykład jednej z łódzkich fabryk dziewiarskich, która na własne ryzyko „rzuciła" tytułem eksperymentu wzory wyrobów opracowanych przez własnych projektantów, przy czym modele te nie znalazły uznania w oczach handlowych zaopatrzeniowców. No i co? Poszły jak woda w górskim strumieniu. Podejrzewam, że gdyby wtedy wyłożono książkę uwag i życzeń, ktoś – tak jak to się stało na wystawie warszawskiej – wpisałby taką uwagę: **SOS – producenci pomóżcie!**

Naturalnie, nie jestem na tyle naiwny, by utrzymywać, że bez realizacji modernizacyjnych zamierzeń handlu rozwiążemy problemy w y n i k a j ą c e z potrzeby i konieczności dotarcia do konsumenta z większą masą wyrobów stanowiących n o w o ś c i, niekiedy nawet modele próbne, zapowiedzi bądź oferty do podjęcia masowej produkcji. Czy jednak poprzez rozwiązania organizacyjne, poprzez inicjatywę wspólną handlu i p r z e m y s ł u nie dałoby się coś tutaj poprawić?

Chyba tak.

Od dawna nurtuje mnie na przykład pytanie, c z e m u tak zmarnowaliśmy szansę, jaką dawały s k l e p y f a b r y c z n e, sklepy, które byłyby wizytówką propozycji producentów, nawet „nad głowami" naszych — delikatnie mówiąc — zachowawczych i bardzo ostrożnych zaopatrzeniowców.

F i r m a p o l e c a — chwyt, którym i dziś operuje wielu wytwórców w najbardziej rozwiniętych krajach dla lansowania właśnie nowości. Podejrzewam, że tego rodzaju placówki mogłyby wywierać dużą presję na „normalny handel", kierować jego uwagę na wyroby, które tylko pozornie potrafią produkować zagraniczni wytwórcy.

Tak tylko pod jednym warunkiem, ale bardzo istotnym, że b ę d ą t o s k l e p y f a b r y c z n e, f i r m o w e, z prawdziwego zdarzenia, a nie nic znaczące atrapy, bez faktycznej treści, jak to, niestety, w większości przypadków jest teraz w sklepach, które dziś u d a j ą tylko wizytówki producentów.

Próbujmy. Kto pierwszy? **„Próchnik", „Olimpia", „Kalina", „Fonica"** — zresztą zapraszamy wszystkich odważnych. Byleby tylko poważnie potraktowali swoją ofertę. Bo firma zobowiązuje.

MAREK ROGALSKI

START W NASTĘPNE ĆWIERĆWIECZE NRD

Niezwykle uroczyście obchodzono w NRD srebrny jubileusz Republiki. Powstała ona 7 października 1949 roku i po 25 latach istnienia, wkroczyła w następne ćwierćwiecze. Jest ważnym ogniwem socjalistycznego obozu, od 26 września 1950 roku członkiem Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, a od 14 maja 1955 roku — sygnatariuszem Układu o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy, zwanego w skrócie Układem Warszawskim.

Powstanie NRD spotkało się z różnorodnym przyjęciem. Dwaj pisarze niemieccy. **Heinrich Mann i Lion Feuchtwanger** skierowali list do prezydenta Wilhelma Piecka:

„Do Drogiego, Szanownego Pana Prezydenta Wilhelma Piecka. Niech nam wolno będzie złożyć Panu i Premierowi Otto Grotewohlowi najserdeczniejsze życzenia. Nie musimy Pana zapewniać z jakim zainteresowaniem śledzimy rozwój młodej Republiki pod Waszym kierownictwem".

W tym samym czasie za Łabą jedna z gazet niemieckich pisała:

„Tak zwana NRD, której byt polega wyłącznie na rozgrzebywaniu ruin, nie dożyje, a już wcale nie przeżyje roku 1950".

6 lipca 1950 roku w Zgorzelcu spotkali się premierzy rządu NRD i PRL, aby podpisać układ o przebiegu granicy między Niemiecką Republiką Demokratyczną i Polską Republiką Ludową. Nie wszyscy i nie do końca zdawali sobie sprawę z historycznego znaczenia tego faktu. A przecież właśnie wówczas, jak to stwierdził w liście do prezydenta PRL — **Bolesława Bieruta, prezydent** NRD — **Wilhelm Pieck** skończył się **„ponury rozdział, w którym przez setki lat zatruwano stosunki między obu naszymi narodami. Granica pokoju na Odrze i Nysie stworzyła warunki do nowych, pokojowych stosunków między naszymi krajami".**

Ale aby zrozumieć historyczne znaczenie tego faktu potrzeba było czasu, potrzeba było wzajemnego poznania obu narodów na innych niż do tej pory zasadach, potrzeba było coraz bardziej zacieśniającej się współpracy.

„Nie mieliśmy łatwej drogi — pisał w „Życiu Warszawy" z okazji 25-lecia NRD redaktor naczelny „Beiner Zeitung", Dieter Kerschek. — **Z jednej strony musieliśmy usuwać zniszczenia materialne i moralne, pozostawione przez faszyzm. Z drugiej strony musieliśmy walczyć z imperializmem, zwłaszcza tym w RFN, atakującym NRD na wszelkie sposoby. (...)**

Ludzie pracy pod przewodnictwem Socjalistycznej Partii Jedności kształtowali nową, socjalistyczną państwowość, gospodarkę i kulturę NRD. To, że skutecznie rozprawiliśmy się z imperializmem, który chciał zdusić Niemiecką Republikę Demokratyczną jeszcze w kolebce, było możliwe dzięki wszechstronnej pomocy, jaką udzielił nam Związek Radziecki, a także braterskiej solidarności całej socjalistycznej wspólnoty".

Droga do współpracy i przyjaźni z NRD nie była łatwa. Parafrazując słowa Dietera Kerscheka można powiedzieć, że i na niej trzeba było usunąć gruzy, jakie pozostawił faszyzm. Ale przecież przebyliśmy tę drogę wspólnie. To przecież między NRD i PRL granica państwowa nabrała zupełnie innego znaczenia. Jedynie nasze dwa państwa w obozie państw socjalistycznych ograniczyły wszelkie formalności graniczne do niezbędnego minimum. Przez wiele lat mówiono, że jest to granica, która łączy a nie dzieli. Przez wiele lat ludzie traktowali to wyłącznie jako hasło, bo przecież z przeszłości było wiadomo, że k a ż d a granica musi przede wszystkim d z i e l i ć. I oto hasło stało się rzeczywistością: granica między PRL a NRD nie dzieli a ł ą c z y. Dziś mieszkańcy z obu stron Odry i Nysy chodzą do siebie jak sąsiedzi zza płotu. Ot tak, po prostu, z wizytą.

Trzeba było 25 lat, aby słowa mogły stać się rzeczywistością. Trzeba było 25 lat, aby NRD mogła znaleźć należne jej miejsce w Europie i świecie, aby uznało ją przeszło 100 państw, aby zajęła swoje miejsce w ONZ. Było to dla narodu NRD 25 lat trudnych, ale i owocnych. Wysiłek opłacił się. Stworzono dogodny start do następnych ćwierćwieczy.

„Niemiecka Republika Demokratyczna — mówił na jubileuszowych uroczystościach Erich Honecker, I sekretarz KC SED — **zajmuje 96 miejsce w świecie pod względem swojej powierzchni, 36 jeśli chodzi o liczbę mieszkańców. Jeśli natomiast brać pod uwagę rozmiary produkcji przemysłowej, to osiągnęła miejsce wśród pierwszych 10 państw świata. Obszar dzisiejszej NRD był spustoszony w wyniku wojny rozpętanej przez faszyzm niemiecki. W roku założenia naszego państwa dochód narodowy wynosił 22 mld marek, a w 1973 osiągnęliśmy już 127 mld marek, tj. prawie sześć razy więcej. Dzisiaj nasz przemysł w ciągu sześciu tygodni produkuje tyle, ile w ciągu 12 miesięcy 1949 roku.**

Trzeci rok realizowania uchwał VIII Zjazdu SED pozwolił nam po raz pierwszy na przekroczenie w dziedzinie produkcji przemysłowej wartości 200 mld marek. Na trzy miesiące przed końcem roku mamy podstawy, by spodziewać się, że w 1974 r. przemysł wyprodukuje towary wartości prawie 220 mld marek. Gdy plan 1974 roku zostanie wykonany, stopa wzrostu produkcji przemysłowej wyniesie już prawie 80 proc. tego, co przewidywały wytyczne VIII Zjazdu SED w stosunku do całego planu pięcioletniego. Do tego stwierdzenia upoważniają nas dobre wyniki współzawodnictwa, podjętego dla uczczenia 25-lecia. Jesteśmy przekonani, że będzie ono prowadzone dalej, z tym samym rozmachem dla uczczenia 30 rocznicy wyzwolenia".

Osiągnięcia NRD w 25-leciu istnienia państwa są bezsporne. To najmłodsze państwo Europy udowodniło, ile można zdziałać w tak krótkim okresie pod przewodnictwem partii, która za swoją naczelną zasadę przyjęła, iż **„dobro narodu jest najwyższym prawem".**

„Klasa robotnicza i wszyscy ludzie pracy NRD — mówił na uroczystościach 25-lecia NRD sekretarz generalny KC KPZR, Leonid Breżniew — **przekonali się z własnego doświadczenia, że kierownicza rola partii marksistowsko — leninowskiej jest głównym, decydującym czynnikiem pomyślnego dokonania przeobrażeń społecznych. Zostało to niezbicie potwierdzone przez doświadczenia waszego kraju oraz innych krajów socjalistycznych".**

Ogłoszony przez Państwowy Centralny Urząd Statystyczny NRD komunikat o wykonaniu narodowego planu gospodarczego za pierwsze półrocze 1974 roku stwierdza:

„W porównaniu z pierwszym półroczem 1973 roku wzrosły:

— dochód narodowy o 5,5%

— państwowa produkcja towarowa o 7,8%

— wydajność pracy w przemyśle podległym ministerstwom o 6,7%

— produkcja budowlana w przemyśle budowlanym o 6,3%

— państwowa produkcja przetworów zwierzęcych o 6,7%

— transportowane przez środki komunikacji ilości towarów o 3,4%

— obroty handlu zagranicznego z krajami członkowskimi RWPG o 11,6%

— dochód netto ludności o 4,2%

— obroty handlu detalicznego o 5,6%

Dla 174 tys. obywateli poprawiły się warunki mieszkaniowe. Do użytku oddano dalszych 5 046 miejsc w żłobkach i 9 120 miejsc w przedszkolach.

Zagwarantowane zostało materialne zabezpieczenie obronności kraju".

Pomyślna realizacja narodowego planu gospodarczego jest niezbędnym warunkiem startu w następne ćwierćwiecza.

NRD stała się ważnym ogniwem socjalistycznej integracji.

„W dwudziestym piątym roku istnienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej — pisze w **„Nowych Drogach"** Kurt Hager, członek Biura Politycznego i sekretarz KC SED — **w całej naszej gospodarce narodowej nie ma chyba żadnego ważniejszego przedsiębiorstwa lub poważnej instytucji naukowej, oświatowej i kulturalnej, które by w takiej czy innej formie nie współpracowały ściśle z odpowiednimi instytucjami w bratnich krajach socjalistycznych".**

Ludność NRD stanowi tylko 5 procent ludności krajów RWPG, ale gospodarka NRD daje prawie 10 procent ogólnej produkcji RWPG. Obroty handlowe z pozostałymi krajami Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej wzrosły z 2 695 mld marek w 1950 roku, kiedy to NRD przystąpiła do RWPG, do 31,7 mld marek w 1972 roku. Rozwija się współpraca naukowców. Jeden z instytutów Uniwersytetu Łódzkiego ściśle współpracuje ze swoim odpowiednikiem w Uniwersytecie im. Karola Marska w Lipsku. Pracownicy „Hydrobudowy" współdziałali przy budowie rurociągu „Przyjaźń". Bułgarscy i węgierscy architekci uczestniczyli przy rozbudowie wielu miast niemieckich, a przy budowie elektrowni Thierbach pracowali specjaliści z NRD, Polski, Węgier i ZSRR. To tylko niektóre z licznych przykładów współpracy.

„Historia powstania i rozwoju NRD — mówił na jubileuszowych uroczystościach NRD sekretarz generalny KC KPZR, Leonid Breżniew — **szczególnie dobitnie pokazuje, jakie znaczenie ma w naszych czasach internacjonalistyczna solidarność państw socjalistycznych".**

4.

Naród niemiecki, kierowany przez SED dokonał ogromnych przeobrażeń i dzięki swoim wysiłkom państwo niemieckie zyskało należne sobie uznanie innych narodów i należne sobie miejsce na międzynarodowej arenie. Jest to niewątpliwy sukces pokojowej polityki zagranicznej NRD, opartej na zasadzie współistnienia, dążącej do rozwiązywania wszystkich konfliktów w drodze rokowań, w drodze uzgadniania stanowisk, nie rezygnując przy tym z żadnych pryncypiów swojej polityki wewnętrznej. To stanowisko NRD doprowadziło również i do tego, że agresywne koła RFN musiały zrezygnować z uzurpowania sobie prawa do reprezentowania całego narodu niemieckiego. Świat uznał dziś istnienie dwu państw niemieckich, państw równoprawnych, wnoszących swój wkład w rozwój i przyszłość Europy.

Jubileuszowe uroczystości 25-lecia powstania NRD mamy już za sobą. Niemiecka Republika Demokratyczna wkroczyła w 26 rok swego istnienia, ale wnioski i uwagi wypływające z historii 25 lat najmłodszego państwa Europy długo jeszcze będą zaprzątały naszą uwagę. Są to bowiem osiągnięcia na miarę naszej epoki, osiągnięcia możliwe tylko do uzyskania w warunkach socjalizmu.

MARCIN RODAK

POKOJOWA DROGA

W ubiegłą niedzielę moskiewska **„Prawda"** opublikowała artykuł redakcyjny pt. **„Leninowską drogą socjalizmu i pokoju".**

„We współczesnych warunkach — pisze „Prawda" — **ze szczególną siłą ujawniają się takie cechy KPZR jak umiejętność stałego kontrolowania swego kursu zgodnie z niezawodną busolą marksizmu-leninizmu.**

„Prawda" przypomina, że założenia budowy komunizmu w ZSRR zostały zawarte w uchwałach XXIII i XXIV Zjazdu KPZR. Poszczególne plenarne posiedzenia Komitetu Centralnego KPZR konkretyzują i formułują politykę partii nakreślając bieżące zadania. Szczególne znaczenie miało plenarne posiedzenie KC z października 1964 roku, na którym zademonstrowano **„nieugiętą wolę partii, by nadal przestrzegać leninowskich norm życia partyjnego i kierowania społeczeństwem".** Konsekwentna realizacja wytycznych tego Plenum KC KPZR — jak stwierdza „Prawda" — przyczyniła się do wzmocnienia i wzrostu potęgi politycznej, gospodarczej i obronnej Związku Radzieckiego i umocniła jego pozycję w świecie.

Pozytywnie oceniając realizację uchwał XXIII i XXIV Zjazdu KPZR w polityce wewnętrznej, osiągnięcia ludzi radzieckich w budowie materialno-technicznej bazy komunizmu, **„Prawda"** dokonuje analizy sytuacji międzynarodowej.

„Nasza partia — pisze „Prawda" — **po dokonaniu oceny ogólnego układu sił na świecie, zmiany tego układu na korzyść socjalizmu, doszła do wniosku, że istnieje realna możliwość wywalczenia istotnego przełomu w sytuacji międzynarodowej.**

Kierując się leninowskimi zasadami pokojowej polityki, KPZR występowała i występuje z wieloma inicjatywami zmierzającymi do odprężenia, do zastępowania zimnej wojny pokojowym rozwiązywaniem konfliktów, do budowania i umacniania zasad pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach społecznych. Powodzenie pokojowej polityki ZSRR wynika również ze ścisłego sojuszu i współdziałania wszystkich państw socjalistycznych, a także opiera się na dążeniach sił postępowych na świecie i aktywizacji mas ludowych, które zdecydowanie występują przeciw siłom agresji i dążą do umocnienia pokoju.

„I chociaż jeszcze — pisze „Prawda" — **nie wszystkie trudności i przeszkody na drodze do trwałego pokoju zostały przezwyciężone, to jednak to, czego już dokonano i dokonuje się w tym kierunku otwiera napawające nadzieją perspektywy. W pierwszej kolejności trzeba rozwiązać jeszcze wiele złożonych problemów aby perspektywy te stały się rzeczywistością."**

Ważnym zadaniem — stwierdza dalej **„Prawda"** – jest dalsze zespalanie i umacnianie czołowej siły pokoju — obozu socjalistycznego. KPZR będzie nadal czyniła wysiłki zmierzające do przyśpieszenia integracji gospodarczej państw socjalistycznych, gdyż **„stała się ona jednym z najważniejszych czynników szybkiego wzrostu potencjału przemysłowego krajów członków Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej".** ZSRR będzie udzielał poparcia narodom walczącym o swoją wolność, służył pomocą młodym państwom niezależnym.

„KPZR, wierna nakazom leninowskim — pisze dalej „Prawda" — **bierze aktywny udział w rozwiązywaniu wspólnych zadań stojących przed światowym ruchem komunistycznym. Nasza partia walczy o jego dalsze zespolenie na zasadach marksizmu-leninizmu i internacjonalizmu proletariackiego. Wnosi wkład do twórczego rozwiązywania podstawowych problemów współczesnego rozwoju społecznego, ugruntowania ogólnych prawidłowości budownictwa socjalistycznego i komunistycznego w ścisłym związku ze specyficznymi warunkami poszczególnych krajów, analizuje nowe zjawiska w rozwoju współczesnego kapitalizmu i drogi rozwoju walki klasowej międzynarodowego proletariatu, ruchu narodowo-wyzwoleńczego i antyimperialistycznego, kierunki i formy walki ideologicznej dwóch systemów. Nasza partia** — stwierdza „Prawda" — **toczy nieustępliwą i konsekwentną walkę przeciw antykomunizmowi, ideologii burżuazyjnej i drobnomieszczańskiej, nacjonalizmowi i „lewicowemu" rewizjonizmowi."**

W zakończeniu artykułu **„Prawda"** stwierdza, że KPZR rozumie potrzebę zwoływania okresowych konferencji partii komunistycznych i robotniczych dla wymiany poglądów na aktualne problemy współczesnego świata. Zdaniem KPZR zwołanie takiej konferencji, która zajęłaby się omówieniem spraw, jakie wynikły po Międzynarodowej Naradzie Partii Robotniczych i Komunistycznych z 1969 roku, przyczyniłoby się do dalszego umocnienia pokoju i przyjaźni między narodami świata.

L. W.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BIŃKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

NAUKA POSTĘP DOBROBYT

W dynamicznym rozwoju społeczno-ekonomicznym Polski, szczególnie szybkim na przestrzeni ostatnich czterech lat, ogromną rolę odgrywa nauka. W Łodzi mamy siedem wyższych uczelni. Społeczeństwo łódzkie coraz bardziej docenia ich znaczenie w rozwiązywaniu złożonych problemów gospodarczych i socjalnych w kraju, w tym również w naszym regionie. Nasze wyższe uczelnie są dziś chlubą Łodzi.

Dając wyraz zainteresowania tą ważną problematyką zwróciliśmy się do rektorów wyższych uczelni łódzkich z prośbą o wypowiedzi na temat dalszych perspektyw rozwojowych uczelni, zamierzeń dydaktycznych i naukowo-badawczych w bieżącym roku akademickiem oraz trudności, które hamują realizację programów rozwoju.

Wypowiedź prof. dr Mieczysława Serwińskiego — rektora Politechniki Łódzkiej.

Działalność i perspektywy rozwoju Politechniki Łódzkiej wiążą się nierozerwalnie z istotnymi potrzebami przemysłowymi Łodzi, województwa łódzkiego, a w niektórych dziedzinach produkcji — z potrzebami kraju. Chodzi tu zarówno o prace naukowo-badawcze, konieczne dla bieżącej i przyszłej produkcji, jak również o kształcenie kadry dobrze przygotowanej zawodowo i społecznie do rozwiązywania praktycznych zadań technicznych.

Dlatego kierunki pracy badawczej oraz dydaktycznej muszą uwzględnić takie główne problemy, jak: intensywne budownictwo mieszkaniowe, modernizacja i rozbudowa szeregu ważnych dla Łodzi i regionu gałęzi przemysłu, m.in.: włókienniczego, maszynowego, aparatury elektrycznej niskonapięciowej, transformatorów, papierniczego, skórzanego, chłodniczego i innych.

Posłużyć się warto jednym z wymienionych tu problemów, aby zilustrować złożoność zagadnień. Łódź jest i wydaje się, że pozostanie stolicą polskiego włókiennictwa. Stąd też uczelnia uczestniczy w rozwiązywaniu naukowym i technologicznym takich zagadnień jak: włókiennicze surowce, metrologia włókiennicza, przędzalnictwo, tkactwo, dziewiarstwo, obróbka chemiczna włókna łącznie z farbiarstwem. Łączy się to z obszernymi pracami nad syntezą nowych barwników, rozwojem chemii monomerów, polimerów włóknotwórczych, całokształtem chemii i technologii włókien chemicznych. Zainteresowanie uczelni musi skupiać się również wokół nowych konstrukcji maszyn włókienniczych łącznie z zagadnieniami automatyki i elektronicznego sterowania tych maszyn. Dodać trzeba, że wymaga to współpracy licznych specjalistów: metaloznawców, wytrzymałościowców, technologów budowy maszyn i wielu innych. Jednym słowem liczne grupy specjalistów muszą brać skoordynowany udział w twórczym procesie postępu w przemyśle włókienniczym. Podobne wnioski wyciągnęlibyśmy, wyliczając problemy papiernictwa, przemysłu elektrotechnicznego itd.

Politechnika Łódzka, uwzględniając kierunki rozwoju przemysłu Łodzi i regionu, wzmacnia dotychczasowe prace instytutów i uruchamia nowe kierunki studiów jak: architektura, inżynieria materiałowa, mechanika techniczna, fizyka techniczna i inne. Znacznego wzmocnienia wymagać będą Instytuty Automatyki i Elektroniki. Zamierzamy uruchomić w najbliższej przyszłości studia w ramach podstawowych problemów techniki — matematykę stosowaną.

Dalszemu rozwojowi podlegać będą studia podyplomowe, służące pogłębianiu i uzupełnianiu wiedzy inżynierów, pracujących przez szereg lat w przemyśle. Również prowadzone będą studia doktoranckie, choć jak wykazuje praktyka paru ostatnich lat, więcej uwagi należy poświęcać studiom doktoranckim prowadzonym w trybie zaocznym, tj. bez odrywania od stałego miejsca pracy, a to ze względu na to, że zdolni i ambitni pracownicy inżynieryjni najczęściej nie mogą opuścić zakładu pracy na okres trzech lat, by zdobyć stopień doktora.

W najbliższym roku akademickim planujemy podjęcie intensywnych prac zarówno w zakresie naukowo-badawczym, dydaktyczno-wychowawczym i organizacyjno-społecznym.

W dziedzinie prac naukowo-badawczych będziemy dalej rozszerzać badania społecznie użyteczne przez trwalsze i bardziej efektywne wiązanie tych badań z potrzebami zakładów przemysłowych głównie m. Łodzi i województwa łódzkiego. Sądzimy, że wartość prac zleconych Politechnice przez przemysł wyniesie ponad 100 mln zł.

Postęp w pracach dydaktycznych upatrujemy głównie w śmielszym wprowadzaniu form studiowania wciągających studentów do bardziej samodzielnej, a przez to bardziej interesującej pracy. Chcielibyśmy więcej czasu poświęcać studentom w laboratoriach, kreślarniach, w toku dyskusji seminaryjnych, ograniczając z biegiem czasu godziny wykładowe do niezbędnego minimum. Sprawa nie jest prosta, ponieważ wiąże się z koniecznością lepszego wyposażenia pracowni we współczesną precyzyjną i najczęściej drogą i importowaną aparaturę pomiarową.

W procesie wychowawczym chcemy stosować takie formy oddziaływania, które obok współczesnego wykształcenia zawodowego ukształtują, uformują absolwenta jako człowieka rozumem i sercem związanego z socjalizmem i z rozwojem ludowej ojczyzny, człowieka o cennych walorach społecznych.

Wreszcie chciałbym wspomnieć, że Politechnika Łódzka, podobnie jak i inne wyższe uczelnie, wprowadza od początku października br. nowy system gospodarki finansowej. Pociągnie to za sobą potrzebę reformy administracji i służb finansowych zarówno w kierownictwie uczelni, jak i w instytutach.

Instytuty politechniczne uzyskają w zakresie prowadzenia prac badawczych znaczną samodzielność przy równoczesnym wzroście odpowiedzialności za terminowe wykonywanie przyjętych zleceń, poziom osiągniętych rozwiązań i sposób wykorzystania wyników tych badań.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba studentów na Politechnice Łódzkiej wzrosła trzykrotnie i osiągnęła na początku bieżącego roku akademickiego 13.060 osób. Podobnie szybko wzrasta liczba pracowników uczelni; liczba ta przekracza 3.500 osób.

Ten szybki wzrost uczelni, wywołany potrzebami gospodarki narodowej, nastręcza szereg trudności i kłopotów, z których chciałbym wymienić przynajmniej dwa.

Po pierwsze odczuwamy zbyt wolny przyrost kadry profesorów i docentów. Od kilku lat liczba profesorów nie powiększa się. Choć co rok Rada Państwa nadaje tytuły naukowe profesorów grupie naszych pracowników, to jednak równocześnie nie można zapomnieć, że co roku szereg profesorów przechodzi na emeryturę, przenosi się do innych ośrodków lub, co smutne, ale prawdziwe, odchodzi od nas na zawsze.

Fot. Włodzimierz Parys

Podobnie wolno zmienia się liczba docentów. Kryteria i zasady oceny kandydatów do stopnia naukowego doktora habilitowanego i na stanowisko docentów bez stopnia doktora habilitowanego zostały ustalone przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną do Spraw Kadr Naukowych. Spowodują te kryteria niewątpliwie podniesienie poziomu prac habilitacyjnych i wymogów naukowych od kandatów, ale wpłyną na zmniejszenie przyrostu kadry samodzielnych pracowników nauki przynajmniej w najbliższych latach, gdy tymczasem zadania stawiane przed wyższymi uczelniami technicznymi szybko rosną. Trudno dziś przewidzieć, jaki będzie końcowy bilans oddziaływania w skali krajowej i w poszczególnych ośrodkach naukowych tych dwóch tendencji.

Po drugie pragnęlibyśmy szybkiego przyrostu lokali dydaktycznych, naukowych i socjalnych dla studentów i pracowników Politechniki Łódzkiej, aby zabezpieczyć te zajęcia i prace, jakie już dziś prowadzimy.

Jakkolwiek przebieg inwestycji budowlano-montażowych w Politechnice Łódzkiej w br. oceniamy jako pomyślny, to jednak trudności i braki lokalowe są dalej poważne. Stąd też koniecznością staje się rozpoczęcie budowy w 1975 r. dalszego etapu dla Wydziału Mechanicznego, a następnie, w najbliższych latach, pawilonu dla Wydziałów Włókienniczego i Chemicznego. Dobrze zdajemy sobie sprawę z tego, jak wiele społeczeństwo Łodzi łoży na rozwój szkół wyższych w tym mieście, w tym i na rozbudowę Politechniki Łódzkiej. Często rozbudowa ta związana jest z koniecznością rozbiórek starych domów mieszkalnych, przekwaterowań lokatorów i szeregiem innych niedogodności.

Ze swej strony staramy się kwitować te nakłady dobrą pracą naukową i dydaktyczną, m.in., kształcąc tysiące synów i córek łodzian w naszej uczelni. Z pomocą władz i społeczeństwa rozwija się prężna wyższa techniczna uczelnia — Politechnika Łódzka. Chcemy, wypełniając swoje obowiązki, najlepiej przyczynić się do społecznego i gospodarczego rozwoju Łodzi i województwa łódzkiego. Chcemy być pożyteczni dla całego kraju.

MARIAN SERWIŃSKI

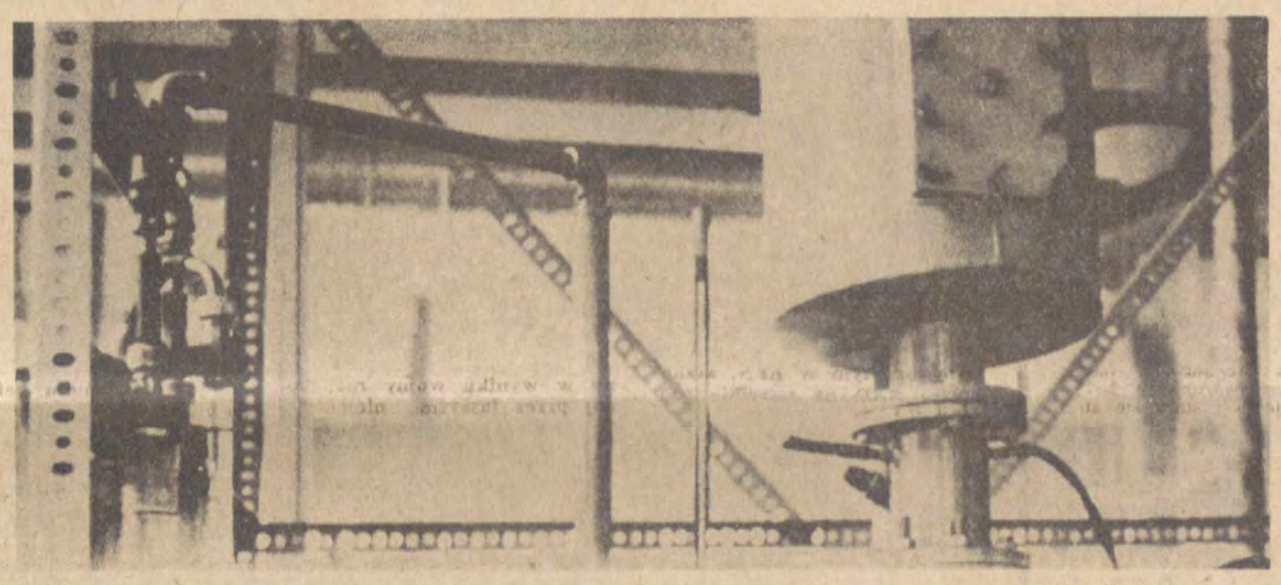

Fot. Włodzimierz Parys

LITERATUROZNAWSTWO OD SIEDMIU BOLEŚCI

A już nam się zdawało, że z tego rodzaju sposobem uprawiania badań historyczno-literackich pożegnaliśmy się raz na zawsze. Naiwni, myliliśmy się srodze. Oto symptom: książka p. **Kazimierza Mężyńskiego** pod tytułem: **„Gottryd Ernest Groddeck — profesor Adama Mickiewicza. Próba rewizji"**, ogłoszona w Roku Pańskim 1974 przez Gdańskie Towarzystwo Naukowe. Słówko dla niewtajemniczonych: chodzi o wileńskiego profesora, pozyskanego dla Uniwersytetu przez A. Czartoryskiego, uczonego, któremu dotąd przyznawano poczesne miejsce w historii filologii klasycznej w Polsce. Ocena ta nie zadawalała K. Mężyńskiego: uważając, że wszystkie głosy entuzjazmu dla G. E. Groddecka pozostają pod urokiem panegirycznej legendy, zmierza on do wykazania, że profesor nie był bynajmniej żadną wybitniejszą indywidualnością, że faktycznie nie odegrał niemal żadnej roli w intelektualnej biografii poety, który — jak na geniusza przystało — właściwie całą swą wiedzę o antyku zawdzięczał wyłącznie samemu sobie.

Niepokój czytelnika pobudza oczywiście nie fakt, że autor proponuje „rewizję" dotychczasowych sądów. Wiele jest w naszej humanistyce poglądów, domagających się tego rodzaju spojrzenia. Niepokoi — i to poważnie — zarówno intencja, przyświecająca owej „rewizji", mianowicie łatwo wyczuwalny (choć nie formułowany expressis verbis) hagiograficzny stosunek do wielkiego poety, jak przede wszystkim sposób, w jaki K. Mężyński realizuje swoje zamierzenia. Nie warto byłoby o tym pisać, gdyby nie okoliczność, że w „tym szaleństwie jest metoda", i to mająca bardzo mało związku z naukowym myśleniem, wiecej natomiast wykazująca filiacji z pewnymi anachronicznymi postawami ideowymi, z którymi dawno należałoby się już pożegnać.

Na kartkach książki K. Mężyńskiego G. E. Groddeck od początku swych studiów kształtuje się jako przyszła naukowa miernota. W Gdańsku wyłącza się **„spod działania współczesnych prądów filozoficznych, politycznych i literackich"**, nie spotyka się z nimi w Getyndze, gdzie ponoć **„wolnościowe prądy Oświecenia (...) nie docierały"**. Autor wie, że dla tego środowiska **„charakterystyczny będzie płytki historyk August Ludwig Schlözer"**, nie będacy entuzjasta ruchów rewolucyjnych, nie chce natomiast wiedzieć — o czym napisano już wiele książek — że ta tak lekceważąco potraktowana postać była jednym z najwybitniejszych historyków europejskich epoki, że więc w przyszłości, gdy G. E. Groddeck będzie omawiał w długiej rozprawie dzieło A. L. Schlözera o Nestorze, będzie to świadectwo bezpośredniego kontaktu wileńskiego profesora ze szczytami ówczesnej historiografii, nie zaś dowodem na jego zaściankowość.

O tym, że w Getyndze G. E. Groddeck zetknął się najpewniej z A. L. Heerenem, autor nie wspomina, dopiero później wspomni, że ów uczony niemiecki poprzedził wstępem jedną z prac wileńskiego badacza, nie rozumiejąc nawet, jakie wnioski należałoby z tego wysnuć. Był A. L. Heeren wybitną naukową indywidualnością, którego pisma wywarły znaczny wpływ na najwybitniejszego naszego historyka czasów romantyzmu J. Lelewela. Jeżeli tak cenił G. E. Groddecka, że pisał przedmowę do jego pracy, znaczyło to wówczas wiele, bardzo wiele. Dla K. Mężyńskiego forsowanie w Wilnie filologii klasycznej świadczyło, że G. E. Groddeck **„szedł na rękę wstecznym żywiołom szlacheckim"**: jest to jedna z licznych interpretacji wprost kuriozalnych, bowiem autor nie zdaje sobie sprawy, że filologia klasyczna w wydaniu uniwersyteckim nie miała nic wspólnego z resentymentami konserwatywnej szlachty do jezuickiego wychowania na osławionym Alwarze.

Curiosów jest zresztą więcej. Choćby tu: wyrzucanie G. E. Groddeckowi filocarskich sympatii, świadczących rzekomo o braku patriotyzmu czy wręcz antypolskiej postawie, braku zrozumienia dla „aktywnych form" polskiego patriotyzmu, czyli „walki zbrojnej". Kiedy? Gdzie? A właśnie: w czasach Aleksandra I. Gdyby autor zaglądnął do pierwszego lepszego podręcznika historii Polski wiedziałby, że w owych czasach nie wszyscy stawiali na walkę i na Francję, że istniała silna orientacja prorosyjska, z którą związany był Groddeck, człowiek Czartoryskiego, jednego z promotorów tej właśnie orientacji i przeciwnika wiązania polskich nadziei z Napoleonem. Ale widać co wolno A. Czartoryskiemu, T. Czackiemu, J. Śniadeckiemu nawet, który jest wzorem niemal hagiograficznym dla K. Mężyńskiego, tego nie wolno Groddeckowi, bo tego trzeba malować na czarno.

Co krok to nowe osobliwości: zaiste nagromadził ich p. Mężyński wiele, oj wiele. Bo niby dlaczego kult Rzymu ma być patriotyczny, a Grecji nie; przypomnę, jak wiele wagi do wykładania właśnie historii Rzymu w „lojalnym" monarchistycznym duchu przywiązywali rzecznicy ówczesnej reakcji z Nowosilcowem na czele! Dlaczego prowadzenie wykładu w formie seminaryjnej ma... źle świadczyć o profesorze? Dlaczego krytyczny stosunek do literatury średniowiecza jest u Groddecka czymś świadczącym o jego niskiej klasie intelektualnej? Całe Oświecenie, z którym G. E. Groddeck tak ściśle — wbrew temu, co pisze K. Mężyński, a w oparciu choćby tylko o przytoczone przezeń dane — był powiązany, nie kochało tej epoki. A już to, co K. Mężyński prawi o historiografii oświeceniowej, zakrawa na zupełną nieznajomość przedmiotu. Jest to całkowicie ahistorycznym zabiegiem domagać się od oświeceniowego intelektualisty takich rzeczy, jak „wczuwania" się w klimat epoki.

Mam już dość przytaczania licznych pretensji K. Mężyńskiego do G. E. Groddecka za to, że ów czegoś nie rozumiał, nie stosował, nie uwzględniał... Nie chodzi o szczegóły: i tak jestem zdania, że całą książkę należałoby napisać od nowa i na pewno inaczej. Rzecz w tym, że w interpretacjach autora można skonstatować funkcjonowanie pewnego ogólnego schematu, który w jego książce odgrywa rolę sterującą.

Chodzi mianowicie o to, że w początku XIX w. rywalizowały w Polsce ze sobą dwa modele rozwoju nauki polskiej. Pierwszy nazwijmy kosmopolitycznym: za jedyną drogę uważano sprowadzenie znacznej liczby cudzoziemców, którzy by byli władni oświecić ciemnych Polaków. Drugi można by nazwać etnocentrycznym: co nam tam obcy, sami mamy wystarczająca ilość rodzimych talentów, aby zaspokoić wszelkie potrzeby. Otóż z perspektywy czasu nie sposób przyznać racji żadnemu z tym modeli rozumowania, jeżeli bierzemy je w wersji skrajnej. Prawda to, że wśród cudzoziemców przybywających do Polski wiele było miernot, nawet hochsztaplerów, ale przecież nie wszyscy, a niektórzy naprawdę wybitni zajęli trwałe miejsce w naszej kulturze. Prawda, że napływ obcokrajowców utrudniał czasem rozwój rodzimej kadrze, ale i zbytnie przywiązanie do rodzimości hamowało rozwój nauki. Przykładem stosunek wielkiego Jana Śniadeckiego do nie mniej wielkiego Joachima Lelewela: rektor bynajmniej nie popierał historyka, a przeciwnie; zresztą nie mówił o nim inaczej, jak „p. Loehleffel" i odmieniał „p. Loehleffla, nie „Lelewela". Otóż K. Mężyński bezkrytycznie hołduje drugiemu z wyróżnionych modeli, nie zdając sobie zapewne sprawy z tego, że wcale często wiódł on do zaściankowości i to nie mniej często niż przeciwny mu — do sympatii kosmopolitycznych. Mówi w nauce (i nie tylko w niej), że wszystko, co rodzime, jest najświetniejsze, jest to tak samo śmieszne, jak bezkrytycznie wielbić wszelką cudzoziemskość.

LEKTOR

KURT DAVID

MIASTO TYSIĄCA KOMINÓW

KURT DAVID — należy do średniej generacji pisarzy NRD. Urodzony 13 lipca 1924 roku; po ukończeniu szkoły handlowej zostaje w 18 roku życia powołany do Wehrmachtu. Jego doświadczenia wyniesione z okresu wojny i dyktatury hitlerowskiej oraz przekreślenie marzeń o karierze muzycznej na skutek kontuzji spowodowało, że David po kilku latach pracy w różnych zawodach poświęca się od roku 1954 wyłącznie pisarstwu. W jego zróżnicowanym tematycznie dorobku literackim odnajdujemy powieści współczesne, jak np. „Uwiedzeni" (1956), gdzie ukazany został w interesujący sposób jeden z popularnych w piśmiennictwie tego kraju motywów, a mianowicie walka wartościowych jednostek w trudnym powojennym okresie o przezwyciężenie faszystowskiej przeszłości i o wiarę w samego siebie, jak również zaufanie do nowego życia w zmienionych warunkach społeczno-politycznych.

Godne odnotowania rezultaty osiągnął Kurt David także w reportażu, aby wymienić tutaj tomy związane z jego podróżami do Mongolii („W kraju łuku", 1962) oraz do Polski („Etiudy polskie", 1963). Ze zbioru „Etiudy polskie" jest zaczerpnięty także prezentowany poniżej reportaż o Łodzi pt. „Miasto tysiąca kominów".

Reportaż o Łodzi pt. „Miasto tysiąca kominów" jest rezultatem wizyty autora w naszym grodzie na początku lat sześćdziesiątych. Obraz robotniczego miasta, jego wygląd zewnętrzny, historyczne retrospekcje sprawiają, że jest to ważki dokument literacki. Okres 11 lat, który minął od chwili ukazania się niniejszego utworu w druku sprawił, że reportaż Kurta Davida w swej części dotyczącej wyglądu zewnętrznego Łodzi nie jest aktualny. Ale jest to jednocześnie dogodna okoliczność, aby stwierdzić, jak wiele w ciągu tych lat dokonano, jak wiele włożono wysiłku, aby nasze miasto zmieniło swoje oblicze

Do Łodzi zajechałem tylko na kilka godzin. Była to jakby krótka przerwa w mojej podróży koleją z Sopotu do Krakowa. Nie spotkałem dotychczas Polaka, który by mnie zachęcał do odwiedzenia tego miasta; wielu natomiast takich, którzy mi wprost odradzali, abym tutaj przyjeżdżał. No i rzeczywiście, nie nadaje się ono do tego, aby spędzać tutaj urlop, a o tym myśleli prawdopodobnie ci wszyscy, którzy mnie tak uporczywie ostrzegali. Ale czyż dlatego ma ono być mało interesujące? Pod względem liczby mieszkańców jest Łódź drugim co do wielkości miastem, po Warszawie. Niegdyś była Łódź centrum polskiego ruchu robotniczego, ze strajkami i walkami na barykadach.

Przeglądając różne materiały znalazłem poetyckie określenie Łodzi — „miasto tysiąca kominów". Właśnie tak wyglądasz, myślałem, idąc cztery i pół kilometra liczącą ulicę Piotrkowską. Tak, to miasto nie należy do pięknych, nawet drzewka i krzaki w parkach wyglądają smutno.

Ale coś tutaj jednak można zyskać: szacunek dla robotników, którzy tu pracują. Z wieżowca studia telewizyjnego spoglądam na to miasto: fabryki, kominy, hale, dym — czarny dym i ciemnoszare dachy. A i słońce świeci smutno, z rzadka przedzierając się przez zasłonę z chmur. Nie wiem, na ile można w poezji przesadzić, ale myślę, że można chociaż wytyczyć granicę. Ktoś mówi lub pisze np.: to jest miasto tysiąca kościołów, chociaż w rzeczywistości jest ich tylko 365. Ale to jeszcze nic złego, przecież kościoły nie dymią. Z kominami łódzkimi jest inaczej. Można by pomyśleć, że jestem zdziwaczałym pedantem, ale moja reporterska ciekawość skłoniła mnie do pytania, ile jest naprawdę w Łodzi kominów z owego poetyckiego tysiąca, które dzień w dzień wypluwają dym w powietrze. No i patrzcież! — właśnie 365! Sypie się z nich codziennie 300 ton pyłu na miasto, pyłu, brudu i sadzy. Przy 1000 kominów byłoby tego dziennie prawie 1000 ton.

Rok 1839 jest datą narodzin polskiego przemysłu włókienniczego. W Łodzi zbudowano pierwszą przędzalnię z parowym napędem. Odtąd przemysł ten rozwijał się z niezwykłą szybkością. W przededniu pierwszej wojny światowej pracuje w fabrykach 100 000 ludzi, 85 proc. produkcji idzie na rynki Rosji, Chin, Japonii i Indii. Sam łódzki król bawełny — Scheibler — zatrudnia 11 000 robotników. Gdy w roku 1921 połączył się z konkurencyjną firmą Grohmanna, a zakłady nazywały się odtąd „Scheibler Grohmann", stał się potentatem na kontynencie europejskim.

Ale 100 000 robotników było także potężną siłą. Dlatego też nie jest przypadkiem, że właśnie to miasto zdobyło sobie w międzynarodowym ruchu robotniczym tak dobrą reputację. W roku 1905, gdy carskie imperium zadrżało pod ciosami robotników i chłopów, na barykadach w Łodzi najlepsi synowie walczyli przeciwko oddziałom cara. A w roku 1928 wzięło w strajku udział 100 000 włókniarzy!

Widziałem wiele starych, drewnianych chat, w których ci ludzie żyli, wegetowali, cierpieli. W roku 1931 było jeszcze 66,3 proc. mieszkań jednoizbowych, jak stwierdzają statystyki. A słowo „izba" brzmi w tym wypadku o wiele za wytwornie. Obok każdej fabryki stał wspaniały pałac, willa z parkiem o pełnym komforcie, co wydaje się nieco osobliwe, gdy się weźmie pod uwagę, że w owym czasie około 90 proc. domów nie posiadało kanalizacji i wodociągów.

Stojąc przed którymś ze starych murów fabrycznych, przed wysokimi, czarnymi bramami z żelaza, przypopinam sobie mojego dziadka, po którego czasem przychodziłem wieczorem do tkalni. Działo się to w jednej z wiosek na Górnych Łużycach, ale wszystko było podobne do tych budynków, na które teraz patrzyłem. W willach mieszkali tacy sami panowie, a bieda, troski i zmartwienia były do siebie podobne jak nędzna, funkcjonalna architektura fabryk. A gdy otworzyła się czarna brama z żelaza, wylewała się z niej zmęczona gromada z niebieskimi dzbanuszkami na kawę u boku; wynurzała się z białej pary, ciemności i zepsutego powietrza...

Nie byłoby prawdą, gdybyśmy powiedzieli, że robotnicy w Polsce, a także chłopi, walczyli tylko przeciwko społecznemu uciskowi. Gdy w roku 1935 przyjęta została nowa, faszystowska konstytucja, partia komunistyczna wezwała do utworzenia ludowego frontu antyfaszystowskiego.

„Powodowane głęboką troską o los Polski, żądają masy obalenia zbankrutowanej sanacji, żądają oddania losów kraju w najpewniejsze ręce, w ręce mas ludowych. Dlatego masy w całej Polsce żądają: rozwiązania sejmu i senatu, składających się z faszystowskich popleczników, przeprowadzenia demokratycznych wyborów, bezzwłocznego zerwania paktu z Hitlerem, jak również przyłączenia się Polski do bloku państw, którym drogi jest pokój..."

Potężna fala strajków ponownie wstrząsnęła krajem. W 1936 łodzcy robotnicy znowu przerywają pracę. Wielki strajk w Krakowie. Żołnierze oddają salwy do demonstrantów. Osmiu zabitych, wielu rannych. Wkrótce potem także i we Lwowie strajkują wszystkie prawie fabryki. Znowu zabito robotnika. W jego pogrzebie bierze udział 100 000 osób, to demonstracja przeciw klice Piłsudskiego. Policja ponownie strzela do ludzi: 20 zabitych, 100 rannych.

Wielu łódzkich fabrykantów, jak Scheibler, Grohmann czy Leonhard, było spolonizowanymi Niemcami, udekorowanymi przez Piłsudskiego licznymi orderami. Istnieje wiele anegdot o tych ludziach, opowiedzmy więc jedną z nich. Gdy pewnego razu w zakładach Leonharda zastrajkowali robotnicy na skutek niskiego wynagrodzenia, właściciel doszedł do przekonania, że musi w lepszym stopniu opanować polski język, aby być w stanie s a m e m u przemówić do ludzi. Obiecywał sobie, że odniesie to widoczny skutek. Wziął się więc do nauki. Po pewnym czasie wygłosił zapowiedziane przemówienie w języku polskim. Jego treści można się łatwo domyśleć, można być niemal pewnym, że nie brakło tam zdań o zachowaniu umiaru.

Pan Leonhard powiedział niechcący do robotników także coś bardzo słusznego, co zaliczyć jednakże należy na poczet jego niedoskonałej znajomości języka. Stwierdził on bowiem rzecz następującą: „Musicie tak pracować, jak ja wam płacę!". Słysząc śmiejących się z aprobatą robotników, powinien był poczuć ciarki na plecach.

Oprócz określenia — miasto tysiąca kominów — istnieje jeszcze inna nazwa: polski Manchester. Tak mówiono i mówi się w dalszym ciągu o Łodzi. Niegdyś dla miasta i jego robotników było to z pewnością zaszczytem, przecież Manchester — w odniesieniu do jakości i wysokości produkcji — cieszy się na świecie dobrą opinią. Ale dzisiaj Manchester został przez Łódź dawno prześcignięty. Produkuje się tutaj obecnie tak wiele, że Manchester musiałby rzucić na szalę wszystkie swoje rezerwy mocy produkcyjnej, aby zasłużyć sobie na miano „angielskiej Łodzi".

Łódź jest miastem socjalistycznym, w którym przeszło 600 000 ludzi żyje i pracuje w warunkach socjalistycznego społeczeństwa. Unowocześniono fabryki i polepszono warunki socjalne. Łódź jest także centrum nauki, gdzie uczy się ponad 10 000 studentów, gdzie istnieje uniwersytet, politechnika, akademia medyczna, wyższa szkoła muzyczna, wyższa szkoła sztuk plastycznych oraz wyższa szkoła teatralna i filmowa. Powstało wiele nowych zakładów pracy, także fabryki budowy maszyn. W 11-piętrowych wieżowcach, na słonecznych osiedlach peryferyjnych mieszkają robotnicy, których ojcowie harowali jeszcze u „Scheiblera i Grohmanna", padli w walce o nowe jutro lub

Fot. JANUSZ MENDYCHOWSKI

zmarli na skutek różnych chorób. Nawet owym 365 kominom wypowiedziano zdecydowaną wojnę, które jeden po drugim znikają z krajobrazu miasta.

Nie wszystko jednak da się naprawić w ciągu krótkiego czasu, jeśli przedtem sto lat tkwiło to w zaniedbaniu. Zabudowa starego centrum miasta jest chaotyczna i jest rezultatem szybkiego rozwoju przemysłu. W końcu zainteresowania fabrykantów skupiały się wyłącznie na ich fabrykach i na związanych z tym zyskach.

Tych kilka zaledwie godzin spędzonych w Łodzi nie pozwoliło mi na pójście do jednego z jedenastu teatrów lub trzydziestu pięciu kin. Za to mam okazję odwiedzić nową szkołę, która wygląda jak długi zimowy ogród. Na fasadzie pięknego, nowoczesnego budynku widnieją najważniejsze wydarzenia z historii Polski. W kolorowej kompozycji umieszczono obok daty i wyraźny rysunek, podobnie jak to czyniono niegdyś w starych elementarzach. Łatwo można to zapamiętać, bardzo komunikatywne. Jest to korzystne dla tych, którzy dawno już opuścili mury szkolne, a przechodzą teraz czasem obok tego budynku. Coś w rodzaju korepetycji dla dorosłych, ale w miłej i artystycznej formie. Wiele takich szkół widziałem w Polsce. Jest to rezultat hasła: „Tysiąc szkół na Tysiąclecie". Poza tym dowiedziałem się, że jest w Polsce „szkoła bez tornistra", w województwie zielonogórskim. Dąży się tam do tego, aby uczniowie tak dobrze opanowali materiał, że praca domowa i innego rodzaju zajęcia nie były konieczne. Próby trwają już drugi rok.

W miejscach, gdzie buduje się nowe szkoły, można spotkać nazwisko Janusza Korczaka. Niektóre z nich obierają go sobie za patrona. Jest to wyraz pamięci i wdzięczności wobec wychowawcy dzieci. W mojej walizce mam jego biografię, w łódzkiej Bibliotece Uniwersyteckiej oglądam jego książki.

Przed gablotkami tłoczą się ludzie, starzy i młodzi, dzieci, które z ciekawością słuchają, co im szepcze do ucha matka lub ojciec. Te przekazywane szeptem informacje działają chyba na dzieci jakby pochodziły z innego świata, leżącego tak wiele lat wstecz, że aż sobie trudno to uświadomić. Świata pełnego strachu, przerażenia i trwogi.

— (Faszyści zamknęli go razem z sierotami, którymi się opiekował, do warszawskiego getta — mówi jeden z ojców.

— A co to jest getto?

Ojciec ogląda się do tyłu, spostrzega mnie, i nachylając się do małego, szepcze: — Opowiem ci o tym w domu.

— A potem, po getcie, tatusiu?

— Potem go zamordowali — odpowiada cicho ojciec.

— Halinko, popatrz no tutaj, to jest..., — mówi matka.

— ... a dzieci?

— Także! — ale tutaj, cóż to tutaj leży? Przecież ty znasz Halinko tę okładkę! No, co to jest za książka?

— Król Maciuś I, — mała dziewczynka uśmiecha się na moment, ale za chwilę buzię ma już poważną.

— Popatrz, to pan Korczak napisał dla dzieci, dla ciebie Halinko. A teraz chodź już, idziemy!

— Czy napisał to w getcie, tatusiu?

Wychodzą, ojciec, matka, córeczka. Dziewczynka ogląda się jeszcze w kierunku gablotek. A dorośli czytają słowa Korczaka: „Dziecko jest jak arkusz pergaminu zapisanego ciasno hieroglifami, z którego można odczytać tylko fragmenty. Inne wymazujesz lub skreślasz, a na ich miejsce wstawiasz własny tekst. Poszukaj w tym obcym dziecku części swojego własnego Ja. Może uda ci się je odnaleźć. A może nawet je rozwiniesz".

W każdym mieście można poznać fragment historii po ulicach, po ich nazwach. Są one w pewnym sensie ilustracją ustroju społecznego, nawet jeśli nie popadają w takie skrajności jak ulica Hindenburga na zachodzie, czy ulica Thälmanna na wschodzie Niemiec. Aby móc osądzać tego rodzaju sprawy, musi się znać osoby, których nazwiska widnieją na emaliowych szyldach ulicznych. A przy tym można niejednego się nauczyć. Tak mi się właśnie zdarzyło w Łodzi. Napotykam szyld, nieinny niż wszystkie inne w mieście, na którym czytam: Władysław Stanisław Reymont. A któż to taki?

— Pisarz — odpowiada mi mój towarzysz, pracujący w Archiwum m. Łodzi. — Czy Pan o nim nigdy dotąd nie słyszał?

— Nie. — I nie wiadomo, czy mam się tego wstydzić, czy nie. W każdym razie czuję się niepewnie.

— Był laureatem nagrody Nobla — archiwariusz jest nieco lakoniczny w swych objaśnieniach, ale nie przypuszczam, aby się śmiał z mojej niewiedzy.

— Być może znam którąś z jego książek, tylko zapomniałem nazwisko?

Archiwariusz wymienia mi kilka tytułów: „Ziemia obiecana", „Chłopi" — za których otrzymał nagrodę Nobla.

— Nie, niestety, rzeczywiście nie znam go.

— Jego książki są przetłumaczone także na niemiecki.

Reymont mieszkał przez pewien okres w tym mieście. Umarł w roku 1925.

Później szukałem jego nazwiska w słownikach. Znalazłem małe jedynie wzmianki. Ale pewna starsza pani, której mały antykwariat czasem odwiedzam, była zorientowana i pokazała mi wydany przed paroma laty u nas egzemplarz. Dzięki wieloletniemu obcowaniu z książkami stała się ona sama żywą historią literatury. Powiedziała do mnie: — To musi pan przeczytać.

I tak przeczytałem dzieło Reymonta. Powieść jest podzielona według pór roku, a całość jest wspaniałą epopeją. Reymont opowiada o życiu na polskiej wsi. Fakt, że doszło do tego spotkania, zawdzięczam niepozornemu szyldowi ulicznemu.

Tłumaczył:
KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

odmienny, bogaty i malowniczy. Dlatego, jeżeli dla naszego miasta nie znajdziemy form architektonicznych, form urbanistycznych dających przestrzenne rozrzeźbienie zabudowy wtopionej w zieleń, operującej małą architekturą dla wzbogacenia skali doznań, to obraz Łodzi nigdy nie będzie taki, jaki marzy się nam wszystkim: mieszkańcom i architektom. Architektura musi wrócić do człowieka, wytworzyć skalę dla niego właściwą. Czasem będzie to zmasowany kompleks, czasem rzeźbiarskie, a nawet romantyczne rozdrobnienie form. Ale zawsze musi to być odpowiednik otoczenia i funkcji, umiejętność rozdziału tych zagadnień jest tu ogromnie ważna. Co, gdzie i kiedy. Puryzm w architekturze jest dobry jako kontrast. Jako zasada jest ubogi.

— Co decyduje o tym, że twórczość Pana jest dla siebie samej konsekwentna — obiekty kultury — jaką rolę spełnia, komu chce Pan służyć? Jak by Pan scharakteryzował swój typ myślenia?

— W odpowiedzi chciałbym zacytować słowa wielkiego malarza, Légera, wygłoszone wiele lat temu na zjeździe Międzynarodowej Unii Architektów:

„Jesteście bardziej istotami społecznymi niż artystami... architektura nie jest tylko sztuką — jest naturalną funkcją, jest zrośnięta z ziemią jak zwierzę czy roślina. Jest funkcją porządku społecznego. Nie zapominajcie o tym".

Często właśnie obawiamy się tego typu sformułowań, tego typu słów. Wydaje nam się, że niektóre słowa brzmią zbyt pompatycznie. Architekt nie tworzy dla siebie. Tworzy dla społeczeństwa, dla mieszkańców, dla pokoleń — to zobowiązuje. I nie jest ważne czy robi się obiekty unikalne czy projektuje się obiekty duże, reprezentacyjne, wszystko, co robimy, powinno być opracowane z myślą o ludziach, którym nasza praca ma służyć. W konkretnym przypadku zespół kultury jest miejscem, gdzie się przychodzi na spacer, gdzie się przychodzi marzyć do galerii sztuki, do kina, do filharmonii, gdzie można przyjść w niedzielę z rodziną, gdzie można sobie posiedzieć na ławce w zieleni. Tu kon-

— Może władzom architektonicznym miasta brak jest jeszcze jakichś argumentów dla podjęcia ostatecznej decyzji?

— Argumentów, powiada pan? Należałoby tu podkreślić rolę i wagę tego rejonu dla całości śródmieścia i jego centrum. W pierwotnie projektowanym centrum — którego granice miały stanowić ulice: Główna i Narutowicza — pominięto w zasadzie zagadnienia kultury. Zespół kultury przy ulicy Głównej był próbą poprawy sytuacji, ale nie rozwiązywał kompleksowo tego problemu. Generalnie cała strefa kultury, cały główny jej trzon, a więc najważniejsze obiekty kultury, tzw. obiekty I-go rzędu, znalazły się poza tym obszarem. Otóż zgrupowanie tych obiektów znajduje się w rejonie historycznego Nowego Miasta, obecnie placu Wolności. Są to obiekty rozproszone, ale ich środek ciążenia to właśnie ten zabytkowy plac. Zresztą można by wymienić niektóre z nich, chociażby teatry: „Nowy", „Jaracza", „Powszechny", Opera, muzea: Archeologiczne i Etnograficzne, projektowane Muzeum Historii Miasta Łodzi, Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, Muzeum Sztuki, uczelnie muzyczne, zabytki architektury przemysłowej i sakralnej przy ul. Ogrodowej i wiele innych elementów kultury — wszystkie one znalazły się poza właściwym centrum. Wobec tego wytworzył się w Łodzi dość specyficzny przypadek, to znaczy jakby wyodrębnienia tej „reszty" zespołu kultury poza centrum, właśnie w rejonie placu Wolności. Uważam, że teren ten powinien być środowiskiem zintegrowanym z centrum i trzeba go ukształtować nie w odizolowaniu od reszty i przewidzieć nową formę dla podkreślenia jego historycznej roli — właśnie kiedyć ośrodka władzy miasta z jej symbolem — ratuszem, tradycji wolnościowych, uwieńczonych zwycięstwem i usytuowaniem pomnika Tadeusza Kościuszki — te względy stwarzają nam podstawową płaszczyznę wyjściową do dyskusji na temat rewaloryzacji rejonu placu Wolności.

— W Pana planie urbanistycznym placu Wolności (d. Nowego Miasta) widzimy wyraźne strukturalne podejście do problematyki miejskiej. Funkcje wewnętrzne i zewnętrzne, przestrzenie prywatne i społeczne, mikro- i makroskala zaczynają nabierać znaczenia, projektuje Pan więc kompleksowo całe środowisko ludzkie i wzajemne powiązanie poszczególnych fragmentów istniejących, przekształcając w nową jakość, zawsze z szacunkiem dla historii — ta zasada projektowania nie ma wielu zwolenników w Łodzi — może Pan nas przekona? Czy piękno traktuje Pan bezkrytycznie?

MIĘDZY FABRYKĄ DOMÓW A BACHEM

takt z otoczeniem jest łatwy. Gdzie nie przychodzi się jak do domu towarowego po zakupy i ucieka szybko do domu. Jest to więc zespół architektury, który powinien wytworzyć sentyment do miejsca, do otoczenia, do miasta. Obraz kamiennego, czy może raczej betonowego, czy też szklanego miasta jest cokolwiek przerażający. Zespół taki odcięty od samego zaplecza, od parku i ludzi jest zespołem martwym. Jest nieprzyjemny i antyhumanistyczny. Czasem przyjmujemy takie rozwiązania, przyjmujemy je tam, gdzie rodzaj zabudowy i teren tego wymaga, gdzie funkcja jest specyficzna, a więc na przykład przemysł. Od rodzaju inwestycji zależy efekt urbanistyki zespołu, pejzaż miasta.

— Stwarza Pan ustawiczne konflikty w łonie miasta — zyskał Pan zasłużoną popularność, projektując rejon placu Wolności a teraz uzyskał Pan dużą szansę, aby kształtować urbanistycznie rejon Główna II (Nawrot — park Sienkiewicza), obiekty, które Pan będzie realizował z racji ich wysokiej rangi architektonicznej przesądzają, sądzę, o dalszych decyzjach planistycznych dla tej dzielnicy, czy znowu Pan zyska przywileje generalnego projektanta całości tego założenia?

— To brzmi prawie jak „wróg publiczny nr 1"! Powiada pan, konflikty — może — ale ja to rozumiem tak: jeżeli konfliktem nazwiemy protest przeciwko nudzie, monotonii, uniformizmowi, przeciwko beznadziejnej, pozbawionej cech indywidualnych architekturze — to wywołuję czasem takie konflikty. Jest to protest przeciwko ubraniu w jeden mundurek całego miasta, powiedzmy, tak specyficznych rejonów jak plac Wolności. Ale celem mojej pracy nie jest wytwarzanie atmosfery konfliktowej, wręcz przeciwnie, co nie znaczy, żeby dla „świętego spokoju" rezygnować z własnych przekonań, z poczucia odpowiedzialności za przyszły przestrzenny kształt miasta. Pamiętam zawsze, że to, co dzisiaj stawiamy, budujemy, będzie służyć przyszłym pokoleniom, że to również kształt roku 2000. A co do funkcji, czy jak pan to nazwał przywilejów generalnego projektanta w rejonie objętym opracowaniem konkursowym filharmonii, to sprawa wygląda nieco inaczej. Budowa gmachu filharmonii jest zadaniem pierwszoplanowym. I tu niewątpliwie chyba będę głównym projektantem, ale o losach tego rejonu zdecydują względy o znaczeniu szerszym. To już nie pojedynczy obiekt, ale kompleks, fragment centrum. I tu będą decydowały względy nadrzędne. Tu rywalizacja jest dobra na etapie konkursu, a ścisłe współdziałanie na etapie realizacji. Tylko tak rozumiem swoją rolę jako autora gmachu filharmonii. Nie znaczy to, żebym nie miał ochoty włączyć się szerzej do przedmiotowego dialogu architektów na ten temat. Nie mam zakusów monopolisty, a sam fakt wygrania konkursu jeszcze o niczym nie świadczy.

— Jak akcentowałby Pan problem integracji przestrzennej nowych „otwartych całości" z zabudową istniejącą?

— Stan naszego miasta wymaga daleko idących przekształceń, ale przecież nie zniszczymy takich zespołów jak ulica Piotrkowska, ulica Moniuszki, zabytkowe parki wraz z pałacami i willami, ratusza i kościołów, monumentalnych fabryk włókienniczych przy ul. Ogrodowej czy ul. 8 Marca, zespołu Księżego Młyna. Te obiekty będą stanowiły ozdobę naszych nowych realizacji, nowych zamierzeń. Tam, gdzie jest to niezbędne, musimy dokonać radykalnych przekształceń, uzdrowienia chorego organizmu. Jednocześnie musimy to robić z myślą, że nie wolno nam zaprzepaścić dorobku pokoleń. Współżycie zabudowy zabytkowej z zabudową nową, chociaż jest zagadnieniem trudnym, to jednak projekty opracowane w sposób właściwy i umiejętny wzbogacają miasto o oryginalne formy i efekty plastyczne. Wzbogacamy miasto, wprowadzamy nowe i charakterystyczne rozwiązania placów, ulic i różnych punktów w perspektywie panoramy miasta. Uczymy szacunku dla tradycji i historii, bowiem stale rosną aspiracje kulturalne mieszkańców Łodzi, a więc przed architektami stają poważne nowe zadania.

— Zwrot do subiektywizmu w Pana projektowaniu miasta można zapewne określić jako próbę obrony człowieka przed unifikacją, jaką niesie mu gwałtowna przebudowa Łodzi.

— Tak właśnie to rozumiem. Wielki głód mieszkaniowy panuje w Łodzi i wiele jeszcze trzeba zrobić na tym polu. Ale wzrastająca zamożność mieszkańców miasta dopinguje, ażeby przejść do ofensywy architektonicznej na rzecz człowieka.

— A więc jednak pańska wyobraźnia żywi się właściwościami osobliwego miasta — Łodzi przemysłowej — jak dalece?

— Myślę, że zawsze warunki nas otaczające mają wpływ na nasze działanie i widzenie przestrzeni. I choć każda epoka niesie własne, nowe spojrzenie, nie wyrasta z niczego, jej początki tkwią w dorobku historycznym, w tradycji. Ten dorobek rzutuje na nasze dzisiejsze działanie i po przeselekcjonowaniu tego, co ważne, cenne, po skonfrontowaniu z potrzebami jutra, wyznacza kierunek i cel...

— Można by cytować wiele przykładów, spośród których wybieram jeden kierunek pańskiej działalności: przebudowa rejonu placu Wolności. Rzeczywiście, znalazł Pan współczesną interpretację trwałych walorów krajobrazu historycznego. Ta bardzo interesująca propozycja urbanistyczna doczeka się realizacji?

— Rejon placu Wolności, dawnego Nowego Miasta Łodzi sukienniczej, w moim głębokim przekonaniu jest dla miasta rejonem szczególnym. Z jednej strony dziedzictwo historyczne, sam plac i sąsiednie zespoły zabytkowe z unikalną Piotrkowską, z drugiej — rejon o największej koncentracji obiektów kultury. Wszystko to podnosi rangę zespołu. Jednakże ten fragment miasta ze względów społecznych wymaga gruntownej przebudowy. Nie ma co ukrywać. Jest to również rejon slumsów. Opłakany stan techniczny budynków, zagęszczenie i warunki biologiczne bytowania mieszkańców nie mogą być dalej tolerowane, a żadna „kosmetyka" elewacji nic tu nie pomoże... Oczywiście przebudowa tego rejonu jest kosztowna i trudna realizacyjnie. Zrozumiałe jest, że zabieg operacyjny tej inwestycji budowlanej nie potrwa rok. Ponadto, nasze działanie nie może być połowiczne, ale trzeba pamiętać, że już najwyższy czas przystąpić do tej operacji zanim pacjent umrze — zanim budynki zaczną się ludziom walić na głowy. Ten rejon również będzie decydował o ostatecznym wyrazie tej części śródmieścia łódzkiej starówki. W opracowanym planie miejscowym śródmieścia, ten problem został doceniony, choć realizacja została określona na etap dość odległy.

— Nie chciałem zrobić zwykłego, przeciętnego planu przebudowy miasta, ale urbanistykę dobrze zintegrowaną z otoczeniem. Chciałem stworzyć fragment miasta, gdzie człowiek może swobodnie spacerować, nie troszcząc się o samochód, gdzie zadziwiać go będzie stara architektura i fascynować nowa forma architektoniczna. Chciałem odnowić oblicze Łodzi. Dążenie do piękna jest stare jak rodzaj ludzki. Piękno jest człowiekowi potrzebne jak woda i słońce. Nie można go zamknąć w probówce i wyłączyć z życia. Wbrew opinii wielu ludzi uważałem zawsze, że architekturę Łodzi cechować powinno bogactwo formy, nie może być ona zuniformizowana. Uniformizm nie jest metodą działania na długą metę. Jest ubogi. Zaprzecza różnorodności życia. Monotonia jest zabójcza dla rozwoju osobowości.

— Według Pana, architektura Łodzi musi być wyrazem fantazji i inwencji projektanta, musi być piękna i twórcza — czy Pan kończył studia we Włoszech?

— Jest to refleksja zaskakująca mnie... nie, skądże, nie kończyłem moich studiów we Włoszech... studiowałem na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej.

— Wielu ludzi uważa że najlepiej przezwyciężać problem zagęszczenia, budując nowe miasto Łódź „od zera", szkoda czasu na „cackanie" ze śródmieściem, chyba jest to źle pojęty patriotyzm lokalny?

— Z tą budową miasta „od zera", to nie taka prosta sprawa. To, co najłatwiejsze, wcale nie musi być słuszne. Naprawdę to chodzi o nowe oblicze Łodzi, o historyczne dzielnice do podziwiania i nowoczesne dzielnice na ludzką skalę, coś sympatycznego i bliskiego, chodzi o miasto i jego historię.

— Warunki konkursu na centrum kultury przy ul. Głównej — Nawrot — Tuwima określały ten teren prawie jako pusty, według mnie wybrano niewielki kwartał dzielnicy śródmiejskiej dla realizacji bardzo bogatego programu użytkowego, jak należy tłumaczyć sens totalnych wyburzeń — bowiem na nowo zagęszcza się ten „kawałek ziemi" czy słusznie? Czy nie należało na przykład powiększyć park Sienkiewicza, wyburzając tylko rudery?

— Powiedzmy sobie od razu, że określenie: centrum kultury dla tego zespołu obiektów (filharmonia, kino, galeria) jest nieporozumieniem. Jest to tylko zespół kultury przy innych funkcjach tego fragmentu miasta, jak choćby handel. Układ obiektów kultury bardzo zwarty, wzbogacający część CENTRUM funkcjami kulturalnymi. Do rangi centrum kulturalnego jest przesadnie „ciut daleko" — dwa kina, filharmonia i galeria to jeszcze nie centrum. W rejonie placu Wolności, jak już powiedziałem, jest obiektów kultury siedemnaście, wtopionych w historię i zabytki miasta. A więc nazwa centrum kultury dla otoczenia filharmonii wyrosła z lekkiego, nazwijmy to, przerostu ambicji. Lepiej brzmi bowiem centrum niż zespół. Nazwa centrum pachnie wielkim światem, nobilituje niejako jego autora. A ponadto odciąga uwagę od niepopularnego, bo zbyt trudnego tematu przebudowy rzeczywistego centrum kultury w rejonie placu Wolności. Lokalizacja filharmonii w parku Sienkiewicza jest słuszna, przebudowa miasta musi rozrastać się w głąb kwartałów, nie możemy robić „ulicówki" i obudowywać tylko parawanem smutne oficyny ulicy Sienkiewicza czy ulicy Nawrot. Trzeba kochać zieleń, a park Sienkiewicza powiększyć o tereny przewidzianych wyburzeń prawie dwukrotnie.

— Urbanizacja Łodzi nie jest równoznaczna z „umiastowieniem", centrum handlowo-kulturalne mieszczące sklepy wszelkiego rodzaju, galerie obrazów, wielki dom towarowy, boutiques, restauracje, kino (multikina) wśród zieleni i kwiatów, place parkingowe, na które zjeżdżają setki samochodów z łódzkimi rodzinami — czy Pan może nam przedstawić wizję „rajskiego śródmieścia" Łodzi, ośrodek skondensowanej kultury, rekreacji i handlu?

— Zawiodę pana. Niewątpliwie barwną wypowiedzią byłoby przedstawienie olśniewającej wizji wyciągniętej niejako „zza pazuchy". Ale byłaby to wizja złudna i nieprawdziwa. Proces przekształcenia miasta, jego rewaloryzacja to operacja gigantyczna i trwa w czasie. Obecnie został opracowany plan miejscowy śródmieścia. Jest to plan wyjściowy i strategiczny. Zarysowanie kierunków głównych decyzji planistycznych. A wizja przestrzenna, obleczona w konkretny kształt architektoniczny, jest na razie przeczuwalna. Rozumiem, że chciałby pan dać czytelnikom tę przynajmniej wstępną wizję nowego CENTRUM. Ale jesteśmy właśnie w punkcie, od którego zaczyna się zupełnie inne spojrzenie na możliwości i perspektywy rozwoju naszego miasta. Gdzie następuje przewartościowanie i zmiana sposobu nowych rozwiązań. Dlatego wszelkie wizje „ad hoc" uważam za przedwczesne.

— W takim razie może Pan opisze architekturę swojej filharmonii? Co zadecydowało o udziale w tym niezwykłym konkursie?

— Sam temat. I fakt, że był to konkurs realizacyjny. Myślę, że jest to również świadomość, żeby zaprojektować dobrą filharmonię najlepszą na jaką mnie stać, co nie znaczy, że najlepszą, jaką by można było zrobić. A jest to praca ogromna, praca dla wielkiego zespołu ludzi. Architektura, konstrukcja, elektroakustyka, mechanizacja obu estrad, oświetlenie, sygnalizacja, klimatyzacja i inne urządzenia socjalno-sanitarne. To jest 100 tysięcy kubatury, to jest pięć teatrów „Jaracza", albo dziesięć takich bloków, w jakich mieszkam, to jest budynek z salą, która ma grać jak instrument. Jest to sukces i ryzyko. Jest to praca projektanta, koordynacja, uzgodnienia, użeranie się na budowie, kierowanie całym tym procesem, to martwienie się o windę, o boazerię, czy rodzaj fotela lub lampy, o rozwiązanie kabin projekcyjnych, radiowych i telewizyjnych. Ale to jest mój zawód i mój sukces, że mogę zaprojektować tę skomplikowaną maszynerię, którą jest współczesna filharmonia, cegiełka w organizmie miejskim. Sukces w konkursie jest tylko jednym z etapów naszego życia zawodowego. Chyba zrobiłem udaną koncepcję projektu, teraz myślę o tym, żeby udał się budynek, w którym chcielibyśmy usłyszeć najlepsze koncerty świata. Spełnione marzenia to szczęście, lecz o ogromnej zależności od wielu rzeczy. Na zakończenie naszej rozmowy zacytuję fragmenty wiersza Bułata Okudżawy, z którym można utożsamiać pracę architekta:

„Zbuduj mi dom przyjacielu
A proszę o dom taki
Żeby się cały w lesie skrył.
W lesie śpiewają ptaki (...)
Wznoś ten dom — jakbyś wiersz pisał,
Tak jak obraz malujesz:
Jak chcesz, jak czujesz i umiesz,
Jak chcesz — choć ryzykujesz".

Rozmawiał:
ANTONI SZRAM

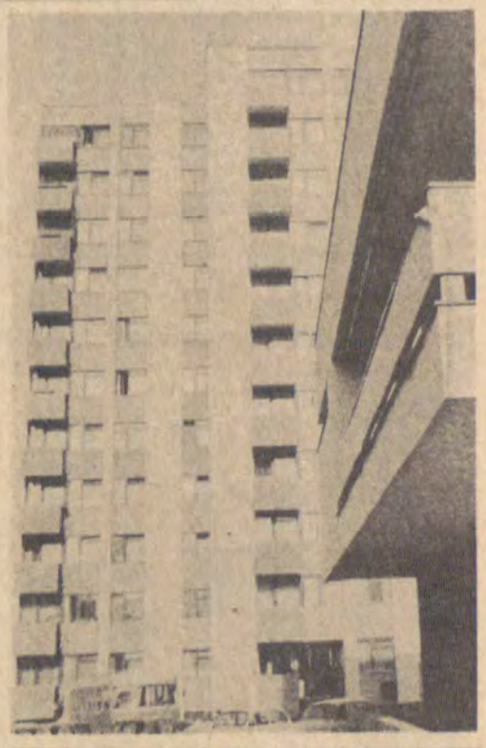

Fot. Włodzimierz Parys

LEKCJA LITERATURY

„LORD JIM“ JOSEPHA CONRADA

Fot. Archiwum

„Lord Jim“ jest w Polsce wizytówką twórczości Conrada. Książka ta – opowiadająca dzieje ambitnego młodzieńca, walczącego o odzyskanie utraconego honoru – projektowana zrazu w skromnych wymiarach noweli, a ukończona w 1900 roku w postaci dwuczęściowej powieści, doczekała się różnych interpretacji. Wieloznaczna i zasobna problemowo powieść Conrada stwarza wiele pokus, uleganie którym oddala nas od tekstu literackiego i utrudnia jego zrozumienie.

Jedna z owych pokus sprowadza wyjaśnianie sensu powieści do oceny jej tytułowego bohatera, co powoduje, że dyskusje nad „Lordem Jimem“ naśladują niekiedy procedurę wymiaru sprawiedliwości. Z własnych doświadczeń szkolnych przypominam sobie takie pozorowane rozprawy nad latarnikiem Skawińskim, Jackiem Soplicą, Zenonem Ziembowiczem, „lordem“ Jimem, a nawet nad... Izabellą Łęcką. Jeśli pragniemy w toku tych emocjonujących debat zgromadzić materiał istotny dla odczytania sensu dzieła literackiego, to musimy pilne dawać baczenie, by opinie formułowane wedle własnych kryteriów, a wynikające ze współczesnych wyobrażeń etycznych, odróżniać od sądów zawartych w dziele literackim, a uwarunkowanych poglądami autora, które ukształtowane zostały w określonych okolicznościach historycznych. Przestrzeganie tej zasady pożądane jest zwłaszcza w trakcie analizy takich utworów, w których los bohatera obserwowany jest jakby okiem klinicysty, traktowany przez narratora jak „przypadek“, jako objaw zjawisk ogólniejszych.

Takim właśnie badawczym stosunkiem wobec „przypadku“ Jima odznacza się kapitan Marlow, „spowiednik“ Jima, a zarazem jeden z narratorów powieści. Sprawa młodego oficera, sądzonego za najcięższe przestępstwo zawodowe, stanowi dla Marlowa trudną do rozwiązania zagadkę moralną, z którą boryka się przez wiele lat. W swej gawędzie wciąż używa on słów oznaczających niepewność, wątpliwości, przypuszczenia. Gdy wyznaje: „do dziś dnia nie wiem nic, mogę tylko zgadywać“, to ujawnia nie trudności w faktograficznym odtworzeniu biografii Jima prezentowanej przecież ze szczegółami, lecz ukazuje skalę zadania intelektualnego, przed jakim postawiła go tajemnica reakcji człowieka w sytuacjach ostatecznych prób charakteru. Analityczna skrupulatność Marlowa, jego krytycyzm i powściągliwość w ferowaniu ocen łączą się z głębokim przeświadczeniem, że historia Jima ma „ogólnoludzki charakter“, że wyraża się w niej „spór o prawdziwą istotę życia“, że jest zgoła tak „doniosła, by wpłynąć na wyobrażenie ludzkości o samej sobie“.

Dla wymowy powieści ważny jest jednak nie tylko sposób, w jaki Marlow ocenia w końcu postawę Jima. Równie istotne jest to, w jaki sposób Marlow wyjaśnia losy Jima, to, czym motywuje jego postępowanie. Wreszcie, nie mniej istotny jest także wpływ, jaki sprawa Jima wywiera na światopogląd Marlowa. Rozważenie tych trzech kwestii wydaje się być koniecznym warunkiem dla osiągnięcia swego rodzaju minimum interpretacyjnego.

Udzielenie odpowiedzi na postawione wyżej pytania nie należy do zadań łatwych. Stosunek Marlowa do Jima nie da się określić w jednoznacznych pojęciach solidarności lub dezaprobaty. Marlow jest w równej mierze obrońcą, co i oskarżycielem Jima. Ukazuje „przypadek“ w dwóch oświetleniach: subiektywnych intencji bohatera i obiektywnych skutków jego działania. Prezentuje raczej problem oceny człowieka niż gotową ocenę.

Przypomnijmy, że Jim przynajmniej trzykrotnie znalazł się w krytycznych sytuacjach kontrolnych: na statku szkolnym, na parowcu „Patna“ i podczas najazdu bandy Browna na malajską wioskę. Poniósł w nich klęskę, ujawniając bądź brak odporności na trwogę, bądź błędną ocenę położenia, bądź też obie te wady razem. Każde niepowodzenie potrafił jednak zamienić w swoje duchowe zwycięstwo.

Pospolitość ratunkowej akcji kolegów ze statku szkolnego pokrzepiła go na duchu, umacniając w nim przekonanie, że został przeznaczony do czynów bardziej efektownych w swym heroizmie. Po wypadku „Patny“ dał dowód cywilnej odwagi podczas upokarzającego procesu sądowego, stawił czoła swej hańbie, czym zyskał sympatię, a nawet zaufanie Marlowa. Po masakrze w Patusanie złożył daninę swego życia, w czym Marlow skłonny jest dostrzec wykorzystanie szansy rehabilitacji. Po haniebnej dezercji Jim wykazał „moralną prostotę“, a później także męstwo, bystrość umysłu i poświęcenie.

Obrazowi, złożonemu z „plusów“ i „minusów“, odpowiada w powieści ambiwalencja ocen, proponowanych przez narratora. Najmniej wątpliwości budzi incydent na „Patnie“. Racje wysuwane przez Jima Marlow nazywa „złudzeniami“, „wykrętami mającymi na celu ucieczkę od ponurego cienia samowiedzy“, tłumiącymi jedynie „ból prawdy“. Ironiczne interwencje Marlowa przerywają często monolog Jima, by przywołać brutalną jednoznaczność faktów, gdy tylko uduchowiony winowajca usiłuje usprawiedliwiać swój akt słabości. Krytykę Jima pogłębiają też ujęcia kontrastowe: 17 minut Jima na „Patnie“ — 30 godzin porucznika kanonierki, tkwiącego na posterunku ratunkowym, grożącym śmiercią w każdej chwili; wyniosłość i duma Jima — prostota i skromność porucznika, o którym Marlow powiada, że „należał do tych spokojnych, godnych zaufania ludzi“, że „było to jedno z nielicznych istnień grzebanych bez trąb i bębnów, istnień, które są podwalinami wspaniałych osiągnięć“.

Z drugiej strony jednak udręka Jima, jego szczerość, nastawienie ekspiacyjne, wspomniana odwaga cywilna i realne efekty rehabilitacyjnych poczynań w Patusanie, gdzie zdobył właściwie „wszystko“ („zaufanie“, „sławę“, „arkadyjską szczęśliwość“, „wielkość“, „miłość“, „przyjaźń“), wreszcie śmierć dla zmazania winy (tym razem zresztą już problematycznej) — świadczą na korzyść bohatera i ocalają opinię Marlowa, że Jim był człowiekiem wartościowym.

Jak już zauważyliśmy, nie tyle kontrowersje ocen są wyższe, co wnioski, które Marlow wyciąga ze sprawy Jima. Trop ten wskazują dyskretnie liczne aluzje i zawoalowane dyrektywy narratora. Na samym początku swej relacji wskazuje na nieistotność pytań, stawianych przez sąd: „Przedmiotem badań nie było zasadnicze: d l a c z e g o, ale powierzchowne: j a k to się stało“ (podkreślenia Conrada). Lukę tę zapełniają dociekania Marlowa, który sugeruje słuchaczom swej opowieści motywację klęsk i zwycięstw Jima. Sugestie te zmierzają do wykazania, że życie Jima nie było zbiorem fatalnych przypadków, że scalała je osobowość bohatera, nazywana „romantyczną“.

Termin ten ma wiele znaczeń potocznych, służących do określania cech psychicznych człowieka i jego wrażeń estetycznych, jak również wiele znaczeń, odsyłających do określonej epoki w dziejach kultury, stylu artystycznego, obyczajowości, etyki i filozofii. W omawianej powieści chodzi o pewne nastawienie do życia, ukształtowane w kulturze duchowej romantyzmu, które celem egzystencji czyni realizację ambicjonalnych aspiracji jednostki.

Postawę Jima cechuje egotyzm, widzenie świata przez pryzmat swych ambicji i pragnień „wielkości“. Jim rozpatruje wszystkie możliwości życiowe pod względem ewentualnych korzyści honorowych, jakie mógłby z nich wynieść. Kryzys woli zaskakuje Jima (na statku szkolnym i na „Patnie“) w chwilach wzmożonego marzycielstwa i „bezgranicznej wiary w siebie“. Styl jego myślenia nie zmienił się jednak po tych próbach.

Jego boje duchowe podczas procesu naznaczone są znamienną jednostronnością. „Nie miał czasu żałować tego, co stracił, tak całkowicie i po prostu przejął się tym, czego osiągnąć nie zdołał“. Stracił honor, lecz żałował nie osiągniętej wielkości. O wypadku myśli wciąż w kategoriach zmarnowanej szansy do popisu: „Co za sposobność przepadła! Mój Boże, co za sposobność“. Plany na przyszłość streszczają się w haśle „polowania na sposobność“. Gdy znajdzie się w Patusanie, oświadczy: „Nie przepuszczę takiej wspaniałej okazji“.

Ów wymarzony czyn, zapewniający nominację na bohatera, Jim wyobraża sobie według wzorów romantyczno-rycerskiej tradycji, z właściwą tym wzorom efektowną pod względem estetycznym oprawą. Swój program życiowy opiera na wizji sukcesów, zdobyczy wyjątkowych, a nie na powinnościach codziennych, niezawodnej służbie na wyznaczonym przez społeczny podział pracy posterunku. Marząc o aktach poświęcenia dla innych, Jim myśli w pierwszej kolejności o sobie, a nie o ludziach, na rzecz których miałby świadczyć. Charakterystyczne, że nawet kiedy w Patusanie pocznie czerpać satysfakcję z systematycznej pracy dla miejscowej społeczności, Marlow i tak dostrzeże w miłości Jima do tego kraju „namiętny egoizm“, „pogardliwą czułość“, „coś w rodzaju rafinowanego, podniosłego samolubstwa“, a w śmierci bohatera — „wzniosły egoizm“.

Takie właśnie rozłożenie akcentów w stosunku bohatera powieści do życia stanowi podstawę hipotezy Marlowa o romantycznej genealogii osobowości Jima. Na romantyczność Jima składa się cały wachlarz cech (skłonność do egzaltacji i marzeń, wierność ideałom, altruizm, „szlachetny zapał“, maksymalizm etyczny itd.), ale najistotniejsze wydaje się wyeksponowanie specyficznego stylu jego kontaktów z otoczeniem. Sfera praw jednostki, mianowicie, podporządkowuje sobie sferę obowiązków społecznych, co w konsekwencji los innych ludzi czyni narzędziem zaspokojenia potrzeb duchowych jednostki.

„Przypadek“ Jima posłużył więc narratowi do rozważenia wartości określonego nurtu kultury. W tradycyjnej opozycji: jednostka – społeczeństwo nurt ten preferuje człon pierwszy. Analiza Marlowa wydobywa na przykładzie losów młodego „romantyka“ ryzyko, jakie wiąże się ze światopoglądem, zbudowanym na fundamencie romantycznych antynomii.

Idea powieści Conrada nie sprowadza się jednak do polemiki z tak pojmowanym romantyzmem. Sprawa Jima nabiera znaczenia bardziej uniwersalnego. Zarówno Marlow w swej gawędzie, jak i Conrad w przedmowie do książki, nazywają Jima „jednym z nas“. Ten często powtarzany zwrot natrętnie naprowadza na trop interpretacyjny, wymagający szczególnie wnikliwej lektury. Z kontekstów w jakich pojawia się ów zwrot, wyczytać możemy, że Jim pochodził „z dobrego gniazda“, był „dobrze wychowany“, był „przyzwoitym człowiekiem“. Przynależy do społeczności europejskiej, legitymującej się postępem cywilizacyjnym, normami honoru i godności, ideami solidarności, odpowiedzialności, rygorami zawodowych etyk. Ta reprezentatywność Jima sprawia, że jego reakcje są tak istotne i pouczające dla Marlowa. Jeśli budzą jego niepokój, to dlatego, że demaskują słabości kultury, która ich łączy, ujawniają nieskuteczność owego „dobrego wychowania“, złudę „przyzwoitości“. Jim „tak bardzo przypominał każdego z nas, iż przez to stawał się niebezpieczny“ — wyznał wprost Marlow, któremu nieobce były stany zwątpienia w trwałość ustalonych reguł postępowania.

Sprawa Jima staje się katalizatorem tych obaw. Marlow zauważa „umowność czającą się w każdej prawdzie“, podkreśla konwencjonalny charakter norm moralnych jako tworów społecznych, pozbawionych nadrzędnej gwarancji (tzn. takiej, jaką niegdyś powszechnie była religia). Nazywa je nawet „złudami“, dla których pożywką jest okres młodości. Fakt, że Jim (jeden z nas) nie potrafił niczego w swym wnętrzu przeciwstawić autentyzmowi instynktu samozachowawczego, prowokuje Marlowa do sceptycznych uwag o jakości obronnych mechanizmów moralnych, w jakie wyposażeni jesteśmy przez kulturę dla odpierania ataków „ciemnych sił“ natury ludzkiej.

„Przypadek“ Jima pobudza także Marlowa do, szerzej nie zdekonspirowanego, rachunku sumienia. Szereg aluzyjnych napomknień i tajemniczych wydarzeń wywołuje wrażenie, jakby w losach Jima wielu szacownych obywateli odnajdywało cień własnego grzechu, jakby proces Jima przypominał im o własnych błędach i słabościach, ukrytych pod maską przyzwoitości.

Narracja Marlowa, wyjątkowo w tej materii skąpa, odsłania jakieś, bliżej nie zidentyfikowane, skazy w ich sumieniach. Dotyczy to wielu postaci: sklepikarza Marianiego, który obciążony jest jakimś tajemniczym „niemoralnym zobowiązaniem“ wobec mechanika z „Patny“; Steina, który przyznaje się do zmarnowanych „sposobności“ i skłonny jest uogólniać tę cechę („Każdy z nas pamięta o paru takich...“); nieskazitelnego kapitana Brierly, o którym oficjalnie wiadomo, że „nigdy w życiu nie popełnił żadnego błędu“, ale którego nieoczekiwane samobójstwo komentowane jest przez Marlowa jako „wyrok... we własnej sprawie“; wreszcie dotyczy to samego Marlowa, który „ze względu na samego siebie“ pragnie „znaleźć choćby cień czegoś, co by mogło wytłumaczyć postępek“ Jima-dezertera, w innym zaś miejscu wyznaje, że posiada „aż za dużo poufnych wiadomości o samym sobie, wiadomości, które będą dręczyły moją duszę aż do końca wyznaczonych mi dni“.

Skalę niepokojów, ujawnionych przez „przypadek“ Jima, wyznaczają dwie wypowiedzi Marlowa, spinające powieść myślową klamrą; jedna bowiem znalazła się na samym początku relacji, druga natomiast przy jej końcu. W pierwszej wypowiedzi narrator wyznaje, że zajął się sprawą Jima, powodowany złudną nadzieją, że przy pomocy Jima zdoła pokonać w sobie „coś, co jest najuporczywszym z upiorów stworzonych przez człowieka: jątrzące zwątpienie (...) o suwerennej władzy, królującej w ustalonym wzorze postępowania“, że uzyska „egzorcyzm przeciwko duchowi zwątpienia“. W drugiej wypowiedzi zastanawia się, czy Jim „w końcu nie przyjął wiary potężniejszej niż prawa ładu i postępu“. W ten sposób okazuje się, że Marlow, na którego rozróżnieniach dobra i zła opiera się w powieści całe wartościowanie postaw ludzkich, który jest gwarantem ładu pojęciowego w utworze Conrada, boryka się z własną niewiarą w znaczenie norm etycznych oraz wyobraża sobie możliwość stworzenia moralności na innych zasadach niż te, które wspólnota ludzka wypracowała w toku dotychczasowego rozwoju społecznego.

„Lord Jim“ nazwany został swego czasu „biblią świeckiej moralności“ („Polityka“, 1969, nr 25). W istocie powieść Conrada gromadzi wszystkie główne rozbieżności w etyce, jakie rozważać będzie literatura dwudziestowieczna. Sposób, w jaki „przypadek“ Jima został zbadany i skomentowany, znamionuje wszechstronność i antyschematyzm. Pisarz dopuszcza do głosu tyle racji i dostrzega tyle możliwości interpretacji prezentowanych postaw, że powieść jest właściwie przeglądem różnych stylów myślenia na tematy moralne. „Lord Jim“ jest także próbą opanowania kryzysu pojęć moralnych, jaki zarysował się u schyłku ubiegłego stulecia, czego najjaskrawszym wyrazem była twórczość Fiodora Dostojewskiego. Jest literackim zapisem tych rozterek, ujawnianych i dyskutowanych także w innych utworach: „Jądrze ciemności“ „Nostromo“, „W oczach Zachodu“ i wielu innych utworach, zapewniających Conradowi pozycję klasyka nowoczesnej literatury. Należy on do tych wielkich mistrzów pióra, którzy — jak tego dowodzi choćby omawiana dzisiaj powieść — prozę artystyczną uczynili w XX wieku sztuką wyrazu najtrudniejszych myśli człowieka: myśli o sensie życia, o wartości i źródłach praw moralnych, o zagadkowej — trudnej do poznania i pełnej sprzecznych dążeń — naturze człowieczeństwa.

JERZY RZYMOWSKI

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

HONORATA CHRÓŚCIELEWSKA

Fot. Włodzimierz Parys

HONORATA CHRÓŚCIELEWSKA, ur. 26 września 1924 roku w Łodzi, debiutowała w roku 1957 wierszami dla dzieci na łamach „Świerszczyka“. Bezpretensjonalne, zdradzające wrażliwość pisarki na barwę, dźwięk, zjawiska przyrody strofy Chróścielewskiej pojawiły się w latach następnych w „Głosie Robotniczym“ i w „Odgłosach“.

W roku 1964 natomiast ukazała się pierwsza książka, z miejsca zwracając na siebie uwagę krytyki. Akcja „Córki tego, co tramwaje jego“ rozgrywa się w Łodzi, oglądanej oczyma paroletniej dziewczynki. Pod tym względem rzecz nie była nowością. Nie pierwszy to utwór powieściowy, w którym posłużono się owym zabiegiem, a mieliśmy tu już prawdziwe majstersztyki, że przypomnę tylko „Omyłkę“ Prusa, a także „Pisklęta“ Rogoszówny czy „Stacha Sobie-Pana“ Bobińskiej. Silną stroną książki są konkretnie realia fabuły i specyficzna leksyka.

Egzystencja mieszkańców łódzkich czynszówek nie upiększona bynajmniej, nie retuszowana, umieszczona jest jakby w tle tekstu. Dzieje się tak dzięki temu, iż rolę narratora wydarzeń, obserwatora świata powierzono dziecku. Na ten świat narrator powieści Chróścielewskiej patrzy w miarę naiwnie, w miarę dojrzale, nawet szyderczo i pobłażliwie zarazem. Na plan pierwszy wysunięto w fabule również dzieci. Uczestniczą one w życiu dorosłych na swój sposób, przeżywają ich troski i komentują je. Dziecięce zabawy, figle, dziecięce dramaty i uciechy wnoszą do książki nastrój żywy, niefrasobliwy, przydając jej specyficznego wdzięku. Elementy owe sprawiają, że wizerunek proletariackiej Łodzi dwudziestolecia międzywojennego, potraktowany realistycznie przecież, zgodnie z prawdą tych lat, nie przygniata smutkiem, nie trwoży pesymizmem przeżyć, nie jawi się w typowym dla dziejów naszego miasta szaroczarnym kolorycie.

W następnej powieści, „Lekcji więcej nie będzie“, wydanej w roku 1968, widzimy Łódź zwyciężoną, okupację i walkę o przetrwanie, oglądane oczyma młodej dziewczyny. Zarówno w „Córce tego, co tramwaje jego“, jak i w „Lekcji więcej nie będzie“, znajdują się liczne motywy autobiograficzne, wzmacniające efekt autentyzmu.

Powieść o Hance Lenkowskiej można nazwać traktatem o nadziei. W pokoleniu Hanki, szukającym dróg przetrwania, każdy opierał tę nadzieję na czym innym. Bohaterka, początkowo bezradna wobec toczących się wypadków, rozpoczyna pracę w niemieckiej fabryce kosmetyków, potem zostaje listonoszką. Spotyka wielu różnie nastawionych wobec życia ludzi. Stara się zachować własną, niezależną postawę, mówiąc językiem potocznym — „własną twarz“. Przypadek styka ją z młodzieżową organizacją podziemną.

Optymistyczna w rozwiązaniach powieść Chróścielewskiej jest jednak konfrontacją wielu postaw. W trudnych latach okupacji inni bohaterowie utworu wybierali najrozmaitsze drogi, by porównać tylko wybory, dokonywane przez Jolkę i Janka, Zośkę, Janeczkę i Blankę, Cześka, Mirka czy Różę.

W roku 1971 publikuje pisarka „Królową Majorki“. Tytuł książki wywołuje skojarzenie z Chopinem, panią Sand, cudowną przyrodą Validemosy i nieśmiertelnymi preludiami, sugeruje treści romantyczne. Ale nic z tych rzeczy! Akcja rozgrywa się bowiem w Łodzi w latach sześćdziesiątych, widzianej znowu — rzecz charakterystyczna – oczyma małolatki.

Spogląda ona na otoczenie wprawdzie oczyma dziecka ale oceny formułuje jak człowiek dojrzały. Dzięki jej interesującej osobowości utwór zyskuje duży ładunek humoru (nowa zdobycz pisarki), a dzięki aktywnej wyobraźni Bożenki pojawia się wyidealizowany wątek, marzycielskiego fantazjotwórstwa, budującego mity o świecie (motyw cioci Izy-milionerki), kompromitacja których wywołuje kryzys psychiczny bohaterki.

Wydaje się, że pisarka wskazując na potęgę fantazji dziecka, na rolę marzeń w jego życiu uczuciowym, trafia w sedno. Mówili już o tym tacy znawcy psychiki dziecięcej, jak Janusz Korczak, Halina Górska, Zofia Żurakowska i, wspomniana już w niniejszym szkicu, Zofia Rogoszówna. Dobrze się jednak stało, że wydobywa tę wielką rację o potrzebie marzeń, również autorka współczesna, odnajdując ją w rzeczywistości dzisiejszej, wyposażając w realia żywe, sprawdzalne w doświadczeniach młodej generacji.

W ostatniej powieści Chróścielewskiej, „Koncert marzeń“, wydanej w roku 1973 oglądamy oblicze Łodzi współczesnej. Opowieść o życiu nastolatków, młodych mieszkańców nowych osiedli snuje sama autorka. Narracja zyskuje przez to na obiektywizmie, lecz z drugiej strony — mimo wyraźnie słyszalnej nuty żalu za tym, co przemija — utwór traci pewien odcień emocjonalny, widoczny w książkach poprzednich. Brak dystansu czasowego powoduje, iż rzecz odbiera się trochę jakby pisaną „na gorąco“, a używając terminologii muzycznej (do czego upoważnia nas tytuł powieści) — trochę jak impromptu.

Twórczość Honoraty Chróścielewskiej (mowa o powieściach) — nie przeznaczona wprawdzie dla czytelnika dziecięcego — dziecku wyznacza przecież miejsce poczesne, dziecko właśnie czyni bohaterem pierwszoplanowym. Pod piórem pisarki powstaje obraz Łodzi różnych czasów, obraz budowany ze strzępów wspomnień, z okruchów utrwalanych wzruszeń, z reminiscencji drobnych, choć znamiennych, a często wręcz doniosłych, z tkliwych zamyśleń nad przeszłością. Ten „kraj lat dziecinnych“, Łódź przedwojenna, uzyskuje surowy, pełen prostoty, urok. Obecne jest świadectwo losów Łodzi okupowanej i walczącej i wreszcie Łodzi niepodległej, najmłodszej, wystawione z literackim rozmachem, jako rejestracja dynamicznych zjawisk współczesności. Te kolejne wizje miasta układają się w konsekwentną, planową kompozycję. Nie została ona jeszcze zamknięta „Koncertem marzeń“, pisarka zapewne kontynuować będzie swe oryginalne przedsięwzięcie, dochowując — jak wolno przypuszczać — wierności swym pasjom poznawczym, badającym plastyczną psychikę najmłodszych naszych obywateli.

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

HARNAM

Fotoreportaż

WŁODZIMIERZA PARYSA

DAMA NA NIEDŹWIEDZIU

Dalszy ciąg ze str. 1

słyszał rozmawiających kobiet. Widział tylko ten plac, który tyle razy pokazywał innym, którym zachwycał się i na który dziś przyszło mu spojrzeć inaczej. Mecenas jest zakochany w swoim mieście, gromadził pamiątki z jego przeszłości i wydawałoby się, że stanie się groźnym konkurentem miejscowego muzeum. I nagle ten gość, znajomek sprzed lat, który swoimi gniewnymi słowami kazał mu spojrzeć na jego miasto inaczej.

* * *

Dyrektora Zakładu diabli biorą, kiedy go pytają: — Czy Zakład jest przy mieście, czy miasto przy Zakładzie?

— To co, o plotkach mamy mówić? — odpowiada w takich wypadkach. — Owszem, był z piętnaście lat temu taki dowcipniś, co palnął przy jakiejś okazji, że tu najpierw jest Zakład, a dopiero później reszta, czyli miasto. Gdyby wiedział, ile ludziom krwi napsuł tym swoim, głupim przecież, powiedzeniem, to by się w język najpierw ugryzł.

Dowcipnisia dziś już nie ma, ale powiedzenie zostało. W społecznej świadomości utkwiło i powraca przy różnych okazjach.

— No, dobrze — powiada wtedy Dyrektor. — Ale policzmy tylko tak szybko, bez zaglądania do papierków. Tor łyżwiarski jest? Jest! Kto go zrobił? Oświetlenie ulicy nie tylko przy Zakładzie zrobiliśmy? Zrobiliśmy! A osiedle dla ponad tysiąca rodzin wybudowaliśmy, czy nie? Czy z naszego domu kultury, albo ze świetlicy przy osiedlu „Strzelecka" korzystają tylko pracownicy? Jeśli coś budujemy głównie z myślą o załodze, to nie tylko załodze później służy. Wszystkim. Miastu.

— I teraz — ciągnie dalej Dyrektor, kiedy mu ktoś miastem i Zakładem dokuczy — zaczęliśmy budować ośrodek rekreacyjno-sportowy w pobliżu Pilicy. Na początek będzie przyzwoita, z prawdziwego zdarzenia, hala sportowa. Kryty basen z trampoliną. Sauna i urządzenia do hydroterapii. Będzie to nas kosztowało przeszło 68 milionów złotych. Ale nie tylko dla siebie budujemy. I na tym nie skończymy. W drugim etapie zajmiemy się terenem otwartym. Będą boiska, stadion, kort tenisowy, kawiarnia. Jak byśmy tak wszystko chcieli dzielić na „nasze" i „wasze", to byśmy daleko nie ujechali. A więc nie dzielmy. Róbmy razem, to co jest wspólne, nasze.

Dyrektor lubi się zaperzać i wtedy nie mówi wszystkiego. Może ma rację. Pewne sprawy wydają się mu oczywiste. Choćby to, że kilku pracowników Zakładu jest radnymi. I to, że sam jest przewodniczącym Miejskiego Komitetu FJN.

W dyrektorskim gabinecie wisi na ścianie kolorowy kilim, przedstawiający kobietę z rozpuszczonymi włosami, siedzącą na burym niedźwiedziu. Widomy znak nie tylko przyjaznych związków przemysłu z miastem, ale i współpracy. Ta dama siedząca na burym niedźwiedziu, to herb miasta.

I jeszcze cytat z dokumentu.

* * *

„W 1974 roku załoga zobowiązała się do wykonania na rzecz miasta czynów społecznych wartości 3,4 mln złotych. W ciągu 5 miesięcy br. zrealizowano to zobowiązanie na ogólną wartość 1,4 mln zł".

* * *

TOMASZÓW MAZOWIECKI. W 1788 roku podskarbi królewski, kasztelan, właściciel dóbr ujazdowskich, Tomasz Ostrowski wystawił manufakturę metalurgiczną i założył osadę, której dał nazwę od swego imienia się wywodzącą.

„Do roku 1822 — zapisał późniejszy właściciel Tomaszowa Mazowieckiego, Antoni hrabia Ostrowski — **liczono tylko domów 4, piec wielki, dwie fryszerki, ludność cała liczyła dusz trzydzieści kilka".**

Antoni hrabia Ostrowski zapatrzył się na Łódź i zaczął również do Tomaszowa werbować tkaczy ze Śląska. W 1824 roku powstała tu pierwsza manufaktura tkacka, a ludności już było 1.300. W sześć lat później Tomaszów otrzymuje prawa miejskie i liczy 2 tysiące mieszkańców. Po 1860 roku sprowadzono do miasta pierwszą maszynę parową i Tomaszów stał się poważnym ośrodkiem włókienniczym, w którym wyrabiano sukna, korty, dywany i trykoty wełniane.

W 1911 powstaje fabryka sztucznego jedwabiu. W 1913 roku Tomaszów Mazowiecki liczy blisko 25 tysięcy mieszkańców.

W połowie 1973 roku ludność miasta wynosiła 56.500 osób.

Maria i Kazimierz poznali się dokładnie 1 kwietnia 1954 roku. W dziale kadr Tomaszowskich Zakładów Włókien Sztucznych, dziś zwanych „Wistomem". Oboje byli świeżo upieczonymi inżynierami chemikami. Ona ukończyła Politechnikę Warszawską, on — Politechnikę Łódzką. W Tomaszowie znaleźli się nie tyle z przypadku, co przez nakaz pracy. Czy myśleli, że tu zostaną? Skąd. On po pracy wracał do hotelu robotniczego, walił się na łóżko i klął godzinami los, który go zesłał do Tomaszowa. W dni wolne wsiadał do autobusu i jechał do Łodzi, aby odetchnąć życiem wielkiego miasta. Ona w swoim pokoju hotelowym liczyła dni i miesiące, jakie pozostały jeszcze do końca wywiązania się z nakazu pracy.

Teraz, kiedy wspominają swoje dwudziestolecie w „Wistomie" i mieście, mówią najczęściej:

— Chodziliśmy na długie spacery, bo nie było gdzie się podziać. Ani do żeńskiego, ani do męskiego hotelu nas nie wpuszczano. Mieliśmy więc czas na długie rozmowy i na snucie pięknych planów, co zrobimy, jak się skończy nakaz pracy. Ale życie te plany przekreśliło.

Po roku od chwili poznania, pobrali się. Kazimierz miał wtedy pokój w „kasynie", tam, gdzie dziś jest dom kultury „Wistomu". Maria wprowadziła się do niego. Jeszcze wtedy nie wiedzieli, że zostaną na całe życie w Tomaszowie. Załatwił ich Krzysztof. Urodził się w 1957 roku. Na szczęście w siedem dni po otrzymaniu mieszkania. Dostali je na osiedlu przy ulicy Niskiej. Pierwsze własne mieszkanie w bloku.

Przyjechali do Tomaszowa tylko z walizkami. Kiedy wyprowadzali się z „kasyna" i ładowali na samochód swój dobytek: szafę, tapczan, pożyczony dziecinny wózek, przechodząca starsza kobieta powiedziała głośno:

— Trzeba byłoby ich wylegitymować. Skąd oni wzięli pieniądze na takie meble.

Słyszał to kolega i powtórzył. Dziś pachnie to wyborną anegdotą, ale przecież kiedy dziesięć lat temu kupowali „moskwicza", ludzie też się zastanawiali, skąd oni na to mają?

Mieli. Dziesięć lat oszczędzali na ten samochód. Na początku postanowili, że pierwsze dziesięć lat ich wspólnego życia, to będzie oszczędzanie na niezbędne meble i na samochód. Martwiło ich co innego. Zbierają na samochód, a tu, w Tomaszowie tylko cztery ulice mają asfaltową nawierzchnię. Reszta to były kocie łby i błoto. Dziś nie żałują swojej decyzji. Dziś tomaszowskie ulice już nie te, co były dawniej. A samochód, choć wprawdzie nie „fiat",

Fot. Włodzimierz Parys

co się najbardziej liczy w Tomaszowie, to przecież gwarantuje im spokojny wyjazd na urlop, pozwala pojechać do Łodzi czy do Warszawy, posłuchać muzyki w filharmonii, zobaczyć coś ciekawego w teatrze. Odwiedzić znajomych.

— Bo ty jak jedziesz do Warszawy — wyrzuca zazwyczaj Marii Kazimierz — to nie wiesz do kogo pójść najpierw. Ja tam mam swoich przyjaciół i jestem im wierny.

— Ale ja studiowałam w Warszawie upiera się Maria.

Mijały lata i zmieniał się Tomaszów. Pod koniec lat pięćdziesiątych miasto otrzymało komunikację. Autobusy uradowały ludzi, bo zamiast kilkukilometrowego spaceru można było od tej pory jeździć do miasta miejskimi autobusami. Ale ich to nie usatysfakcjonowało specjalnie. Nadal chodzą do „Wistomu" piechotą. Mają wtedy czas na rozmowy o swojej pracy. Poza tym na ten temat nie rozmawiają. Taką mają już umowę i skrzętnie jej przestrzegają. Spacer do pracy ma służyć ich zdrowiu. A i droga jest przyjemna, bo przez park.

Niedawno Maria i Kazimierz zamienili mieszkanie. Przenieśli się do bloku na osiedle o swojskiej nazwie „Zapiecek". Osiedle jest spółdzielcze. Trzeba było dopłacić, ale podliczyli sobie wszystkie plusy i minusy i wyszło, że zamiana opłaca się. Przede wszystkim dlatego, że mieszkanie jest bardziej nowoczesne. A do „Wistomu" z „Zapiecka" nie jest wcale dalej i droga — jak poprzednio — wiedzie przez park.

— Parków w Tomaszowie to mamy całe mnóstwo — opowiada złośliwie swoim znajomym Kazimierz. — Pierwszy park, drugi park, trzeci park, a w niedalekiej przyszłości będzie czwarty park. I wszystko to w czynie społecznym, bo to można tanio zrobić i specjalnego pomyślunku na to nie potrzeba.

Jeśli Maria jest przy tym, to się z nim nie zgadza.

— Nie przesadzaj — mówi wtedy — bo na przykład park Dwudziestolecia jest bardzo ładny. Uporządkowano dawny ogród Ostrowskich, rozbudowano go. Uporządkowano też park Rottego. A teraz „Wistom" robi park na Michałówku i to bardzo dobrze. Przez ten park chodzimy do pracy. A przecież pamiętasz — zwraca się do Kazimierza — jak bardzo bałam się tam chodzić, kiedy jeszcze pracowaliśmy na trzy zmiany. Teraz mogę iść tamtędy nawet późnym wieczorem i już się nie boję. Więc nie bądź taki znów złośliwy.

O swojej fabryce, o „Wistomie" wiedzą prawie wszystko. Zaczynali jako starsi mistrzowie. Pracowali wtedy na trzy zmiany. Spotykali się, kiedy jedno szło na noc, bo wtedy mieli wolne popołudnie, albo przedpołudnie. Dziś wspominają tamte lata ze wzruszeniem i sentymentem.

— Lubiliśmy tę pracę na zmiany — mówią, kiedy zbiera się im na zwierzenia. — Człowiek wtedy dużo się nauczył. Zrozumiał, jak należy współżyć z ludźmi. Na uczelni dano nam sporo teorii. Praktykę zdobywaliśmy tutaj, w „Wistomie".

Awans obojga przebiegał — jak dziś to sami określają — normalnie, po szczebelku. Po czterech latach pracy w „Wistomie" objęli stanowiska technologów. Kazimierz w produkcji pracował dwanaście lat. Maria w 1956 roku zaczęła pracować w wydziale antykorozyjnym. Najpierw jako mechanik, później — starszy mechanik, wreszcie technolog.

W 1960 roku „Wistom" zaczyna się gwałtownie rozbudowywać. Kazimierz przechodzi wtedy do inwestycji. Zaczynają się wyjazdy służbowe. A więc Czechosłowacja, Szwecja, Norwegia, Japonia, Szwajcaria. I rozjazdy po całej Polsce. W roku jest takich wyjazdów — licząc z krajowymi — do sześćdziesięciu. To sporo. Za pracę w inwestycjach Kazimierz otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi.

Trzy lata temu do inwestycji przeszła Maria. Losy się zmieniają. Zakład nie przestał się rozbudowywać. Jeśli przemysł włókien sztucznych chce nadążać za tym, co się dzieje w świecie, to proces modernizacji i rozbudowy musi być nieustający. Również wiedza ludzka musi być stale unowocześniana i uzupełniana. Maria, będąc matką i odpowiedzialnym pracownikiem, ukończyła studia podyplomowe na Politechnice Śląskiej. A teraz o czymś takim myśli Kazimierz.

— Bardzo nie lubię być nauczycielem — opowiada swoim znajomym Kazimierz — ale w swojej karierze musiałem i taką rolę spełniać. Pamiętam, jak kiedyś dostałem wydział składający się prawie z samych analfabetów. Wiele było z nimi kłopotów. Pisać i czytać nie umieli, natomiast doskonale orientowali się w zapisie na pasku z wypłatą. Trzeba im było wiele rzeczy po wielokroć tłumaczyć, aby zrobili to jak należy. Był czas, kiedy komplettując zespół do nowych urządzeń nie mogłem wybrać właściwej dziesiątki spośród pięciuset osób. Dziś już nie ma takich problemów. Dziś już co roku przychodzi do pracy wielu techników i inżynierów. A i inna jest dziś ich kariera. Niektórzy od razu chcieliby być dyrektorami, nie rozumiejąc, że pracy w takiej fabryce trzeba się uczyć stopniowo, że trzeba wiele poznać, aby zrozumieć to, co nas tu otacza.

Maria natomiast lubi chwalić się Krzysztofem. Za rok skończy maturę. Potem pójdzie na studia. A potem — powiada Kazimierz — trzeba będzie go „wydać za mąż" i mama będzie chowała wnuki. Maria nie lubi tych złośliwości męża. Wie, że Krzysztof musi być samodzielny. Musi wiedzieć, że w życiu nic nie przychodzi samo, że trzeba na to solidnie zapracować. Nie odpowiada na mężowskie docinki. Rozumieją się przecież doskonale i zgodnie wychowują Krzysztofa.

— Kiedy jeździmy za granicę — opowiada Maria swoim koleżankom — moglibyśmy zabierać z sobą Krzysztofa, ale nie robimy tego. Chcemy

DŁUGA DROGA DO PRAWDY

(WSPOMNIENIE)

Miesiąc temu otrzymałem dyplom ukończenia studiów pierwszego stopnia, na drugi dzień rano dano mi nakaz pracy do Tomaszowskich Zakładów Włókien Sztucznych na stanowisko referenta ekonomisty, dziś wręczono nominację na Kierownika Działu Planowania. Pierwsza praca i pierwsza fabryka, której bramę przekroczyłem w moim życiu. Jedna z trzech największych w województwie i jedna z trzech największych w kraju. Starsza ode mnie dwukrotnie, powstała kiedy królowały manufaktury. Olbrzymia i stara z proporcjonalnymi do wieku i rozmiarów trudnościami, problemami, zagadkami.

Bałem się. Nie wiem czego bardziej: odpowiedzialności czy wstydu za to, że nie dorosłem do tego poziomu, a może to był zwykły strach przed zepsuciem czegoś dużego? Starałem się uciec w akta znajdujące się w szafie pancernej W miarę jak usiłowałem się w nie wczytać coraz bardziej straszyły swą tajemniczością, terminologią, niekiedy wręcz zargonem. Zamknąłem szafę z uczuciem towarzyszącym zatrzaskiwaniu bramy w zamku, gdzie straszy.

Szukałem ratunku w widoku z okna. Znalazłem coś przeciwnego. Dachy budynków próbowałem kojarzyć z poszczególnymi halami produkcyjnymi, technologiami, produktami. Na próżno. Myliło się. Przypominałem sobie opowiadanie kierownika jednego oddziału produkcyjnego, adresowane rzekomo do podległego majstra, w rzeczywistości przeznaczone dla mnie.

— Przed wojną — mówił stary kierownik — gdy po studiach technicznych bratanek Herzy, jednego z głównych współwłaścicieli fabryki, przyszedł do pracy, to wujo kazał mu ją zaczynać od wykonywania najbardziej elementarnych czynności Czyścił maszyny, wczołgiwał się pod nie, złaził do cuchnących kanałów, gdy się zapchały, obsługiwał maszynę, przy której zepsuła się wentylacja — wszystko po to, aby gruntownie poznał fabrykę, jej problemy i bolączki. A dziś! Szkoda mówić. Jeszcze błądzi po drogach zakładowych, a już zostaje kierownikiem. Ja po to aby nim zostać, musiałem pracować dwadzieścia pięć lat — dokończył z wyraźną nutą zazdrości.

Dużo racji miał ten doświadczeniem mądry człowiek. Nie zdążył jednak zrozumieć, że miejsce międzywojennego marazmu gospodarczego zajął dynamiczny rozwój kraju, a kadry w wyniku wojny nie rozrosły się tylko zmalały. Racje jego odnosiły się do dawnych czasów, odmienność nowych nie dotarła do niego. (...)

Siedziałem przy stoliku majstra i patrzyłem na maszynę przędzalniczą. Obserwowaniem robotników obsługujących te maszyny, pracujących w ciężkich i szkodliwych dla zdrowia warunkach. Mimo ich widocznego pośpiechu, szereg punktów przędzalniczych stało nieczynnych — nie nadążali „łapać zrywów" bądź „przetykać filier". Robotnik podchodził do nieczynnego punktu, usuwał przyczynę postoju, zarzucał nitkę na szpulę i uruchamiał punkt. W czasie tej operacji stawał jeden lub kilka innych punktów. Zanim robotnik doszedł do nich, uruchomił je, stawały inne. I tak bez przerwy duży procent punktów przędzących był nieczynny.

Eureka! — pomyślałem. Do tej pory robotnik obsługuje dwie strony maszyny o łącznej ilości punktów przędzących 180, ale 15 do 30 punktów zawsze stoi. Powinien obsługiwać tylko jedną stronę maszyny z 90 punktami, ale punkty stojące winny być sporadycznym wypadkiem. Spostrzeżenie było tak proste, wniosek tak oczywisty, iż budziły obawę, że zostanie to uznane za wyważanie otwartych drzwi, za rzecz samą przez się zrozumiałą.

Tylko dlaczego na tę myśl nikt nie wpadł?

Ze spostrzeżeniem zwróciłem się do kierownika oddziału przędzalni. Nawet nie chciał wysłuchać mnie do końca. W słowach nie nadających się do druku stwierdził, że jego absolutnie nie interesują nie wykorzystane moce produkcyjne ani przed ani po przędzalni. Interesuje go wyłącznie przędzalnia, bo za nią odpowiada. To, co się w niej dzieje nie można określić pozytywnie, ale on jest wyczerpany ciągłą walką z brakami materiałowymi i ludzkimi, ciągłymi monitami do działu zaopatrzenia i kadr, traceniem czasu na narady i odprawy, które nie przynoszą nic konstruktywnego.

— Gdyby było więcej ludzi, na pewno byłaby większa produkcja — wypowiedział truizm. — Wydumane problemy są dobre dla tych tam z biura, tu na ruchu są rzeczywiste sprawy produkcji — stwierdził mentorsko na zakończenie.

Nie rezygnowałem. Byłem przysłowiową nową miotłą, która dobrze wymiata, albo — nadgorliwym neofitą. Przedstawiłem sprawę kierownikowi zakładu. Dlatego właśnie jemu, ponieważ miejsce jego urzędowania znajdowało się po drodze z przędzalni, po drugie był zwierzchnikiem nad przędzalnią i na końcu, ale chyba najważniejsze — był moim wczorajszym zwierzchnikiem, który potrafił wytworzyć ciepłą atmosferę w stosunkach z podwładnymi.

— Myśli pan, że ja tego nie dostrzegam — stwierdził po wysłuchaniu, jakby urażony. — Mam jednak pilniejsze sprawy na głowie. Właśnie panu nie potrzebuję tłumaczyć, co znaczy usiąść na nowym tronie. Czy pan wie, że w tym miesiącu będzie 12 proc. odpadków? Nie notowana wielkość w historii zakładu. I to właśnie akturat teraz, gdy ja go objąłem.

Reakcja była więc podobna jak u kierownika przędzalni.

Następnym, uważałem wówczas, że ostatnim, który definitywnie załatwi sprawę, był dyrektor przedsiębiorstwa. Im więcej dyrektorów później poznałem, a z racji pełnionych funkcji poznałem ich bardzo dużo, tym bardziej gloryfikowałem ówczesnego dyrektora Tomaszowskich Zakładów Włókien Sztucznych — magistra Pallaska. Podobnie jak coraz bardziej poznawałem mechanizm działania gospodarki, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że dyrektor bardzo mało może uczynić w istotnych dla przedsiębiorstwa sprawach.

Wysłuchał cierpliwie. Przesiadł się z tamtej strony biurka na moją, aby zmniejszyć dystans, ten mierzony w metrach i ten w szczeblach hierarchii i opowiedział pouczającą historyjkę:

— Wielki malarz renesansu, Michał Anioł, został skrytykowany przez szewca za złe namalowanie sandałów na jednym ze swych arcydzieł. Zawstydzony fachowymi uwagami artysta przemalował sandały. Rozzuchwalony zwracaniem uwagi mistrzowi szewc, przy następnym oglądaniu dzieła skrytykował namalowaną głowę jednej z postaci. Michał Anioł zareagował inaczej niż oczekiwał szewc, odpowiadając mu krótko: Szewcze, pilnuj obuwia.

— Panie Jurku — kontynuował kordialnie dyrektor — jest pan inte-

DAMA NA NIEDŹWIEDZIU

by od początku wiedział, że na taki wyjazd trzeba zarobić, że trzeba samemu na to zasłużyć swoją pracą. Krzysztof kupił sobie rower. Dostaje co miesiąc swoją „pensję" i część z niej odkłada na książeczkę PKO. Za uskładane pieniądze kupił rower. Taki, jaki chciał.

Czy jest im dobrze w Tomaszowie? Przyzwyczaili się. Zrozumieli, że tu ich miejsce, bo znaleźli taką pracę, która im odpowiada, daje zadowolenie i pozwala się rozwijać. Czy nie patrzą na swoje miasto krytycznie? Patrzą. Ale wiedzą, że potrzeba na to pracy i ich i innych, dla których jest to nie tylko miejsce na mapie, ale miejsce zamieszkania, pracy i życia.

TOMASZÓW MAZOWIECKI. Jedno z najbardziej uprzemysłowionych miast województwa łódzkiego. Wśród 31 tysięcy zatrudnionych, około 67 proc. pracuje w przemyśle.

Największą fabryką są Zakłady Włókien Sztucznych „Wistom", zatrudniające blisko 9 tysięcy osób.

Tomaszów Mazowiecki jest tradycyjnym ośrodkiem przemysłu włókienniczego. Należą tu Mazowieckie Zakłady Przemysłu Wełnianego „Mazovia", Zakłady Przemysłu Wełnianego „Tomtex", Fabryka Dywanów i Chodników, Fabryka Filców Technicznych. Przemysł lekki reprezentują też Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Pilica".

Przemysł spożywczy — Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie, Zakłady Młynarskie, Spółdzielnia Mleczarska.

* * *

Cytat z dokumentu:

„Planowa rozbudowa zakładu uwzględnia także inwestycje związane z ochroną środowiska. Ogromnym nakładem kosztów powstają nowe obiekty, takie jak oczyszczalnia ścieków mechaniczno-chemiczna, I i II Stacja Wentylacyjno-Absorpcyjna (utylizacja H_2S i odzysk CS_2). W budowie jest oczyszczalnia biologiczno-chemiczna dla miasta i zakładu, która zapewni czyste powietrze i czystą wodę. Koszt tej ostatniej inwestycji wyniesie 460 mln zł".

* * *

Kiedy dyrektora „Wistomu" pytają, co to w praktyce oznacza, zaczyna wyjaśniać od „Kaczki". Słynnej już nie tylko w województwie — dzielnicy domków-ruder. Najbardziej narażonej na szkodliwe dla zdrowia sąsiedztwo fabryki.

Dyrektor przypomina wtedy rok 1962, kiedy to dzięki wspólnej inicjatywie „Wistomu", wówczas jeszcze zwanego TZWS, wojewódzkiej i miejskiej radzie narodowej zaczęto przenosić mieszkańców „Kaczki" do bloków. Do 1972 roku 400 rodzin otrzymało nowe mieszkania. Do końca bieżącej pięciolatki przeniesie się z „Kaczki" jeszcze około 540 rodzin, a na następną pozostanie około 300 rodzin.

— W ten sposób — wyjaśnia ciekawym dyrektor „Wistomu" — powstanie miejsce na strefę ochronną. Ale czy przy naszym systemie wentylacyjnym, który działa od lutego 1974 roku i przy dalszej współpracy z naukowcami, kiedy będziemy mogli neutralizować przeszło 90 proc. szkodliwych gazów, będzie to potrzebne? Resztę gazów, wydmuchiwanych wysokimi kominami porywać będą prądy powietrzne i rozpylać na dużej przestrzeni.

Mając takie atuty w roku dyrektor „Wistomu" zastanawia się, czy obszaru wokół jego zakładu nie należałoby przekształcić w wielką dzielnicę przemysłową. Taki projekt zresztą już istnieje, ale nie w takiej skali, jaka się marzy dyrektorowi. Wiadomo już na przykład, że w okolicy „Wistomu" zlokalizuje się nową fabrykę dywanów i fabrykę domów. Dyrektor myśli jednak i o dalszej rozbudowie „Wistomu", choć tu zdaje sobie sprawę, że decyzja nie należy do niego. Dyrektor po prostu rozumie, że tak wielki zakład jak „Wistom" nie może poprzestać na tym, co już osiągnął, że jego rozbudowa musi nadążać za nowoczesnością.

* * *

Naczelnik miasta Tomaszowa Mazowieckiego nie lubi mówić o przeszłości, chociaż ją dobrze zna. Tu się urodził, tu pracował. Przez kilka lat był związany z „Wistomem".

— Mieliśmy do rozwiązania w Tomaszowie — mawia Naczelnik — **dwie sprawy. Pierwsza — to zatrudnienie. Druga — to mieszkania. Pierwszą rozwiązaliśmy z powodzeniem. Był czas, kiedy tomaszowianki nie miały gdzie pracować. Powstało wtedy „Mazowsze". Tak nazywano kobiety, którym przydzielano pracę z funduszu interwencyjnego — angażowano je do czynności porządkowych w mieście. „Pilica" i Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie sprawę tę rozwiązały. Teraz już nie ludzie szukają pracy, a fabryki szukają ludzi. Gorzej jest z drugą sprawą — z mieszkaniami.**

Z mieszkaniami w Tomaszowie Mazowieckim rzeczywiście nie jest dobrze. Wybudowano wprawdzie kilka osiedli, na obrzeżach miasta, ale to sprawy nie rozwiązało, bo nie ruszono śródmieścia, dzielnicy najbardziej zagęszczonej, ze starą zabudową. Nie zmieniono oblicza Tomaszowa. Nadal jest on dla wielu tomaszowian i dla ludzi przyjeżdżających — miastem brzydkim, zaniedbanym. Wprawdzie projekt nowego centrum dopiero się rodzi, ale pierwszy krok już uczyniono. W pobliżu stacji PKP zaczyna się budowa dworca PKS, dzięki czemu można będzie zlikwidować najgorszy z przystanków PKS, na placu Kościuszki.

Rozwiązaniem dla Tomaszowa będzie projektowana fabryka domów, która produkując wielką płytę przyczyni się do zwiększenia tempa budowy nowych bloków. Pozwoli to ruszyć wreszcie śródmieście. Będzie też szansa na wybudowanie domu kultury, nowych sklepów, zakładów usługowych, kina, restauracji.

O domu kultury mówi się już od dwudziestu prawie lat. Jest potrzebny. Zakłady przemysłowe chcą pomagać przy jego budowie, powstał nawet projekt, ale to wszystko ciągle przyszłość, z którą trzeba się będzie wreszcie uporać. Podobnie z gastronomią, nowymi sklepami. Wybudowano na przykład „Rondo" i wszyscy zgodnie uznali te pawilony handlowe i usługowe za nieporozumienie.

— Poświęcamy tyle uwagi przyszłości — powtarza Naczelnik — **bo dziś bogatsi o doświadczenia przeszłości możemy ją lepiej kształtować. To jeszcze nie jest tak, jak byśmy chcieli, ale dziś znajdujemy się już w sytuacji, w której nie musimy brać wszystkiego, co nam oferują. Do tej pory każda inwestycja przemysłowa, komunalna lub handlowa była dla nas dobrodziejstwem. Dziś chcielibyśmy angażować nasze siły głównie w to, co daje miastu najwięcej pożytku. Ale to też nie jest takie proste.**

I Naczelnik opowiada o restauracji, której budowę niedawno zaoferowano Tomaszowowi. Ma kosztować 10 milionów złotych. Naczelnik zdaje sobie sprawę z tego, że nie będzie to lokal na miarę przyszłych potrzeb miasta. Długo zastanawiał się nad możliwością odrzucenia tej propozycji. Rozważał wszystkie „za" i wszystkie „przeciw". I doszedł do wniosku, że propozycję trzeba jednak przyjąć. Jest to dla miasta konieczność.

— Wiem o tym — powiada dla uspokojenia swego sumienia — **że za kilka lat, kiedy ruszymy z przebudową centrum wielu ocknie się i spyta, kto na to pozwolił? Będą krytykowali dzisiejszą decyzję, tak jak krytykują decyzję o budowie „Ronda". Jak więc postępować? Czekać spokojnie na większe możliwości i nic nie zmieniać w obecnym kształcie miasta, czy zmieniać na tyle, na ile nas w tej chwili stać? Wybieram to drugie rozwiązanie, i myślę, że mam rację.**

Potrzeby Tomaszowa są znacznie większe. Pod Smardzewicami — wprawdzie to już w Opoczyńskiem — wybudowano tamę na Pilicy i powstał wielki zalew, zwany sulejowskim.

— Dlaczego ten zalew jest sulejowski? — pytają tomaszowianie. — Tama jest przecież niedaleko Tomaszowa. Jak byśmy chcieli — żartują — to spuścimy wodę i pod Sulejowem, zamiast „morza", będzie tylko rzeka.

Fot. Włodzimierz Parys

Ale Naczelnika nie śmieszą takie żarty. On wie swoje. Dziś trzeba już myśleć o rozwoju sieci komunikacyjnej, łączącej miasto z Zalewem Sulejowskim, bo ludzie chcą jeździć tam na ryby, opalać się, kąpać i żeglować. A takich ludzi będzie coraz więcej. Dlatego potrzebny jest hotel i nowe restauracje, stacje benzynowe, stacje obsługi samochodów. Tomaszów ma szansę stać się zapleczem olbrzymiego rejonu rekreacyjnego. Tu będą też przyjeżdżali ludzie znad Zalewu Sulejowskiego, aby zobaczyć dobry film, posiedzieć w kawiarni, coś sobie kupić. A przecież pod Tomaszowem jest nie tylko zalew. W pobliżu jest Spała, Inowłódz, Teofilów, Nagórzyce. Pod samym Tomaszowem są jeszcze Niebieskie Źródła. Czy myśląc o przyszłości miasta można o tym zapominać? Nie brać tego pod uwagę? Naczelnik ma wątpliwości. I nie tylko on jeden.

Kiedy ktoś uparty chce koniecznie wiedzieć coś więcej o przeszłości Tomaszowa, kiedy pyta go o dokonania naszych trzydziestu lat, wtedy Naczelnik zwraca uwagę, że przeszłości nie można mierzyć tylko osiągnięciami materialnymi.

— Przywykliśmy — mówi wtedy — **do wyliczania tego, cośmy wybudowali. W całym kraju zrobiliśmy wiele, a i w samym Tomaszowie sporo. Powstał „Tomtex", „Pilica", nowa mleczarnia, Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie, założono komunikację, wybudowano kilka nowych osiedli, rozbudowuje się „Wistom". Ale nie zapominajmy też, że dziś ludzie patrzą inaczej na sprawy swego miasta i kraju. Dziś już nie wystarczy wyliczać, co i gdzie zrobiliśmy. Nie wystarcza też marzyć o przyszłości, ale trzeba umieć stawiać sobie konkretne cele. Wydaje mi się, że już się tego nauczyliśmy. I ta świadomość — to dobry start do przyszłych dokonań.**

* * *

Mecenas, tak jak do tej pory, przyprowadza swoich gości na plac. Tak, jak zwykle to czynił, pokazuje im klasycystyczne kamieniczki, dawne jatki zamienione w galerię sztuki i współczesny pomnik. Ale mówi już nie tylko o historii Tomaszowa. Coraz częściej opowiada o zmianach, jakie by tu trzeba wprowadzić, żeby miasto stało się nowoczesne, a zarazem nie straciło tego, co cenne pozostało z przeszłości.

Swoją opowieść Mecenas wzbogacił o historię skarbów damy siedzącej na burym niedźwiedziu. Jest to legenda o powstaniu herbu Rawa — herbu miasta Tomaszowa Mazowieckiego. Działo się to podobno w Anglii. Stary król umierając, zostawił wszystkie swoje klejnoty córce. Zazdrosny o bogactwo brat chciał jej te skarby odebrać i wypuścił na nią burego niedźwiedzia. Sprytna królewna obłaskawiła drapieżne zwierzę i na niedźwiedziu przyjechała do brata. Skarby zostały przy niej. Swoim synom nadała potem herb, wyobrażający jasnowłosą damę siedzącą na burym niedźwiedziu. Posiadaczy tego herbu zwano Rawitami. Niektórzy z nich wędrowali po Europie, osiadając w różnych krajach. Dotarli też do Polski.

— Tomaszów też ma swoje skarby — mawia Mecenas, kończąc opowieść o zmyślnej królewnie. — Jest to piękna przyroda, która otacza nasze miasto. Są to ludzie, którzy i poplotkować lubią i do pracy się garną.

— Tak, to są nasze skarby — powtarza Mecenas.

BOGDA MADEJ

DŁUGA DROGA DO PRAWDY

ligentnym człowiekiem, a takiemu, jak głosi porzekadło: mądrej głowie dość dwie słowie. Niech pan pilnuje działu planowania, przecież pan jeszcze tak mało o nim wie, a jeszcze mniej o fabryce, tym kolosie, na którym tylu nieglupich ludzi połamało zęby. Na dodatek, zupełnie nie zna się pan na tak zwanej małej polityce branżowej. Niech pan nie dotyka spraw, które do niego nie należą.

Odbyto w zakładzie dziesiątki zebrań na temat konieczności wprowadzenia wielowarsztatowości — kontynuował — prasa przepełniona jest gloryfikowaniem wielowarsztatowości, najczęstszym słowem powtarzanym przez radio jest wielowarsztatowość, w naszym zjednoczeniu nie słyszę o niczym innym, tylko o wielowarsztatowości, w odprawach terenowych serwują mi wielowarsztatowość, a nowo upieczony kierownik planowania namawia mnie do stosowania innej polityki. Każe mi on nie zmniejszać udziału pracy żywej, ale odwrotnie — zwiększyć jej udział w celu wyeliminowania marnotrawstwa pracy uprzedmiotowionej — niewykorzystania maszyn, urządzeń, budynków, kanalizacji i całej infrastruktury technicznej. Nawet gdyby pan miał rację, powiem mu — kończył rozmowę — że nec Hercules contra plures.

Zrozumiałem wtedy nieprzyjemną prawdę, która miała mi towarzyszyć przez całą działalność zawodową, że nie wystarczy mieć rację, trzeba ją jeszcze umieć mieć. Nie widziałem człowieka, instancji, nikogo, komu mógłbym przedłożyć swoje spostrzeżenia i wnioski. Nikt władny nie wyrażał gotowości ich załatwić, — wszyscy woleli trąbić bezmyślnie w jedną trąbę — nasunęło mi się obcesowe sformułowanie. Byłem jednym małym Kaziem, kwilącym, że król jest nagi, podczas gdy wszyscy jednogłośnie i głośno wołali, iż odziany dostatnio.

Na ogromnym wiecu poświęconym wielowarsztatowości jeden z zakładowych bonzów w swoim przemówieniu sformułował taki akapit:

— My wiemy, że nie wszyscy się z nami zgadzają, że nie wszyscy są z nami. Sądząc po pozorach wydawałoby się, że są to przyjaciele, ale ledwo uzyskali pierwsze możliwości rządzenia, ukazują swoje prawdziwe, wrogie oblicze. Znajdują się między nami tacy, którzy nie tylko nie chcą zmniejszenia stanu zatrudnienia, a tym samym zwiększenia dla robotników zarobków, ale chcieliby polityki odwrotnej: zwiększenia zatrudnienia, zmniejszenia zarobków. Takim warchołom odpowiadamy: nie te czasy. Czasy Herza minęły bezpowrotnie i panowie ci muszą to zrozumieć, albo wynosić się z naszego, powtarzam, naszego zakładu.

Zrozumiałem, że aluzja skierowana była do mnie.

Po kilku dniach od pamiętnej masówki wezwał mnie sekretarz POP, który przy wręczaniu nominacji powiedział: wiem, że się na was nie zawiodę. Mówił:

— Jestem z zawodu portierem. Trzydzieści lat wykonywałem ten zawód, z przerwami, kiedy granatowy policjant zamykał mnie do więzienia za działalność polityczną. Mówię wam to po to, abyście mówili ze mną językiem prostym, dla mnie zrozumiałym. Ja kończyłem inne akademie, i wy inne, nie wiem, które były mądrzejsze, z pewnością jednak języki były inne i wy musicie mówić moim, bo ja waszym nie potrafię i nie zawsze go rozumiem. Mam tak zwany zdrowy, chłopski rozum, który uważam za niezawodny — jestem dumny z niego. Teraz jednak dzieje się tu coś, czego nie mogę zrozumieć. Tak zwane czynniki namawiają nas do wielowarsztatowości, jak do ruchu przynoszącego odczuwalny wzrost zarobków robotnika — porozmawiajcie z nimi, potwierdzą to — wy zaś twierdzicie, że fabryka na tym traci. Wyjaśnijcie to. Nie poruszajcie wystąpienia na masówce, które uważam w części dotyczącej was za pochopne i krzywdzące. Jemu zwróciłem na egzekutywie na to uwagę i to dość ostrą, a wam żadne przepisy nie są przecież potrzebne — nie jesteście baletnicą.

Zacząłem wyjaśniać wszystko od podstaw i od początku. Wyciągałem segregator po segregatorze, dokumentowałem. W pewnym momencie sekretarz odgarnął sprzed siebie wszystkie papiery i rzekł niemal groźnie z rozbrajającą szczerością:

— Mówiłem wam przecież, że z zawodu byłem portierem. Nie rozumiem tego waszego gadania i pisania, to nie jest ludzki język. Jeśli mnie przekonacie o słuszności swego stanowiska, pójdę za wami w ogień, spalę się, jeśli przeciwności będą za duże, przerosną mnie; jeśli mnie nie przekonacie, nie kiwnę palcem.

Poszedłem z nim do przędzalni, usiedliśmy w pokoju kierownika, zasłoniliśmy wewnętrzne okno firanką, abyśmy nie byli widziani z zewnątrz, aby obsługujący maszynę nie wiedział, że jest obserwowany i nie pracował inaczej niż normalnie.

— Maszyna ma po 90 filier z prawej i lewej strony — mówiłem — razem 180 filier. Każda filiera w ciągu godziny, jeśli pracuje bez przerwy, umożliwia wyprodukowanie babki jedwabiu wagi pół kilograma. Cała maszyna winna wyprodukować więc w ciągu godziny 90 kilogramów włókna. Zgoda?

— Jasne.

— Właśnie dzwonek, skończyli obciąg, chodźmy zważyć jednego, dowolnie wybranego jeża. Okazało się na wadze, że jedwabiu z maszyny zdjęto 67 kilogramów.

— Jak myślicie, gdzie są 23 kilogramy brakujące do normalnych 90?

— No, właśnie, gdzie? — powtórzył pytanie.

— W stojących punktach, których robotnik nie zdążył obsłużyć, bo nie wydołał obskoczyć obu stron przędzarki. W wiskozie wylanej do kanału W wiskozie wyprodukowanej z fińskiej celulozy, która zamieniła się w cuchnącą ciecz i spływa kanałami do Pilicy. Tak, to prawda, że robotnik, obsługujący jedną połówkę maszyny otrzymałby pieniądze za wyprodukowanie 45 kilogramów włókna, ponieważ jednak wyprodukował 67 kilogramów, otrzyma zarobek wyższy prawie o połowę. Zaprzepaszczono jednak kosztem tego, w ciągu jednej godziny możliwość wyprodukowania na jednej przędzarce dalszych 23 kilogramów włókna. Ponieważ mamy 50 przędzarek, w ciągu jednej godziny zaprzepaszczono bezpowrotnie wytworzenie i przetworzenie 1150 kilogramów włókna, a więc około jednej tony. W ciągu jednej zmiany ośmiogodzinnej tracimy 8 ton, a ponieważ przędzalnia pracuje w ruchu ciągłym, tracimy na dobę 24 tony włókna.

Bez pożegnania odszedłem, a raczej uciekłem. (...)

Przez kilka następnych dni nic nie można było w biurze przędzalni załatwić — wszyscy ważyli babki i jeże, mierzyli czas, oglądali obciągi.

Po dwóch tygodniach wezwano mnie do pokoju sekretarza POP, gdzie przedstawiono instruktorom z Komitetu Centralnego PZPR, którzy przyjechali w sprawie wielowarsztatowości i ja miałem być ich przewodnikiem po zakładzie i po problemie. Potem przybyło kilku ekspertów z zewnątrz. Pojawiło się wiele stoperów, często używano różnego kalibru wag, analizowano listy płac, kwity przychodów magazynowych. Emocje, argumenty spektakularne zostały zastąpione logiką, mędrca okiem i szkiełkiem.

Nim upłynął miesiąc od wizyty dostojnych gości, wyciszono problem wielowarsztatowości przez jego likwidację. Ale produkcja fabryki wzrosła o prawie 20 procent.

JERZY KORDACKI

JAN CZARNY

NA PRZEŁAJ

Świat widzę zatomizowany. Wszystko razem i wszystko oddzielnie. W przeróżnych wykluczających się układach. Ten chaos poddany jest porządkowi, selekcji, albo też inaczej. Selekcja, porządek, logika, system — tworzą ten cały galimatias, ten wolapik. Przecież człowiek nie jest w tym świecie dowolnością, nie żyje w układach wolnych, otwartych. Wszystko to układy zamknięte, wyrażalne matematycznie, będące odbiciem co najmniej jednej struktury (uchwytnej) lub splotem wielu zazębiających się o siebie, podpierających się, wynikających z siebie struktur. Idę do pracy, wychodzę z pracy, przedtem jem śniadanie. Przedtem budzę się. Jest chłodno. Jeszcze przedtem między snem a jawą studnia snu, nocy. Jeszcze przedtem zasypianie. Kalejdoskopowe szczątki rzeczywistości. Szkiełka potłuczonego świata. Kolorowe kineformy z muzyką zacierających się odgłosów odsuwającego się w noc miasta. To wszystko w chaosie mojej wrażliwości. Uchwytne jednak, zbadane i wymierne. Da się wyrazić nie tylko stworzonymi ad hoc teoriami, ale myśleniem Freuda, Junga. Teorią snów. Odśrodkową systematyką Junga. Można podłączyć elektrody. Można wpływać na zmianę snu i na zmianę powidoków pod skorupkami powiek. Temperatura pokoju i temperatura ciała są wymierne. Można stwierdzić obiektywnie i autorytatywnie co jest powodem zimna. Wymierna jest temperatura mojego organizmu i temperatura pokoju. Kiedy wracam z pracy idę przez szereg podwórek jak gdyby na przełaj. Lubię przybudówki, ten niewyrażalny i tak wiele mówiący mętlik nie kontrolowanej, przypadkowej architektury, która jak wiemy tak jak dzieło sztuki mogłaby mieć swoją dokładną monografię z datami, przeznaczeniem i intencją budowy, z uwzględnieniem celów zarówno gospodarczych jak i estetycznych. Z wyliczeniem zasobów uwzględnieniem umiejętności i przygotowania. Uwzględnić można by również przyczyny poboczne, przeszkody żywiołowe oraz historyczne. Zniszczenia pochodzące z działania natury, deszczów, burz, huraganów. Szkody wynikłe wskutek wojennych bombardowań, dewastacji, rozbiórek, przeróbek. Niewiele z tego zostaje dla oczu wracającego z pracy człowieka, prawdopodobnie zmęczonego. Jakieś drzewa tworzące bramki. Malarstwo barokowe w układzie, smętnie czekające (razem z przechodzącym pod bramką) na zieleń. Jaka pora roku? Jakieś blachy, deski niewiarygodnie szare, rude blachy rozprutych beczek, rozprostowane wiadra, rynny. Jakieś skoble, krzywe gwoździe o patryjarchalnych ludzkich łbach. Napis tragiczny, tragikomiczny na krzywych, wstrętnych drzwiach KLUB. Napis kredą. Zabawa dzieci czy surrealistyczny żart. To tak jakby na trumnie napisać: tapczanik. Może to dowcip. Dalej jest szkoła. Tu sporo ponurych napisów na deseczkach. Objaśniających, że dąb jest pozostałością lasu. Że należy szanować zieleń i szyby. Że grając w piłkę należy myśleć o belfrach i dyrektorce? Furtki i mury, różnice poziomów. Jakieś znaki runiczne szkolną kredą i węglem na murach, murkach, na ścianach i ściankach. Na cementowych słupkach i schodkach. Romb przekreślony kreską, zarys bioder. Spłukane deszcze, rozdrobnione ziarnem tynku, fascynujące domysłem i niedorysowaniem. Dalej szopa czy garaż przylepiony do wielkiej ceglanej ściany szczytowej domu, którego nie widać. Na szopie gołębnik. Arfa. Z drutu i gołębie z wachlarzowatymi ogonami, smutne, zatroskane, z grochem czerniejącego oka na srebrnym, kształtnym łebku. Gruchanie jakby ktoś rzucał żwir na dach szopy krytej papą. Potem jakiś domek z prawej. Wszystko to obwiedzione labiryntem ścian, płotów, przegródek wiodących tu a nie gdzie indziej. A więc przybudówka. Dzikie wino. Naprzeciw. Garaż. Półciężarówka. Znowu jakiś garaż, tym razem duży, murowany. Z bramą drewnianą. Chłopcy z tornistrami bawią się pieskiem. Sielanka. W drzwiach garażu w słońcu szofer. Dalej parterowa oficyna. Moc tablic jakichś ważnych urzędów. Czerwone, błyszczące prostokąty z białymi, gęstymi literami i numerami. Pod nimi jak na urągowisko: skrzynka, połamane krzesło, żelazny piecyk. Nie mieli widocznie gdzie wyrzucić. A może szkoda? Dalej urząd walki ze szkodnikami roślin. Samochód pogotowia tego urzędu wiecznie nieruchomy, gotowy do akcji, do walki z jakimiś tam bliżej nie zidentyfikowanymi szkodnikami i wrogami roślin. A więc tym samym i z człowiekiem, to znaczy z nami. Dalej już brama i gablotki z welwetowymi cyklistówkami, a przed bramą już na głównej ulicy znów czerwone ważne tablice anonsujące ważne urzędy w tej obskurnej parterowej oficynie, którą przed chwilą minęliśmy. Nabieramy w płuca świeżego powietrza po tej ekskursji pełnej przygód i niespodzianek. Powietrza przesyconego zapachem spalin samochodowych. Zamieniamy rozkosze zmiennej i kapryśnej adoracji na jednostajny szum wielkomiejskiej informacji. Tak powiedziałby poeta lub cybernetyk, chcąc porównać te zderzające się dwa rodzaje doznań.

NOGA

Jest zawsze starannie wygolony. Nosi czysty, zaprasowany mundur bez oznak. Spotykam go dość często, kiedy idę do pracy. Podpierając się drewnianymi kulami kusztyka na jednej nodze do swojego kiosku z gazetami. Kiedy idę do biura zazwyczaj się śpieszę, pozwalają mi na to moje dwie, zdrowe nogi, które wlokę ze wstydem. On jest bardzo przystojnym, wysokim mężczyzną. Jestem od niego o wiele niższy. U mnie brak jednej nogi nie raziłby tak jak u niego. Mundur nobilituje jego kalectwo, usprawiedliwia je. Kiedy mnie spotyka, kłania mi się z powagą i godnością. Mimo iż długi czas cierpiał na dolegliwości nerwowe wskutek doznanego na froncie szoku, to ja w porównaniu z nim jestem nerwowy, niespokojny. On jak już wspomniałem jest poważny, pełen godności. Kiedy go mijam, zdaje mi się, że rumienię się, choć wiem, że w tej sytuacji nie może to mieć żadnego znaczenia. Wstyd się do tego przyznać, ale zawsze zdaje mi się, że to on stracił nogę za mnie, zamiast mnie. Że to ja powinienem stracić nogę a nie on. Że to ja mam, dźwigam, noszę, ciągnę za sobą jego nogę. Że korzystam z niej, podpieram się nią jak swoją. Zaraz wyjaśnię dlaczego tak jest. Wiele lat temu byliśmy razem w wojsku, w tej samej jednostce, w tej samej miejscowości. Braliśmy udział w tej samej wojnie, w tej samej bitwie. Na nim wojna zostawiła ślady nie do zatarcia, napiętnowała go. Zabrała mu jedną nogę, którą mogła mnie zabrać, a nie zrobiła tego tylko dlatego, że tak zrządził ślepy przypadek. Chodzę więc teraz po świecie z jego nogą. Podpieram się nią dowoli i bezwstydnie jak swoją własną. Wiem, że powinienem się uspokoić i przestać tak myśleć. Może nawet powinienem udać się z tym do lekarza. A jeśli nawet jest tak jak myślę, to też nie powinienem mieć tylu skrupułów. Nie powinienem przesadzać. Bo czyż jeden człowiek może cierpieć za wszystkich, odpowiadać za wszystkie ułomności i niesprawiedliwości tego świata?

Człowiek i maszyna — akwaforta — Zenon Liberski

DYREKTOR FONTANN

To nieprawda, że w wielkim, szarym gmachu siedzi przewodniczący przed pulpitem i naciska kolorowe guziki, kieruje w ten sposób pracą fontann. Nie odbieram mu zasług, ale ta czynność nie może należeć do niego, skoro należy do mnie. Albowiem, jak się już zapewne domyślacie, to właśnie ja jestem dyrektorem fontann parkowych. Ode mnie zależy, czy tryska z nich czysta, orzeźwiająca woda czy też nie. To ja, nie kto inny, reguluje siłę i wysokość przejrzystych strumieni wody. To ja zakręcam i odkręcam kurki i prowadzę przewidzianą przez zwierzchność sprawozdawczość. Nie myślę nikomu nic odbierać, ale też nie mam zamiaru zachowywać się ze zbytnią skromnością, kiedy ktoś chce pomniejszyć moje zasługi.

Podległe mi fontanny znajdują się na terenie rozległego skweru, który założono dopiero po wojnie, na miejscu dawnego getta, po usunięciu gruzów. I chyba dobrze zrobiono, bo był to żałosny widok, a teraz jest tu trochę powietrza i zieleni, w tej gęsto zabudowanej, robotniczej dzielnicy.

W ładne, słoneczne dni przychodzą tu matki z dziećmi ze swoimi wózkami. Przychodzą również i zakochani, którzy całują się siedząc na ławkach przed fontannami. Wokół fontann gromadzą się gołębie, przelatują też i inne spragnione, szukające ochłody ptaki. Kiedy jest szczególnie gorąco, w upalne, suche dni, reguluję tak ciśnienie i wysokość słupa wody, aby powietrze nasycić wodnistym pyłem. Sam wtedy siadam na ławce i patrzę zmęczony w tęczującą w słońcu wodną kurzawę. W kolorowej mgle widzę ludzi, którzy mieszkali kiedyś w tej nieistniejącej już dzisiaj dzielnicy. Brodatych starców i piękne dzieci z wielkimi, smutnymi oczami. Kolorowy deszcz zmienia się w ogień, w słupy dymu, który pochłania ich i zaciera. Krople pary opadają jak łzy. Wtedy robi mi się smutno i pędzę przykręcić kurki, żeby przerwać to przykre widowisko. Wszystkie urządzenia regulujące mieszczą się pod ziemią. Muszę zejść specjalnym włazem w dół, żeby się do nich dostać. Pełno tam pokręconych rur i kranów. Kiedy tam wchodzę i naciskam kontakt, żeby zapalić elektryczne światło, słyszę jak bawiące się nad moją głową dzieci przedrzeźniając mnie krzyczą: Uwaga, uwaga, dyrektor fontann poszedł do swojego biura...

1971

Pejzaż I — akwaforta — Mirosław Mentcel

ANDRZEJ BISKUPSKI

MEMENTO VIVERE

Ochraniaj siebie. Może zdołasz uratować coś, co niepowrotnie ginie. W wielkich państwach, w podbitych narodach, w odradzającej się ludzkości.

Ochraniaj własną głowę. Twój daimonion jeszcze się odezwie. W obłędnym poszukiwaniu prawdy, w zbawczej ucieczce, w niepewności koniecznej. Jako to, co odrzucisz.

Musisz być. Wbrew wszystkim prawom świata, działającym skutecznie i nieodwołalnie. Wbrew katastrofom i spiskom. Wbrew sądom ludzkim i boskim. Wbrew sprawiedliwym wyrokom. Wbrew szczęściu. Jeżeli masz je obiecane.

SOKRATES

W ostatnim dniu rewolucji lud zaczął znów welbić bogów. Zegar demokracji ateńskiej przyśpieszył wymierzanie czasu i szybkimi skokami przybliżał upadek państwa. Platon śpieszył się, aby projekt państwa doskonałego był gotowy na najbliższe trzy tysiące lat. Sokrates jeszcze krążył z uczniami w najbardziej zaniedbanych dzielnicach, ale wyrok już zapadł i wkrótce mieli go pojmać. Gdyby wiedział, że jeden z jego uczniów okaże się Judaszem, mógłby umierać z poczuciem posłannictwa. Ale Platon był młody i niedoświadczony. Kochał swego mistrza miłością, która nie rozdziela jeszcze narzędzia od celu, człowieka dawnej ery od człowieka, który ujrzał w mroku, jaki nadchodził, swoją ludzką duszę większą od polis.

Wolność może być tym, co się znów może odemknąć.
Tym, co jest w więźniach nie przebyte. Szansą, że się mogło nie być.

Może być potrzebą wolności. Jako potrzeba braku.
Jako życie niczyje.

Może być abstrakcyjna. Ale nigdy nie dość umierająca,
aby miała przybywać wraz z obłędem lub prawdą.

Symboliczna jak czarny chleb. Mało konkretna dla wielu.
Wolność stawiająca pytania. Wolność szydząca z odpowiedzi.

Nie pozwalająca zasnąć. Przyzwalająca na śmierć.
Łatwo spierająca się o szczegóły.

Zwracająca się do ciebie słowami: dlaczego właśnie ty
masz ujść z kataklizmu cało.

„ZAPIS ZBRODNI" — ZAPIS REFLEKSJI

Publikujemy poniżej refleksje mieszkańca Konstantynowa, pedagoga, który swego czasu był nauczycielem Janusza Dębińskiego i po obejrzeniu filmu „Zapis zbrodni" jeszcze raz krytycznie spojrzał na miasto i jego niektóre sprawy.

Byłem nauczycielem Janusza Dębińskieego. Tego samego, który wraz z Federem zabił dwu ludzi. „Zapis zbrodni" — film Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego kazał mi jeszcze raz powrócić do tamtych tragicznych dni. I choć czas zatarł już ponurą grozę jesiennych dni 1972 roku, to przecież pozostały refleksje. Ciągle nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, jakie okoliczności pchnęły dwóch młodych ludzi na drogę przestępstwa. Zastanawiam się, jak mogło do tego dojść, że własnoręcznie wystawiałem Dębińskiemu na cztery okresy oceny z przedmiotu, a po dokonaniu przez niego morderstwa nie mogłem skojarzyć osoby z nazwiskiem. W moich oczach, zresztą i w opinii późniejszych jego współpracowników w zakładzie pracy, niczym specjalnym się jeszcze nie wyróżniał. Był jednym z wielu podobnych do niego młodych ludzi w tym mieście.

Rok szkolny — długi to okres czasu, ale jakże krótki, żeby dokładnie poznać wychowanka. Obecnie przy przeglądaniu dzienników lekcyjnych i arkuszów ocen, nie dowierzam, że to ja stawiałem te dobre oceny Januszowi Dębińskiemu. Skłoniło mnie to do prześledzenia postępów w nauce i wychowaniu obu przestępców, od klasy I aż do skończenia przez nich edukacji.

Problemy związane z wychowaniem K. Federa mimo swoich niejasności wydają się zrozumiałe. Syn alkoholika, „ociężałość umysłowa mieszcząca się w granicach szeroko pojętej normy" (orzeczenie z badań psychiatrycznych), półsierota, brak domu rodzinnego. Do szkoły w Konstantynowie wrócił z Domu Dziecka w 1967 r., do klasy V, z dwuletnim opóźnieniem w nauce. Następnie, z ocenami dostatecznymi, niedostateczną z wychowania fizycznego i bardzo dobrą ze sprawowania został promowany do klasy VI. W tej klasie jednak trudy nauki okazały się już zbyt duże. A może nie tylko trudy nauki? Faktem są niedostateczne oceny z wszystkich przedmiotów oprócz dostatecznej z języka polskiego i dobrej ze sprawowania. Ukoronowaniem systematycznych wagarów staje się przerwanie nauki w IV okresie. Na rozprawie sądowej ojciec Federa stwierdzi, że „w domu był tylko jeden stół, przy którym się jadło, a więc nie było gdzie odrabiać lekcji".

Aby zmusić go do dopełnienia obowiązku szkolnego i dla zapobieżenia demoralizacji innych dzieci, Wydział Oświaty i dyrekcje szkół postanowiły o rok wcześniej niż przewidywał limit przenieść go do szkoły dla pracujących.

Ciekawym materiałem do dociekań jest droga edukacji i wychowania J. Dębińskiego, który do klasy V uczył się dobrze. Pierwszym sygnałem alarmowym były ucieczki z wychowania fizycznego w kl. V. Trudno obecnie stwierdzić, co spowodowało tę niechęć do lubianego ogólnie przedmiotu. Być może dłuższa przerwa w nauce spowodowana chorobą i potem długim zwolnieniem lekarskim w okresie rekonwalescencji. Skutek był taki, że przez cały następny rok uciekał z lekcji wf. Pogorszył się również z innych przedmiotów i w efekcie musiał powtarzać klasę VI. Powtarzanie klasy wpłynęło na niego korzystnie, stał się uczniem dobrym, a nawet bardzo dobrym. Szkołę kończył z wynikami dostatecznymi i dobrymi. Poza klasą VI, w której za wagary na wf miał obniżoną ocenę ze sprawowania, przez wszystkie pozostałe lata miał bardzo dobry ze sprawowania.

Fakty te w obu przypadkach nasuwają każdemu pedagogowi wiele refleksji. Absurdem byłoby rozpatrywanie efektów nauczania i wychowania tylko przez pryzmat funkcji szkoły, w oderwaniu od środowiska rodzinnego i miejskiego. Ale przecież każdy młody człowiek przynajmniej pół dnia spędza w szkole. Byłbym „sekciarzem" pedagogicznym, gdybym uważał, że szkoła może w pełni zastąpić funkcje wychowawcze innych środowisk. W okresie tak wielkiego rozwoju nauk pedagogicznych faktami sprawdzonymi są natomiast efekty nowych systemów wychowawczych. Szkoła może i powinna wspierać i ukierunkowywać oddziaływanie wychowawcze innych środowisk.

W obliczu wprowadzonych zmian oświatowo-wychowawczych w naszym szkolnictwie „łatwizną" byłoby kładzenie winy tylko na karby przestarzałego systemu szkolnego. Przecież w tym samym czasie, w tych samych klasach uczyli się i wychowywali ludzie wartościowi społecznie. Nieprawdą jest, jak pisała prasa, że miasto nie wychowało rodzimej inteligencji. W tych samych bardzo trudnych warunkach wychowało się wielu bardzo zacnych obywateli. Co się zatem złożyło na tak wielkie niepowodzenie wychowawcze?

W mieście, w którym wychowali się przestępcy, funkcjonują cztery szkoły podstawowe, ale tylko dwie z nich mieszczą się w budynkach odpowiednich dla szkół. Brak było nawet specjalnych pomieszczeń na pracownie lub klasy-pracownie. Nie było pomieszczeń na zajęcia pozalekcyjne, które były tak potrzebne w rozwijaniu zainteresowań uczniów. Po południu izby lekcyjne zajmuje szkoła wieczorowa.

Zainteresowanie Dębińskiego bronią palną nie powstało w ciągu tygodnia czy miesiąca. W szkole, w czasie zajęć pozalekcyjnych, można było zaobserwować, że chłopiec lubi majsterkować. Problem w tym, że w takich warunkach nie mógł rozwijać swoich zainteresowań we właściwym kierunku. Jego zamiłowania pirotechniczne i konstrukcyjne nie byłyby niczym złym, gdyby rozwijały się pod nadzorem instruktora. Być może młodzieńcze fantazje chłopca przerodziły się w zainteresowania konstrukcjami rakiet.

Może dziwić fakt, że w obu przypadkach pierwsze trudności wychowawcze zauważono w czasie zajęć z wychowania fizycznego. Na pewno charakter przedmiotu daje duże możliwości sprawdzenia efektów wychowawczych, ale nie bez znaczenia było zbyt długie zwolnienie lekarskie z zajęć wf, nie bez znaczenia były fatalne warunki do prowadzenia tych zajęć. Z podziwem i uznaniem patrzę na nauczycieli, którzy w tych warunkach pracują.

Tyle o szkole, w której uczyli się Feder i Dębiński. Tyle o miejscu, w którym spędzali pół dnia. A samo miasto? Ludzie, których codziennie mijali na ulicy?

Fot. Włodzimierz Parys

Obecnie nikt już nie rozmawia o dniach, które wstrząsnęły mieszkańcami tego sennego, nieładnego miasteczka. Wszystko wróciło do normy. Codziennie, jak zawsze od lat, część mieszkańców wsiada do tramwaju, by dojechać do pracy w Łodzi.

Prawdziwe dobrodziejstwo, a jednak?

Łódź przyjmuje ich do pracy, ale i po pracy zwraca wszystkich miastu. Dziwnemu miastu, położonemu tak blisko wielkiej aglomeracji miejskiej, a tak odległemu od niej swoim rozwojem i kulturą. Jedna knajpa i dwa kościoły nie spełniają żadnej funkcji kulturalno-rozrywkowej dla całej społeczności miejskiej.

Życia miasta nie zdołało nawet zachwiać ogłoszenie o wykonaniu wyroku śmierci na jego mieszkańcu. Czy rzeczywiście surowa lekcja miała tak mały ciężar gatunkowy dla miasta? Na pewno nie. Wiele się w mieście zmieniło, ale i wiele trzeba jeszcze zrobić. Przybyła nowa szkoła, umożliwiająca prowadzenie prawidłowego procesu dydaktyczno-wychowawczego, ale w dalszym ciągu istnieją też obie szkoły o bardzo złych warunkach. Zwiększone w ostatnich dwóch latach dotacje finansowe dla tych szkół, nie zdołały jeszcze radykalnie poprawić ich warunków. Brak jest miastu wyspecjalizowanych ośrodków pracy pozaszkolnej z młodzieżą. Przyzakładowy Dom Kultury o dość skąpej działalności nie zaspokaja nawet potrzeb młodzieży pracującej. Klub sportowy, który zrzesza dość sporą liczbę młodzieży, napotyka w dalszym ciągu liczne kłopoty w swej działalności.

Brak jest w społeczności miast, tego co jest najważniejsze w wychowaniu młodego pokolenia — aktywnej idei wychowawczej. I tutaj właśnie widzę ogromną rolę szkoły. Pedagogizacja rodziców powinna stać się nadrzędnym celem w kontaktach między szkołą a domem. Tym bardziej że cień Federa i Dębińskiego na długo zawisł nad młodymi. Dowodem tego byli ich koledzy zeznający jako świadkowie w procesie. Ich zachowanie, pełne skruchy w czasie zeznań, spowodowane powagą i mocą sądu, już na korytarzach było zupełnie inne. Buńczucznymi, pełnymi pychy spojrzeniami starali się podkreślić, że tamci to jedni z nich, ich najbliżsi koledzy.

Myślę, że każdy mieszkaniec Konstantynowa obejrzał, względnie obejrzy film „Zapis zbrodni", oparty na rekonstrukcji paradokumentalnej popełnionych zbrodni. Dobrze by było, gdyby film o tak dużej humanistycznej wymowie nie tylko przypomniał społeczeństwu tamte dni, ale stał się też impulsem do szybszych zmian w mieście. Tylko od jego mieszkańców zależy, czy nie powtórzą się takie dni, kiedy wraz z nastaniem mroku wszyscy musieli zamykać się w mieszkaniach w obawie przed zbrodniarzami. Całemu społeczeństwu na pewno zależy, aby miasto jak najszybciej pozbyło się piętna tamtych dni. Nie wolno jednak zapominać o naukach, które winno się wynieść z tej surowej lekcji. Jedną z nich jest na pewno rozbudzenie wśród mieszkańców miasta idei aktywnego środowiska wychowawczego.

WIESŁAW SKOCZYLAS

oko na gospodarkę

WARTOŚĆ CZASU

W pewnym biurze projektowym dokonano ciekawego i wielce pouczającego eksperymentu. Otóż wśród personelu projektującego — a więc pośród osób, od których pracy, wydajności zależą nie tylko rezultaty osiągane przez owo biuro, lecz także wykonanie w przewidzianym terminie (dokumentacja!) różnych ważnych inwestycji — rozpisano ankietę. Chodziło o znalezienie odpowiedzi na tyle samo prozaiczne co istotne pytanie: ile czasu pochłaniają personelowi projektującemu rozmaite czynności składające się na przygotowanie dokumentacji technicznej.

Właśnie. Teoretycznie rzecz biorąc można się było spodziewać, że najwięcej czasu pochłaniają czynności bezpośrednio związane ze sporządzeniem dokumentacji. Tak by się mogło przynajmniej wydawać... No tak, ale znowu nie takim fenomenem w naszym życiu jest rozmijanie się teorii z praktyką, rzeczywistością. Dowiodło tego również wzmiankowane badanie ankietowe dokonane w owym biurze projektowym, gdyż okazało się, że sporządzenie, a szczególnie przepisanie wszelkiego rodzaju wymaganych załączników pochłania więcej czasu niż sama dokumentacja, tzn. istota pracy i funkcji projektanta.

Oczywiście, jeśli przytoczyłem tutaj ten niezmiernie charakterystyczny przykład, to nie było moim zamiarem w ten właśnie sposób „podeprzeć" ową dosyć smutną i kosztowną w samej rzeczy prawdę, iż zasady sobie, a życie — też sobie. Wystarczy bowiem zdać sobie sprawę z tego, jak ważną rolę w naszym życiu gospodarczym spełniają tego rodzaju jednostki, jak biura projektowe, ile i jak wiele zależy od właściwego wykorzystania pracy zatrudnionych w nich zespołów, byśmy zaczęli szybko przeliczać, ile też kosztują nas owe „imponderabilia" procesu projektowania. Inaczej: ile można by więcej i szybciej, a chyba i lepszych wykonać projektów stanowiących od lat „wąskie gardło" procesów inwestycyjnych, gdyby tak udało się zmniejszyć ową lawinę uzupełniających papierków, a przede wszystkim zdjąć ze szkolonych latami specjalistów ten balast może potrzebnych, ale tylko wtórnych czynności.

Tutaj pozwolę sobie na dygresję ściśle wiążącą się z podniesionym problemem.

Otóż przed dwoma laty miałem możność zapoznać się z pracą wielkiego biura projektowego sławnych i u nas zakładów samochodowych „Fiat" w Turynie. Oczywiście, niewiele mogłem poznać tajników samochodziarskiej „kuchni" włoskiego potentata, zresztą — choć ja nie liznąłem nawet techniki, o czym dobrze wiedzieli moi gospodarze — niektóre pracownie były przede mną skrzętnie zamknięte na przysłowiowe cztery spusty, a gdzie indziej kreślarskie deski po prostu zasłaniano. Jednak to, co rzuciło mi się w oczy, to oczywiście fakt maksymalnego wykorzystania czasu pracy tych odzianych w białe kitle wysoko wykwalifikowanych fachowców stojących przy kreślarskich deskach. Ten czas wykorzystywano dla zrealizowania głównego dla nich zadania: wykonania odpowiedniej dokumentacji. Wszystkie czynności bezpośrednio z tym nie związane wykonywali pomocnicy. Kiedy zapytałem, czy ten luksus nie kosztuje zbyt wiele usłyszałem w odpowiedzi: — A ile wart jest, ile kosztuje czas pracy inżyniera projektanta? On jest tutaj nie po to, by ostrzył ołówki!

Jest truizmem, że we współczesnym świecie czas bardzo podrożał. Liczą się minuty, godziny, każdy dzień w techniczno-ekonomicznym i społecznym wyścigu.

Czy u nas jest inaczej?

Niestety, z lekceważeniem bardzo wymiernej wartości czasu spotykamy się u nas bardzo często i w różnych dziedzinach życia.

Weźmy drugi z brzegu przykład.

Czy mieliście okazję obserwować kiedyś pracę lekarza? No cóż, każdy z nas był kiedyś pacjentem. Właśnie. Więc chyba na pewno zauważyliście, może to nawet zdziwiło was, ile też czasu zużywa on na sporządzanie odręczną metodą, tak — najczęściej przy pomocy pióra lub długopisu, bardzo obfite dokumentacji. Nie zamierzam podważać konieczności obszernego udokumentowania, gdyż jest to potrzebne dla właściwego prowadzenia procesu leczenia, ale czy przez unowocześnienie formularzy owej, tak bogatej i rozrosłej się dokumentacji nie można by było zmniejszyć pracochłonności tej lekarskiej pisaniny? W rezultacie bywa, że lekarz zużywa więcej czasu na wypełnianie różnych papierków aniżeli na pobyt przy łóżku chorego. Nie jest tajemnicą, że lekarz prawie 2/3 swego nominalnego czasu pracy zużywa na czynności formalno-administracyjne.

A teraz z innej beczki.

„Trybuna Ludu" opublikowała niedawno tyle samo interesujące, co wymowne, niestety, fakty. Oto centralny organ prasowy partii pisze, że dwaj inżynierowie w jakiejś stołecznej instytucji są oddelegowani do... spraw dzania przepisanych na maszynie dokumentów. Trzeci zajmuje się porządkowaniem archiwum. Ta sama „Trybuna Ludu" jako przykład marnowania czasu podała, że w jednej z fabryk przemysłu narzędziowego pracownicy oddziału głównego technologa przeznaczają trzecią część swojego nominalnego czasu pracy oraz sporą ilość godzin nadliczbowych na sporządzanie sprawozdań.

Nie są to przypadki odosobnione. Z beztroskim marnowaniem czasu spotykamy się na każdym kroku, a u przyczyn tego stanu rzeczy leżą różne powody, takie jak nasze zacofanie organizacyjne i techniczne — również w czynnościach administracyjno-biurowych, które powoduje, że forma konkurująca swoimi wyrobami na licznych rynkach światowych nie może się zdobyć na dobrze postawiony serwis informacyjny, odpowiednie archiwum, no i gdy trzeba znaleźć jakąś wiadomość o konkurencie bądź też jego wyrobie, to wtedy następuje prawdziwe „trzęsienie ziemi" i wielu ludzi marnuje czas na przekopanie się przez stosy papierzysk. Właśnie w poszukiwaniu owej informacji. Te niedomagania organizacyjne dają o sobie znać i w inny sposób, o czym dowodnie przekonaliśmy się w ostatnich miesiącach lata bieżącego roku w łódzkim przemyśle, kiedy to nagle zwiększył się procent nie wykorzystanego nominalnego czasu pracy. I to bardzo znacznie w porównaniu do analogicznego okresu roku poprzedniego. A więc znowu czas, jego waga i wartość. No i skutek naszej beztroski w gospodarowaniu ową wartością.

Nie tylko zresztą w biurach, zakładach, instytucjach naukowo-badawczych. Ile to razy zalewa nas krew, gdy w samoobsługowym sklepie nowoczesne metody szybkiej obsługi klientów biorą w łeb, bo jakże często brakuje pojemników, koszyczków do wybranych towarów bądź też pracuje tylko jedna kasa, przed którą ustawia się długa kolejka wyczekujących.

Małe i wielkie problemy wartości czasu. Kiedyś w tym samym miejscu, miałem okazję poinformować Czytelników, że czas potrzebny do zaangażowania nowego pracownika wynosi średnio w naszym krajowym przemyśle 14 dni, a w niektórych zakładach czy branżach sięga nawet 10 dni. W wielkich zakładach w Blachowni skrócono czas niezbędny do „postawienia" nowego pracownika przy maszynie z pięciu do dwóch dni. Zrozumiano, a może zwyczajnie przeliczono na złotówki, wartość marnowanego czasu. Zrozumiano, że warto się też spieszyć.

KRZYSZTOF POGORZELEC

SZTUKA ETATAMI OBDZIELONA

Bywało, że artystów kształcili rzemieślnicy albo starzy mistrzowie, co na jedno wychodziło, ponieważ starzy mistrzowie na ogół byli świetnymi rzemieślnikami. Nauka zawodu u rzemieślnika-artysty trwała kilka lat i można było zdobyć tytuł czeladnika; z czasem czeladnik stawał się „wyzwolonym" artystą, majstrem wybranej dyscypliny a później, gdy zyskał sławę — mistrzem.

O „mistrzach sztuki" dziś prawie się już nie słyszy, chyba że w odniesieniu do leciwych artystów. Natomiast magistrów sztuki przybywa z każdym rokiem. Statystycznie rzecz biorąc — powinniśmy się cieszyć, niewiele krajów, a już na pewno nie zachodnie, może się poszczycić takim „przyrostem naturalnym" magistrów sztuki plastycznej, aktorskiej, muzycznej i wielu innych spokrewnionych z wyżej wymienionymi. Magister baletu może wyznaczyć sobie spotkanie z panią magister śpiewu o specjalności „sopran", magister malarstwa sztalugowego może się umówić z panią magister „aktorką dramatyczną" o specjalności „artysta estradowy".

Co się należy młodemu człowiekowi z dyplomem magistra w kieszeni?

1. Odpowiednia praca, odpowiednio honorowana.

2. Więcej niż średni standard życiowy, jako że tytuł magistra nie jest gorszy od tytułu inżyniera, o ile nie lepszy.

Pamiętać należy, że skromne trzy literki „mgr" przed tytułem inżyniera nobilitują szczęśliwego absolwenta studiów politechnicznych.

A co się należy młodemu człowiekowi z dyplomem magistra sztuki w kieszeni? To samo co każdemu innemu magistrowi plus tytuł i honory artysty. Tytuł „artysta" na wizytówkach wyszedł z mody, ale nieźle brzmi z estrady, sal koncertowych i w niektórych towarzyskich gronach. Za to „honor" artysty — mam na myśli przywileje nie tylko materialne — dyplom magistra sztuki automatycznie przyznaje każdemu absolwentowi szkół artystycznych. Do niedawna wystarczyło skończyć jedną z wyższych szkół plastycznych, aby stać się pełnoprawnym członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków.

O czym świadczy dyplom magistra sztuki? W moim odczuciu jest to rodzaj świadectwa ukończenia określonej uczelni artystycznej uprawniający do wykonywania zawodu. Osobną sprawą jest, czy posiadacz dyplomu ma talent, czy też nie! Osobną sprawą jest również jego autentyczna przydatność do wykonywania wybranego zawodu przez — jak to się mówi — całe życie.

Prawdą jest, że talentu żadna szkoła nie zniszczy, ale prawdą też jest, że go nie potwierdzi! Świetny student, a później magister sztuki klasy fortepianu niekoniecznie będzie Piotrem Palecznym, nie każdy absolwent Akademii Sztuk Plastycznych będzie Hasiorem. Ale każdemu magistrowi sztuki należy się etat zgodny z kierunkiem jego studiów. Powyższa zasada stosowana u nas od wielu lat z mniejszym lub większym powodzeniem, owocowała swego rodzaju paradoksem i aż dziw bierze, że ten „życiowy paradoks" uszedł uwadze satyryków.

Oto młody człowiek z dyplomem magistra sztuki w kieszeni otrzymał etat — dla przykładu — w państwowym teatrze. Etat skromny to prawda, ale zaczepić się można. Czas, czy też mówiąc brutalniej „samo życie" po paru latach dokonało weryfikacji i pan magister sztuki aktorskiej nie stał się Holoubkiem. Przykre... ale lata mijają i magister sztuki otrzymuje kolejne podwyżki, bo się starzeje razem ze swoim dyplomem, razem z wykonywanym zawodem. Piękna zasada honorowania przepracowanych lat w innych zawodach przeniesiona do instytucji artystycznych wytworzyła paradoksalną sytuację. Obecna regulacja płac w teatrach, choć może nie rozwiązała w pełni tego problemu, to jednak zmieni w sposób zasadniczy „układ sił". Płacić się będzie za role, to znaczy za autentyczną przydatność do zawodu aktora a nie za sam fakt posiadania etatu. Wzmoże się konkurencja wewnątrz teatru, można też żywić nadzieję, że wzmoże się konkurencja między samymi teatrami. Aktor stanie się (nareszcie!) przedmiotem przetargów. Zdolnego aktora dyrektor winien mieć możliwość „kupienia" do swojego teatru, do konkretnej roli. A co zrobić z rzeszą magistrów sztuki dramatycznej wyczekujących latami na swoją życiową szansę? Jeśli nie sprawdzili się w swoim macierzystym teatrze przez szereg lat to... należy im podziękować. Po prostu podziękować! Problem oczywiście nie jest tak prosty, jakby to wynikało z powyższych uwag. Aktor mógł się nie „sprawdzić", bo nie miał możliwości, niech więc próbuje swoich szans w teatrach prowincjonalnych, a nawet, jeśli i tam mu się nie powiedzie niech „dojrzewa" w teatrach amatorskich.

Magister sztuki często bywa człowiekiem rozżalonym. Nauczono go w szkole, że Sztuka przede wszystkim, że posłannictwo, że wielkość... w marzeniach widział się na szczycie, a tu każą mu dekorować wystawy sklepowe, projektować opakowania, statystować w filmie, grać w zespole muzycznym... Magister sztuki często czuje się człowiekiem zawiedzionym. Państwo zafundowało mu drogie studia, państwo dało mu etat (skromny) i toż samo państwo obdarzyło go tytułem artysty. A publiczność grymasi, a krytycy wydziwiają jakby im jeszcze było za mało, że wysoka komisja egzaminacyjna wydała na niego korzystny wyrok, naznaczyła go spośród wielu innych, wybrała z tłumu i orzekła: „tyś jest artystą..." A tymczasem etat łaskawie darowany jest li tylko emeryturką skromną... czy to sprawiedliwe? Magister inżynier wyceniany jest wyżej, sprawdzany szybciej i awansowany częściej. Więc jak to jest? Służba sztuce na lichym etaciku i gromada trzydziestoletnich emerytów? I jak tu uprawiać „sztukę czystą"? Komu te perły siać? Chciałem napisać... przed kim?

Wiadomo, wszędzie jest ciasno, bez swojego „dojścia" nic się nie zadziała. I „chody" potrzebne i tupet... Żal rośnie, grymasy tężeją. Tej się udało dostać rolę, tamtego obdarzyli stypendium, ktoś inny „załatwił" sobie wystawę indywidualną osobistego malowania... Krytycy wybrzydzają, ale kto by na to zważał? Artysta ma dyplom, może i powinien grać duże role, mieć swoje wystawy, reżyserować samodzielnie filmy, a krytyk co ma? Nawet nie wiadomo czy jest magistrem?

Dyplom magistra sztuki daje prawo wykonywania zawodu i nic więcej. Nic? Przecież to dużo. Nawet bardzo dużo. „Zawód" przy słowie „artysta" nie brzmi dobrze, zawodem może być zdobnictwo artystyczne, ale czy zawodem jest „talent"? Że można z własnych uzdolnień żyć i to całkiem

TEATR

nieźle — inna sprawa, ale najpierw uzdolnienia te winno potwierdzić życie, winno je przyjąć albo odrzucić. Nic w środku. Chociaż nie, w środku jest dobre rzemiosło artystyczne, więc czemużby się jego przyzwoicie nie wyuczyć?

Mecenas państwowy czasem spełniał rolę niańki dorosłych dzieci, mecenas państwowy sztukę wyposażył w etaty, ale nie może i nie powinien ponosić odpowiedzialności za losy ludzi posiadających dyplomy magistrów. Ciągle jeszcze cierpimy na brak ludzi z wyższym wykształceniem, szczególnie dotkliwy brak odczuwa się w ruchu amatorskim, w domach kultury, w klubach. Magister sztuki, jak i każdy inny magister ma prawo wyboru, tylko od niego zależy czy stanie się „potrzebny" a nawet poszukiwany.

„Zapisanie" się do szkoły artystycznej jest pierwszym ryzykownym krokiem postawionym przez przyszłego magistra sztuki. Wykonywanie zawodu magistra sztuki jest poważniejszym ryzykiem i z tego należy zdać sobie sprawę. W przypadku niepowodzenia winić można tylko siebie. Nie ma i nie może być „dyplomowanego" artysty — był i jest tylko jeden rodzaj artysty, człowieka wybitnie uzdolnionego, który nauczył się rzemiosła, ale sztukę tworzy sam i chociaż nie zawsze życie go rozpieszcza, to jednak tylko ż y c i e przyniesie mu potwierdzenie talentu, społecznej przydatności. Etaty sztuce są także potrzebne, nawet bardzo, byle nie typu „urzędniczego".

STEFAN KUBICKI

NAWET DETALE

Louis Jouvet w jednej ze sztuk oczekiwał przez chwilę na przybycie partnera. Stał w głębi sceny, tyłem do widowni. Na prosceniu zaś inne postacie toczyły dialog. Ręce Jouveta założone do tyłu, kurczyły się nerwowo wyrażając tak stan napięcia i oczekiwania. Ten gest zda się być detalem inscenizacyjnym. Z pewnością detale nie tworzą inscenizacji, ale jakże wydatnie podkreślają jej kierunek i wartość. Mówimy wtedy: rzetelna robota teatralna. Tak też ocenić należy spektakl „Ciężkich czasów" Michała Bałuckiego w reżyserii Wojciecha Pilarskiego, spektakl dopracowany pod każdym względem.

Zalążkiem sukcesu tego przedstawienia jest, jak sądzę, wspaniałe opracowanie tekstu. Jest ono zgodne z inscenizacją jaka miała miejsce w Teatrze Narodowym w Warszawie. Przede wszystkim sens satyryczny utworu zmieniło istotnie wprowadzenie postaci Gębalińskiego oraz wątku wyboru posła.

Gębalińskiego gra **Dobrosław Mater**, stwarzając postać będącą uosobieniem tego co zwykliśmy nazywać szlacheckim pieniactwem i tępotą. Ma on zresztą godnego kompana — Bajkowskiego, którego z różnym powodzeniem kreuje **Zygmunt Malawski**. Bałucki zamierzał ośmieszyć cechy szaraczkowej szlachty głównie na przykładzie Bajkowskiego. Zabieg inscenizacyjny stawiający go w parze z Gębalińskim, zamiar ten wyraźnie potęguje. Obaj żyją hucznie, lubią zajrzeć do kieliszka i do śpiżarni, żyją ponad stan i nie myślą z takiego życia zrezygnować. Obaj wykazują wiele inicjatywy, by przypodchlebić się księciu Tutafonii, którego postać i wizyta urasta do mitycznych rozmiarów. Obaj aktorzy wreszcie tworzą te postacie tak zdecydowanie i szlachetnie przesadzając w środkach gry, że Bajkowski i Gębaliński na scenie Teatru Nowego — to twory iście groteskowe. W podobnej tonacji skomponowani zostali jeszcze inni uczestnicy wydarzeń w domu pana Lechickiego.

Józef Zbiróg, jako Giętkowski, parodiuje wszystkie cechy szlachetki snobizującego się na arystokratę. Każdy gest Giętkowskiego jest marionetkowy, sztucznie wyszukany. W tej osobie śmieszy posługiwanie się monoklem czy specyficzne ułożenie ust tak jak bawi przesadna wymowa wygłosowego „ę" i „ą" przez żonę Giętkowskiego — **Ewę Zdzieszyńską** oraz lalkowatość gestu i mimiki jej córki, Idalii — **Dagmar Foniok**, czy nawet przesadnie wymalowane — w tak zwane serduszko — usta Idalii.

Z podobnym skutkiem potraktowana została familia Kwaskiewiczów. Petronela Kwaskiewicz konkuruje z Giętkowską o miano pierwszej damy. **Hanna Bedryńska**, jako żona Kwaskiewicza, osiąga kwintesencję zachowań wytworności pani z salonu. Szczególnie w II akcie, kiedy to ogólna maskarada, na wzór polski każe jej wdziać przepyszną kreację i w niej paradować po scenie. Petronela zapatrzona jest w swego syna Leonidasa. Gra go **Bogusław Sochnacki**, stwarzając postać chyba najbardziej groteskową. Sochnacki poszedł, jak to się mówi, na całego i wygrał. Leonidas sepleni, ma się za geniusza, przyjaciela ludu — w sumie zaś jest idealnym głupkiem, co Bogusław Sochnacki podkreśla ochoczo i jaskrawie, samemu zarazem bawiąc się z powierzonego zadania. On też najdobitniej wygrywa idiotyzm owej maskarady na cześć księcia wpadając na scenę w II akcie z przytupem do klasycznego krakowiaka. „Krakowiaczek ci ja".

Ojciec Leonidasa sceptycznie zapatruje się na całe życie. Dlatego też **Wojciech Pilarski** zdanie: „to się nie uda" — traktuje jako etykietę tej postaci. Mówi owo zdanie kilkakrotnie i mówi tak, że nic dodać, nic ująć. Klasyczny, towarzyski sceptyk. **Jan Zdrojewski** doskonale kreśli postać Juliusza Lechickiego, używając wszystkich środków gry, jakie zwykło się stosować przy budowaniu postaci fircyków, darmozjadów i hulaków światowej marki. Taką jak Zdrojewski linię działań aktorskich przyjęli wszyscy dotąd wymienieni aktorzy.

Ten zabieg dał w rezultacie pewną zabawę w teatr. Zabawę w myśl zasady — jeśli na scenie jest szlachetka, to właśnie bywał i bywa taki, jeśli dama — to taka, jeśli panienka — to właśnie też taka itd. itd. Bawią się aktorzy, bawimy się i my. Zabieg ten, uroczy teatralnie, nie kłóci się z głównym zamysłem inscenizacyjnym. Goście przybywają bowiem do domu Lechickiego, by radzić nad planem założenia banku pomocy. Mają więc zawiązać pewną wspólnie działającą grupę. Utwór w płaszczyźnie fabularnej, jak już wspomniałem, uzupełniony jest o wątek wyboru posła. To wyraźnie uwydatnia kwestię konieczności działania owej grupy w zgodzie i porozumieniu. Dla dobra szlachty, trzymajmy się, nie dajmy się, dla dobra kraju — o tym mówi się często. Na tym tle jaskrawiej obnaża się prawda co każdy przez owe deklaracje rozumie. Ostrzej wydobywa się satyryczny sens komedii. Pozory jedności grupy pękają w szczytowym momencie „chocholego tańca" przed drzwiami pokoju, w którym, jak wszyscy sądzą, ukryty jest Tutafoni. Ten, na którego czekali, jak na przysłowiowego Godota. Niedawno w zgodności wybierali Lechickiego na kandydata do poselskiego fotela. Teraz podejrzewają go o zdradę wspólnej sprawy.. Zresztą jaka tam ona wspólna, każdy przecież ma tam coś do księcia, każdy już tylko dba o siebie. (Rzecz się oczywiście dzieje w XIX wieku...!?).

Dobrze więc, że te postacie zostały potraktowane groteskowo. Tak zwany łagodny humor Bałuckiego wyostrzył się. Prawem kontrastu do owej groteskowej grupy ukazany jest Żuryło. On jeden przecież myśli rozsądnie. On jeden trzeźwo ocenia sytuację. **Zbigniew Józefowicz** gra Żuryłę bez tonu przesady, spokojnie, wszystko, co wypowiada, zda się mówić z głębokim zastanowieniem. W sposób niezwykle prosty podkreśla oszczędność Żuryły. Po prostu „ogrywa" jeden rekwizyt — czapkę. Jeśli kładzie ją na taborecie — to dyskretnie sprawdza czy ten nie jest zakurzony. Czasem zaś ów kurz strzepnie, poprawi kształt nakrycia. Widać, że taki Żuryło musi być dobrym gospodarzem, nie dającym się wciągnąć do zwariowanego kręgu sąsiadów zza miedzy. Do takiego daje się wciągnąć Lechicki. Gościnny, dobroduszny i zagubiony. I taki jest w wykonaniu **Tadeusza Schmidta**.

Fot: Andrzej Brustman

Janina Borońska, jako córka Lechickiego, również stara się stworzyć klasyczny typ dziewczątka ze szlacheckiego dworku — taka Zosia z Pana Tadeusza, warkoczyki, rozbiegane oczy, fartuszek i wdzięk. Bronia kocha Karola. Zdarza się i w najlepszej komedii. Wątek erotyczny w łódzkiej inscenizacji zepchnięty jest, i słusznie, na dalszy plan. Ale i tak ubarwia komedię. Godny odnotowania jest tu pewien fakt. Otóż w przedstawieniu, które oglądałem, zaistniała konieczność nagłego zastępstwa. Zdarza się. Zamiast Zbigniewa Nawrockiego wystąpił w roli Karola **Maciej Grzybowski**. Zadanie wykonał z niezwykłym spokojem, brawo! Taka zmiana, wprowadzająca zazwyczaj nerwowe sytuacje za kulisami, nie odbiła się ujemnie na spektaklu. To jeszcze jeden dowód, że jest on rzetelnie przygotowany. A dowodów jest oczywiście więcej. Często zdawałoby się, że są to detale. Na przykład ów róg obfitości, który pojawia się w II akcie na dachu dworku, melodia krakowiaka rozpoczynająca tenże akt. Jakże owe detale podkreślają szlacheckie — zastaw się a postaw się, polskie tromtadractwo, potęgują wartości groteskowe inscenizacji zgodnie z całym jej kierunkiem.

W notatce programowej zawarte są wspomnienia o łódzkiej premierze „Ciężkich czasów" w 1889 roku. Przytoczony jest fragment recenzji:

„Nie było zresztą ani jednej roli, która by psuła całość, albo wykazała brak sumiennego przygotowania wykonawcy, toteż całość poszła prawie koncertowo czego szczerze dyrekcji i reżyserii powinszować należy". Toż samo powiedzieć można o obecnej inscenizacji. Widać duch tamtych czasów miał wpływ na ten spektakl. A może i duch obecnych zmian teatralnych... Jedno jest pewne — „Ciężkie czasy" — obejrzeć należy.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

Michał Bałucki — „Ciężkie czasy", reżyseria — Wojciech Pilarski, scenografia — Henri Poulain, muzyka — Tomasz Kiesewetter, kierownictwo muzyczne — Anna Płoszaj. Teatr Nowy Łódź.

NA TEMAT SZAFY

Łaskawemu Czytelnikowi niniejszej rubryki bezczelnie donoszę, że z powodu powszechnie wzrastającej stopy życiowej nabyłem drogą kupna telewizor. Wyznanie to złożone po blisko rocznym zajmowaniu się pisaniem o telewizji uzupełniam niezbędnym wyjaśnieniem, iż dotychczas recenzowane pozycje programu oglądałem poza domem. Tym samym mój stosunek do zjawiska nazwanego telewizją miał charakter niecodzienny, by nie rzec odświętny, a w każdym razie był nacechowany poczuciem dystansu, jaki mnie dzielił od telewizora. Obecnie, kiedy nowoczesny, 12-kanałowy i superheterodynowy odbiornik „Neptun-413" zdobi moje wnętrze telewizyjny rytuał mojego życia szybko spowszedniał. Zaczęły natomiast towarzyszyć mu elementy nowe a nieoczekiwane.

Otóż drogą wnikliwej introspekcji doszedłem do wniosku, że posiadanie telewizji w domu zaczyna zagrażać wszelkiej refleksji na jej temat. Zacząłem więc całkiem serio zastanawiać się, czy nie wycofać się z tego interesu. Bowiem utrata wspomnianego dystansu spowodowała błyskawiczną asymilację mojego nowego nabytku w dawnym otoczeniu, gdzie wkrótce stał się meblem prawie takim samym jak szafa lub wersalka. A czy można pisać recenzję o szafie lub wersalce? Absurdalność tego pytania jest pozorna, gdyż odbiór dziennego programu telewizyjnego zaczyna się niepokojąco automatyzować i staje się czynnością mimowolną, nieomal bezwiedną. Już przedtem zauważyłem, że u znajomych telewizor jest włączony na zasadzie zegara, na który od czasu do czasu rzuca się machinalne spojrzenia, nie przerywając innych czynności np. czytania książki. Ten stan szczególnej postawy odbiorczej podyktował nawet swoiste recepty dramaturgii telewizyjnej: podobno należy tak organizować narrację odcinka serialu lub sztuki telewizyjnej, aby telewidz, który wychodzi na kilka minut do kuchni po powrocie przed ekran ciągle wiedział o co chodzi.

W ten oto sposób typ odbioru poczyna warunkować styl telewizyjnej kultury. Nie trzeba nikogo przekonywać, że jest to kultura, która w większości swoich utworów liczy na umysłowe lenistwo odbiorcy. I to nie tylko umysłowe. Dla człowieka, którego wizja kultury ogranicza się do 24 cali wyjście do kina lub teatru staje się wyprawą podejmowaną raz do roku albo i rzadziej. Warto w tym miejscu zauważyć, że socjologowie nie odnotowują upadku czytelnictwa, którego statystyki są pomyślane wobec telewizyjnego potopu. Tak, ale statystyki są bezradne wobec sfery wartości, które istotnie są przyswajane w toku lektury. Brakuje badań nad wpływem stylu telewizyjnej kultury na wybory, motywacje i nastawienia czytelnicze. Z badań tych — jak śmiem podejrzewać — wyłoniłby się obraz mentalności zasnutej czarnymi chmurami, w których grasuje Janosik and his boys.

Grzechem pierworodnym naszej telewizji jest jej infantylizm, który wynika z niezrozumiałego i graniczącego z lekceważeniem braku zaufania do możliwości intelektualnych telewidza. Na szczęście powoli, z ociąganiem odchodzi w przeszłość szare widmo przeciętnego telewidza, ale nadal jedyna rozsądna zasada programowa polegająca na związaniu różnorodności treści i form z wielorakością oczekiwań nie znajduje praktycznej realizacji. Szanse na idealne sprofilowanie programu są minimalne, ale te nikłe, które są, lekceważy się od początku: II program ciągle pozostaje śmietnikiem programu I. Brak zaufania do odbiorcy polega na nieustannym i w tej chwili już podświadomym równaniu w dół do wyobrażonego poziomu mitycznego, szarego telewidza. Brak natomiast ruchu w górę, który jest koniecznym warunkiem kulturalnego awansu całego społeczeństwa. Demokratyzacja najcenniejszych wartości humanistycznych i artystycznych jest zależna od swego rodzaju agresji kulturalnej, prowokacji i nawet eksperymentu, słowem intelektualnego gwałtu, który choćby za cenę oburzenia i skandalu wyrwie telewidza z uśpienia, rozdrażni i w ten sposób skłoni do myślenia.

Postawy odbiorcze i postawy twórcze są zwrotnie sprzężone. To paradoks, że półtoragodzinny program telewizyjny przeznaczony dla milionowej widowni powstaje znacznie szybciej i przy znacznie mniejszym nakładzie środków, zdolności i wyobraźni niż przeciętny, pełnometrażowy film fabularny.

W moim pisaniu o telewizji przeważają tony krytyczne. Powoduje je rozpiętość między polską literaturą, teatrem czy filmem a krzywym zwierciadłem telewizyjnego ekranu, w którym karykaturalnie przegląda się nasza kultura. Ale telewizja nie bez powodu jest „chłopcem do bicia". Wydaje się, że z jej masowości wyciągane są fałszywe koncepcje dotyczące kształtów kulturalnego egalitaryzmu.

A jednak mimo to kupiłem ten browar, aby choć raz w tygodniu napić się piwa.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

„WASHINGTON POST" — WASZYNGTON

Sądząc z oficjalnych wystąpień przedstawicieli Związku Radzieckiego, zmiana kierownictwa w Waszyngtonie nie zachwiała wiary ZSRR w pomyślne perspektywy odprężenia. Wypowiedzi czołowych działaczy Związku Radzieckiego o rozwoju stosunków radziecko-amerykańskich, a w szczególności o działalności nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, są pozytywne. Ton dyskusji między ZSRR i USA pozostaje wyraźnie taki sam, jaki był w ostatnich latach. Radziecko-amerykańskie rozmowy w Moskwie dotyczące tak różnorodnych problemów, jak turystyka i badania kosmiczne przebiegały w duchu odprężenia. Wypowiedzi o sprzyjającej atmosferze we współpracy utrzymują się we wszystkich wspólnych komunikatach ZSRR i USA oraz wywiadach publikowanych w prasie radzieckiej. Z kolei Ford zapewnił rząd ZSRR, że dąży do dalszego polepszenia stosunków radziecko-amerykańskich.

„THE ECONOMIST" — LONDYN

Na Morzu Śródziemnym znajduje się szereg baz wojskowych, z których korzystają Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Niektóre z nich wykorzystuje się przede wszystkim w systemie NATO. Gibraltar jest brytyjską bazą, w której zaopatrują się w paliwo okręty wojenne i samoloty. W dokach dokonuje się remontu okrętów. Na terytorium bazy znajdują się oddziały wojsk osłony. Z bazy na Malcie, chociaż w opłatach za jej dzierżawę partycypują wszystkie kraje należące do NATO, ma prawo korzystać tylko Wielka Brytania. Rozlokowano w niej około 900 żołnierzy oddziałów desantowo-dywersyjnych eskadrę samolotów patrolowych do zwalczania łodzi podwodnych i kilka samolotów rozpoznawczych. Sigonella jest włoską wojskową bazą lotniczą, finansowaną z dotacji NATO i wykorzystywaną przez Amerykanów. Jest ona głównym punktem oporu USA na Morzu Śródziemnym. W bazie stacjonuje eskadra samolotów do zwalczania łodzi podwodnych. Jest także bazą zaopatrzeniową amerykańskiej VI floty, która na wypadek wojny byłaby główną siłą uderzeniową na południowej flance zachodniej Europy. La Maddalena, wyspa przeznaczona na pływającą bazę USA, jest przystosowana do obsługi atomowych łodzi podwodnych. Neapol — Gaeta jest centrum łączności i zaopatrzenia w paliwo. Tutaj kwateruje sztab generalny południowego dowództwa NATO. W bazie stale stacjonuje część okrętów VI floty USA, włącznie z okrętem flagowym. Suda Bay — grecka baza wojskowa na Krecie — jest włączona do systemu infrastruktury NATO. Amerykanie korzystają z niej jako z punktu oporu dla operacji we wschodniej części Morza Śródziemnego. Ateny — w porcie ateńskim stacjonuje eskadra amerykańskich niszczycieli. Lotnisko wojskowe jest przystosowane do obsługi amerykańskich samolotów transportowych i wywiadowczych. Na Cyprze działają dwie brytyjskie bazy wojskowe. Rozmieszczono tu dwie eskadry ciężkich bombowców oraz samoloty myśliwskie i wspomagające. Oddziały wojskowe stacjonujące na wyspie mogą być użyte do operacji w każdym miejscu Bliskiego Wschodu i Morza Śródziemnego. Tutaj także znajduje się centrum szkoleniowo-ćwiczebne. Bazy zabezpieczają zaopatrzenie sił NATO na Cyprze. Rząd Makariosa nie zezwolił na korzystanie z baz innym, poza Wielką Brytanią, krajom należącym do NATO. Głównym zadaniem wszystkich wymienionych baz jest zabezpieczenie operacji na południowej flance zachodniej Europy. W czasie pokoju baz używa się do celów sił NATO oraz prowadzenia obserwacji ruchu statków i okrętów Związku Radzieckiego. To drugie zadanie wykonują brytyjskie i amerykańskie okręty patrolowe oraz atomowe łodzie podwodne, bazujące u brzegów wyspy La Maddalena.

TASS — MOSKWA

Na targach w Rio de Janeiro, w największym pawilonie „San Cristobal" gościnnie otwarto wrota wystawie Wszechzwiązkowego Zjednoczenia „Mieżdunarodnaja Kniga". Największym popytem wśród brazylijskich nabywców cieszy się literatura naukowa i naukowo-techniczna. Radzieckie podręczniki dla wyższych uczelni z zakresu matematyki, fizyki, chemii, metalurgii i innych nauk technicznych oraz nauk przyrodniczych zostały przyjęte jako oficjalne pomoce naukowe w uniwersytetach i instytutach brazylijskich.

„FRANCE PRESSE" — PARYŻ

Według danych Organizacji Narodów Zjednoczonych, spośród 86 miast świata, najdroższym miastem dla cudzoziemców jest Tokio. Jeśli przyjąć indeks kosztów utrzymania w Nowym Jorku za 100, to w Sydney i w Dżakarcie wynosi on 102, w Wiedniu — 110, w Genewie — 117, w Kopenhadze — 118, w Hadze — 120, w Bonn — 126 i w Tokio — 133,5.

INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE" — PARYŻ

Jak świadczą wyniki badań opinii publicznej, przeprowadzone przez gazetę „Berlingske Tidende" w Kopenhadze, 53 proc. Duńczyków jest przeciwnych należeniu Danii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a tylko 31 proc. popiera ten krok rządu duńskiego. W czasie referendum w październiku 1972 roku za przystąpieniem Danii do Wspólnego Rynku opowiedziało się 57 proc. ludności, przeciwko — 33 proc.

GDY NADEJDZIE DZIEŃ „X"...

Ciężka sytuacja ekonomiczna, socjalna i polityczna, zbrodnicza działalność neofaszystowskich organizacji, skandale w sferach wojskowych, korupcja itd., itp., nieustannie bulwersują włoską opinię publiczną i nie schodzą ze szpalt prasy światowej. Ostatnio znów obiegła kulę ziemską sensacyjna wiadomość, iż w jednym z krajów zachodnich istnieje i działa „emigracyjny rząd Włoch". Struktura „rządu" i jego credo polityczne nie odbiegają w zasadzie od neofaszystowskiego wzorca. Pomost między rządem i jego neofaszystowską bazą w kraju jest oczywisty.

Kształtowała się ona na przestrzeni wielu lat, mając nieograniczone poparcie polityczne i finansowe skrajnej prawicy włoskiej. Już w latach 1948—51 działały we Włoszech dwie terrorystyczne, neofaszystowskie organizacje: „Front ruchów rewolucyjnych" i „Czarny legion". Później, po aresztowaniu przywódców i rozwiązaniu tych organizacji ich byli członkowie stworzyli niebawem inną organizację pn. „Nowy porządek". „Nowy porządek" — nazwany tak na cześć Hitlera i jego obłędnych idei — nawiązał bliskie kontakty z „czarnymi pułkownikami" w Grecji, z neofaszystowskimi kołami Francji, Belgii, Hiszpanii, Portugalii, Anglii, RFN, rasistami z RPA i in. Od grudnia 1969 roku przywódcy „Nowego porządku" wraz z „kolegami" z innego neofaszystowskiego ugrupowania „Awangarda narodowa" dokonali szeregu krwawych aktów terrorystycznych. W marcu 1974 roku, po uwięzieniu liderów, „Nowy porządek" przestał istnieć, ale na jego „gruzach" powstała nowa organizacja neofaszystowska pn. „Czarny porządek". Po dokonaniu kilkudziesięciu aktów terroru, zabójstw, prowokacji i dywersji zyskała sławę najbardziej bojowej siły, najbardziej aktywnego i rozpasanego skrzydła włoskiej reakcji. Ta z kolei nie działałaby tak swobodnie, gdyby nie poparcie prawicowych kół w aparacie administracyjnym, policji, wojska, a nawet w organach wywiadu i kontrwywiadu. Szczególnie niebezpieczną rolę w konsolidacji sił faszystowskich odegrała przesławna SIFAR — Informacyjna Służba Sił Zbrojnych — na czele z jej kierownikiem gen. de Lorenzo, zamieszana w przygotowywanie przewrotu, planowanego na lipiec 1964 roku. Historia, jak widać, stara, ale wciąż żywa, choć nie żyje już gen. de Lorenzo. Na miejsce SIFAR, stworzono w 1965 roku włoski kontrwywiad wojskowy — SID, powołany do „naprawienia błędów SIFAR". Jednakże po dziewięciu latach działalności SID okazało się, iż nie tylko „nie naprawia" on błędów SIFAR, lecz co więcej — kontynuuje jego działalność.

Neofaszystowskiej działalności SID i niesłychanym faktom, które doprowadziły do kompromitacji włoskiego kontrwywiadu wojskowego wiele miejsca poświęca mediolański tygodnik polityczno-literacki „L'Europeo". Z braku miejsca nie sposób przekazać w całości wszystkich szczegółów tego skandalu. Odnotujmy zatem tylko ostatni (w tym stadium) rozdział sprawy SID, którym było aresztowanie w grudniu 1973 roku ppłk. Amosa Spiazzi, szefa wydziału kontrwywiadu w 67 pułku piechoty, stacjonującym w Weronie. W toku dochodzenia ustalona iż Spiazzi był jednocześnie szefem podziemnej organizacji neofaszystowskiej pn. „Róża wiatrów", rozwijającej aktywną działalność w wojsku. Zamierzała ona dokonać zbrojnego zamachu stanu w początkach 1974 roku. W czasie śledztwa ppłk Spiazzi oznajmił, że jest agentem SID i wypełniał zadanie specjalne. Odmówił dalszych zeznań. Powiedział tylko, że otrzymał taki rozkaz od gen. Alemanno, dowódcy USI — jednego z dwunastu wydziałów włoskiego kontrwywiadu wojskowego. Później, podczas konfrontacji z gen. Alemanno, potwierdził, że jest agentem SID i że jego działalność w „Róży wiatrów" była uzgodniona z Servitio Informatione Difensa (SID), z dowództwem karabinierów i dowództwem sił zbrojnych... W obliczu wszystkich faktów świadczących o zakulisowej i antypaństwowej działalności kontrwywiadu wojskowego na przestrzeni ostatnich lat, po długich debatach w parlamencie postanowiono dokonać zmiany na stanowisku szefa SID. To wszystko.

A teraz powróćmy do wspomnianego na wstępie „rządu emigracyjnego Włoch". Co się kryje za tymi wszystkimi ciemnymi sprawami wojskowego kontrwywiadu? — pyta „L'Europeo". Po opublikowaniu pierwszej części materiału o działalności SID, w redakcji „L'Europeo" nieoczekiwanie rozległ się dzwonek telefonu. Telefonował... Enzo Salcioli, ten sam podpułkownik SID, który w 1971 roku zjawił się w redakcji zachodnioniemieckiego „Spiegla" z całą serią demaskatorskich materiałów. Wywiad, którego udzielił naszemu korespondentowi — pisze „L'Europeo" — wyjaśnia wiele spraw z działalności SID, osłoniętych dotąd najgłębszą tajemnicą. (Salcioli był agentem SID, brał udział w akcjach „gorącej jesieni" we Włoszech w 1969 roku, a po wybuchu bomby rzuconej przez neofaszystów w Mediolanie, „o czym dużo wiedział", uciekł do RFN. Jako niewygodny świadek dla SID, musiał także uciekać z RFN). I oto wybuchła sensacja: na emigracji powstał nielegalny rząd Włoch. Wchodzą doń wojskowi i działacze polityczni o poglądach neofaszystowskich. Salcioli zajmuje w nim stanowisko szefa sztabu generalnego...

Naszą rozmowę — pisze „l'Europeo" — zaczęliśmy od wydarzeń w 1969 roku, a ściślej mówiąc od tego, kto podłożył bombę w Mediolańskim Banku Rolnym.

— W sprawę wybuchu bomby w Mediolanie — powiedział Salcioli — jest zamieszany pewien pułkownik włoskiego kontrwywiadu wojskowego. Nosił w tym czasie pseudonim „Czarne Pióro". Jego zadanie polegało na nawiązaniu kontaktów między pewnym obcym państwem, które wydawało polecenia dotyczące operacji terrorystycznych i wykonawcami tych rozkazów we Włoszech... Nie wiem na pewno dla kogo on pracuje. Ale człowiek ten jest z pewnością zdolny do wszystkiego, w tym również do masowych zabójstw.

Później nastąpiło jeszcze jedno bardzo ważne wydarzenie. 4 listopada 1969 roku odbyło się w Rzymie tajne spotkanie, w którym wzięło udział około 25 wysokich oficerów SID: generałów i pułkowników. Oficerem z najniższym stopniem byłem tylko ja — powiedział dalej Salcioli. — Omawialiśmy problem ewentualnych następstw strajku generalnego, który postanowiły ogłosić trzy największe centrale związkowe Włoch. Zapadła decyzja podjęcia energicznych kroków jeżeli „wydarzenia wymkną się spod kontroli". Przede wszystkim przewidziano interwencję wojska, które miało przeprowadzić w całym kraju aresztowania wśród działaczy politycznych, związkowych i społecznych, zająć ważne punkty strategiczne i zapewnić sobie całkowitą kontrolę nad krajem. Nastąpiła jednak nieprzewidziana okoliczność: dowódca naszej organizacji w Mediolanie, generał SID, który w odpowiednim momencie miał podać umówiony sygnał, nie zrobił tego. I cała operacja zakończyła się fiaskiem. W ten sposób została udaremniona druga próba przewrotu państwowego we Włoszech, po próbie zamierzonej w 1964 roku. (SIFAR — gen. de Lorenzo — red.). Byłem skrompromitowany bardziej niż wszyscy inni, ponieważ przygotowywałem aresztowania we Florencji i w Toskanii. Aresztowani senatorzy, posłowie, przywódcy związkowi i wyżsi urzędnicy sądowi mieli być przewiezieni na wyspę Maddalena. W konsekwencji popadłem w niełaskę, bo za dużo wiedziałem. Niebezpiecznie było pozostawać w kraju, więc uciekłem do Szwajcarii, a następnie do Niemiec zachodnich. Ale opuszczając Włochy udało mi się zabrać ze sobą 1200 ściśle tajnych akt z archiwów SID. Wśród nich znajduje się na przykład informacja o śmierci płk. Renzo Rocca, który „popełnił samobójstwo". Ale ja mam autentyczny rozkaz zabójstwa Rocca, na którym figurują również nazwiska konkretnych wykonawców tej operacji. Mam także dokumenty dotyczące śmierci Enrico Mattei (znany magnat naftowy, prezes Narodowego Towarzystwa Paliw Płynnych — ENI, zginął w katastrofie lotniczej w tajemniczych okolicznościach). Mattei prowadził politykę, która przeszkadzała rządowi. Jego osobiste stosunki z niektórymi przywódcami krajów arabskich były cierniem w ciele rządu. Ale zgubiło go coś innego. Był człowiekiem ambitnym i marzył o władzy. Kiedy stało się jasne, iż Mattei chce zostać prezydentem, skazano go na śmierć. Wpływowi włoscy działacze polityczni kazali go wyłączyć z gry. W samolocie Mattei podłożono minę z opóźniającym zapalnikiem, która spowodowała katastrofę...

— Czy się lękam, że mogą mnie zabić? — Nie. Jeżeli zginę, to nazajutrz w gazetach całego świata ukażą się demaskujące materiały. Mam tutaj czterech adwokatów, którzy są przygotowani do opublikowania tych dokumentów. Analogiczne polecenia wydałem moim adwokatom w Belgii, Szwajcarii i zachodnich Niemczech. Posiadam takie dokumenty, które mogą zaprowadzić za kratki wielu byłych ministrów.

Istotnie, jestem członkiem tzw. „czarnego" rządu Włoch, stworzonego na emigracji. Jestem szefem sztabu generalnego. Celem działalności tego rządu jest dokonanie przewrotu państwowego we Włoszech i przechwycenie władzy. Wyżsi oficerowie w kraju są całkowicie po naszej stronie. Nie mam pewności co do kapitanów i wojskowych niższych stopni. Żołnierze także nas nie poprą. Ale oni się nie liczą. Liczymy natomiast na oddziały wojsk specjalnych: spadochroniarzy, piechotę morską, oddziały szturmowe i broń pancerną. Polegamy także na pomocy lotnictwa i morskiej floty wojennej, które są całkowicie po naszej stronie. O oznaczonym dniu „X" okręty opuszczą włoskie porty, a nasi piloci wystartują z włoskich baz, kierując się za granicę. Mamy własne lotniska. Niektóre kraje są gotowe oddać do naszej dyspozycji swoje bazy. Ogólnie rzecz biorąc, nie obawiam się ujawnienia moich planów, mogę panu powiedzieć, że liczymy na 80.000 ludzi. A środków finansowych mamy więcej niż rząd włoski... Popiera nas większość dowódców NATO.

Stworzymy we Włoszech republikę z rządem, składającym się ze specjalistów technicznych. Prezydent tego rządu na emigracji przebywa obecnie we Włoszech. Nie mogę ujawnić jego nazwiska, ale jest to bardzo znany działacz polityczny, który pojawi się na scenie w odpowiednim momencie, jako [illegible]dzianka. Siedmiu członków rz[illegible] najduje się obecnie za granicą. Poz[illegible] około 20 osób, wchodzących w jego skład, mieszka we Włoszech. Wśród dziennikarzy mamy mało zwolenników. Dlatego po przejęciu władzy dokonamy rekwizycji prasy i na czele redakcji gazet postawimy ludzi, którzy byli nam bliscy w trudnym okresie.

Wkrótce już, z jednego z państw graniczących z Włochami, rzucimy apel do Włochów. Gdy przybędziemy na Sycylię, będzie nas na pewno nie tysiąc, jak za Garibaldiego"...

JERZY CZECH

■ W imię niepodzielności pokoju
■ Głos za wznowieniem obrad konferencji na temat Bl. Wschodu
■ Nikłe zwycięstwo partii Wilsona

„Z doświadczeń naszych, a także z dzisiejszego stanu rzeczy na globie ziemskim wynika nasze głębokie przekonanie o niepodzielności pokoju i o kluczowym znaczeniu sprawy zapobieżenia nowej wojnie światowej. Zapewnienie trwałego pokoju we współczesnym, społeczno-ekonomicznie i ideologicznie podzielonym świecie zależy przede wszystkim od pełnego wprowadzenia w życie — głoszonych i konsekwentnie realizowanych przez państwa socjalistyczne — zasad pokojowego współistnienia krajów o odmiennych ustrojach".

„I sekretarz i prezydent wyrazili zadowolenie z postępu, jaki został dokonany w ostatnich latach w zakresie ogólnego odprężenia i rozwoju pokojowych stosunków między państwami o różnych systemach społeczno-ekonomicznych. W związku z powyższym podkreślił znaczenie uczynienia tego postępu nieodwracalnym".

Oba te fragmenty — pierwszy z przemówienia Edwarda Gierka na sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, drugi — ze wspólnego oświadczenia o zasadach stosunków polsko-amerykańskich — syntetycznie określają sens wizyty I sekretarza KC PZPR w Stanach Zjednoczonych. Oto **dwa państwa:** jedno, będące mocnym ogniwem wspólnoty socjalistycznej i drugie, uznane za czołowe mocarstwo świata kapitalistycznego — **gotowe są współdziałać na arenie międzynarodowej w kierunku pokoju i bezpieczeństwa, a także rozwijać stosunki dwustronne.** Temu ostatniemu daje dokument, podpisany przez Edwarda Gierka i Geralda Forda, wspólne oświadczenie o rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej i technologicznej.

Zwróćmy uwagę na jeden tylko szczegół — zapowiedź wzrostu wzajemnych obrotów handlowych do 1 mld dol. w 1976 r. i 2 mld dol. w 1980 roku. Dziedzinami, które rokują szczególne możliwości rozwoju stosunków gospodarczych są przemysły: lekki, spożywczy, chemiczny, petrochemiczny, maszyn budowlanych i środków transportu, górnictwo i przetwórstwo węglowe.

Jednak znaczenia wizyty nie można mierzyć tylko oficjalnymi dokumentami. Była to przecież okazja do rozmów, bezpośredniego poznania się, spotkań z liczną w Stanach Zjednoczonych Polonią. Widzieliśmy na ekranach telewizyjnych tę serdeczność, z jaką obywatele amerykańscy polskiego pochodzenia witali I sekretarza KC PZPR. To wszystko **zaliczyć trzeba do dużych, choć niewymiernych wartości** wizyty trzeciej, jaką Edward Gierek złożył w państwie zachodnim.

Lektura prasy krajów socjalistycznych i wszystkich najpoważniejszych dzienników światowych prowadzi do jednego wniosku — ta wizyta dobrze zasłużyła się sprawie pokoju. Jest ona elementem walki, prowadzonej przez Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne o uzdrowienie sytuacji międzynarodowej i rozwiązanie na drodze pokojowej dalszych problemów.

Jednym z nich jest aktualnie problem Bliskiego Wschodu. Dlatego też Leonid Breżniew, przemawiając w Kiszyniowie z okazji 50-lecia Mołdawskiej SRR, poświęcił mu szczególnie dużo miejsca.

Przed rokiem agresywna polityka przywódców Izraela doprowadziła do kolejnego konfliktu zbrojnego. Mógł on niebezpiecznie rozszerzyć się na świat. Takiej ewentualności położyła tamę wspólna propozycja radziecko-amerykańska, zaaprobowana przez Radę Bezpieczeństwa. Zadanie politycznego uregulowania konfliktu powierzono genewskiej konferencji. Praktyka wykazała jednakże, iż jej prace zastąpiono grupowymi rozmowami na temat oddzielania wojsk na poszczególnych frontach. Rozdzielenie to jest bardzo pożyteczne, ale nie można na nim poprzestać. Dlatego **Związek Radziecki opowiada się za jak najszybszym i efektywnym wznowieniem prac konferencji genewskiej** z udziałem wszystkich zainteresowanych stron, a w tej liczbie również Palestyńczyków. Jest to tym konieczniejsze, że okupanci izraelscy nadal utrzymują w swych rękach i częściowo zagospodarowują zagarnięte terytoria, tak jakby nie mieli wcale zamiaru powrócić do granic z 1967 roku.

Tylko przez wykonanie uchwały ONZ — zwrócenie ziem zagarniętych przez Izrael i zapewnienie arabskiemu narodowi Palestyny jego prawa do własnego ogniska narodowego — może prowadzić droga do trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie. Tę prawdę przypomniał we wspomnianym przemówieniu sekretarz generalny KC KPZR.

A teraz jeszcze kilkanaście słów o wyborach w W. Brytanii. Drugie już w tym roku miały przynieść umocnienie pozycji Labour Party. I rzeczywiście — **Wilson i jego partia uzyskali minimalną, choć absolutną przewagę.** Z pierwszych obliczeń, wynika, że 3 mandatów nad pozostałymi partiami. Utrudni to na pewno proces ustawodawczy, ale nie powinno być przeszkodą w realizacji programu reform, które zapowiada Partia Pracy. (Uzyskała ona o 19 mandatów więcej).

Konserwatyści wyszli z wyborów znacznie osłabieni, a wyraźną porażkę ponieśli liberałowie. Nie sprawdziły się więc przepowiednie, że mając wiele krytycznych uwag do dwóch głównych partii brytyjskich wyborcy mogą swymi głosami wesprzeć „trzecią siłę" — Partię Liberalną. Przybyło natomiast mandatów szkockim nacjonalistom.

Przegląd międzynarodowych aktualiów kończymy odnotowaniem faktu **wykrycia we Włoszech antypaństwowego spisku.** Jego uczestnicy, którzy zostali aresztowani, chcieli przemocą obalić ustrój parlamentarny i przywrócić dyktaturę. Różne akty terrorystyczne, mnożące się we Włoszech, już wcześniej sygnalizowały, że skrajna prawica ożywia swą działalność. Może dopiero teraz, po odkryciu planowanego przez nią spisku, uda się położyć kres tym wywrotowym zamiarom.

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

POEZJA WARSZAWSKA

Kiedy Łódź gości w Warszawie w ramach „Panoramy", ja w rewanżu zaprosiłem do tej rubryki Poezję o Warszawie. Jest po temu stosowna okazja, bowiem właśnie teraz w witrynach księgarskich całej Polski srebrzy się reprodukcja miedziorytu z XVII wieku. U dołu miedziorytu napis: „In stemmaticam sirenam nobilis magistratus Varsaviensis" — i akcent ten zamyka obwolutę pięknej książki.

Antologia Juliusza Wiktora Gomulickiego „Cztery wieki poezji o Warszawie" nie jest oczywiście pierwszą. To zresztą zrozumiałe, skoro czterysta już lat poeci spisują strofy o tym mieście — skoro już Ojciec Poezji Polskiej, Jan Kochanowski, pisał:

„Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi,
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi;
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,
A ty musisz tę swoją dobrą myśl położyć..."

I właśnie dziwne, że pierwsza antologia wierszy o Warszawie wydana została tak późno, dopiero w roku 1918. Jak pisze J. W. Gomulicki, nie była to zresztą antologia w całym tego słowa znaczeniu. Ot, po prostu poeta i księgarz, Wacław Szelążek, w swojej broszurce „Warszawa w poezji polskiej" (wydanej przez... Towarzystwo Krajoznawcze) zgromadził garść najpopularniejszych tytułów i cytatów.

I dopiero w latach okupacji hitlerowskiej zaczęły powstawać prawdziwe antologie poetyckie o Warszawie. Pierwszą wydano w Wilnie, drugą w samej stolicy, trzecią w Londynie. To był właściwy początek antologistyki warszawskiej.

W tym miejscu warto przypomnieć, że wśród antologii poetyckich, które wymienia w swojej erudycyjnej nocie Juliusz W. Gomulicki, znajduje się także publikacja wydana w 1946 roku w Łodzi. Jej autorami byli: Mieczysław Czerwiński i Kazimierz Paszkowski, księgarz i wydawca, którego nazwisko czytelnicy spotykają ostatnio także na naszych łamach.

Tom, który dziś srebrzy się reprodukcją miedziorytu w księgarskich witrynach, jest jednak pierwszą antologią gromadzącą wszystko, co cenne w poezji polskiej zrodziło się z fascynacji Warszawą.

Rozpoczyna go fraszka Kochanowskiego „Na most warszewski" — kończy „Brama na Starym Mieście" Stanisława Grochowiaka. Jest jakaś siłą i urok w tym mieście, że urzeka nie tylko warszawiaków. Kochanowski był, jak wiadomo, także z prowincji, Grochowiak też urodził się nie tu, lecz w Wielkopolsce, a jeden z piękniejszych wierszy o Warszawie napisał płoczanin, Władysław Broniewski. Czym byłaby Warszawa, gdyby nie „prowincja"!

Ba! Nie byłoby zapewne także i tej antologii. Co prawda Juliusz W. Gomulicki urodził się w Warszawie, ale przecież miłości do tego miejsca na ziemi uczył się od swego Ojca — poety Wiktora Gomulickiego, który świat ujrzał w Ostrołęce. Wiktor Gomulicki jest zresztą w antologii Syna prezentowany bogato, i słusznie, był bowiem czułym piewcą Warszawy, poświęcając jej swoje najpiękniejsze wiersze.

„Cztery wieki poezji o Warszawie" jest teoretycznie drugim wydaniem tej książki. Ale tylko teoretycznie. Publikacja wzbogacona jest o kilkadziesiąt wierszy nowych, co oczywiście nie znaczy, że napisanych ostatnio. Znalazły się tu bowiem anonimowe teksty z XVII wieku, znalazł się mało znany wiersz Orkana, utwory Wacława Rzewuskiego, Samuela Twardowskiego, Karola Balińskiego, Alojzego Żółkowskiego...

„Liczba poetów, którzy zaczęli pisać o Warszawie w ostatnich 55 latach — pisze Juliusz W. Gomulicki — wzrosła do 57, a liczba ich tekstów doszła do 105". Tyle nowych odkryć poetyckiej varsavianistyki znalazło się w antologii, że dziś można chyba powiedzieć, iż jest to publikacja pełna i wyczerpująca. Dobrze więc, że nakład ma przyzwoity, dwudziestotysięczny i być może kupno jej nie stanowić będzie problemu. Poprzednie — przed paru laty — wydanie „Czterech wieków" zniknęło z księgarń w ciągu paru dni.

Ernest Bryll napisał:

„U Miasta Starego
Stawiliśmy kolumnę. W poezji niepusta
jej liściana głowica..."

Tak jest. Niepusta liściana głowica warszawskiej kolumny. Dźwięczy najczystszą poezją — i tak już od czterystu lat...

WIDOK

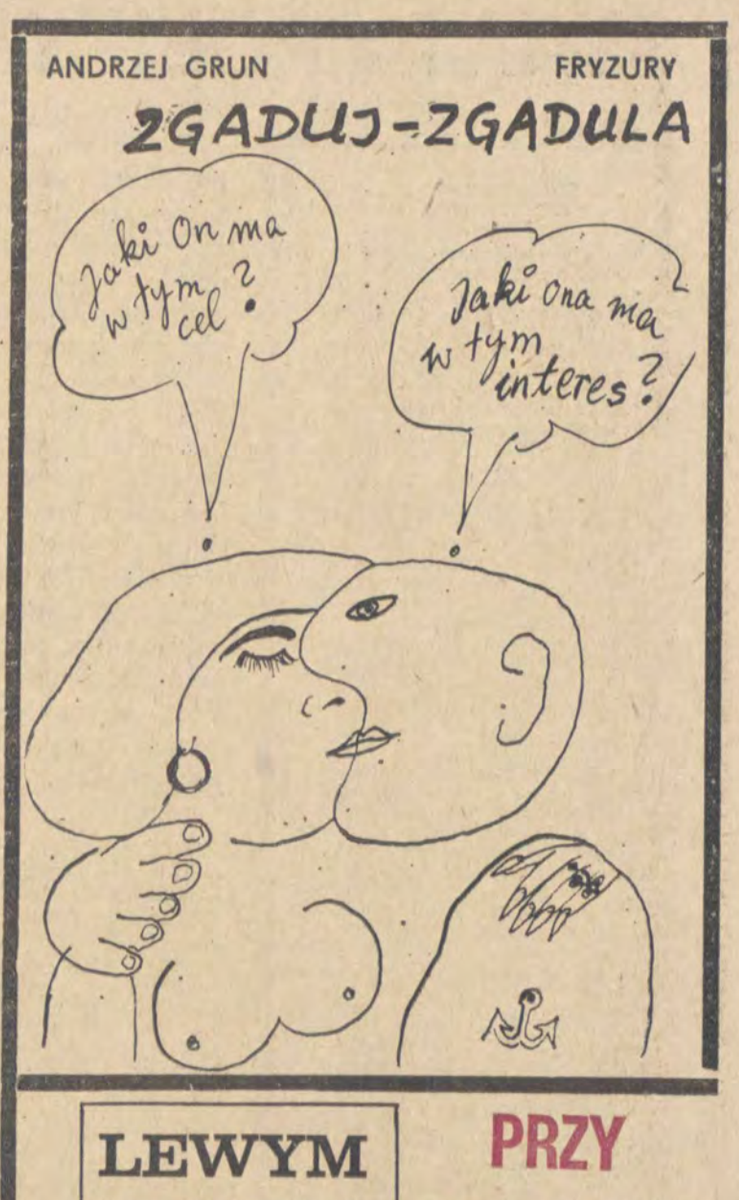

O dworcach kolejowych można nieskończenie: a więc dworce latem, dworce zimą, dworce przed i po 15-tym, przed 1-szym i po 1-szym, przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, i w czasie świąt i po świętach, dworce w wigilię Wszystkich Świętych i Bożego Ciała, dworce tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego, tuż po jego zakończeniu, dworce rano, wieczorem, w nocy, w południe, dworce o godzinie 16-tej, 17-tej, dworce gdy wyż i gdy niż atmosferyczny, gdy wojna, gdy tuż po wojnie: dworce wielkich metropolii, małych miasteczek, stacyjki zagubionych w lasach osad;

O! Dworce kolejowe — potrzebny wam jakiś Homer czy Dante, który napisze o was poemat, długi i szeroki jak Amazonka; mięsisty jak udziec barani szpikowany słoniną (a szpikowany głęboko, gęsto); krwisty jak dobry, prawdziwie dobry beefsteak, zrobiony tak jak trzeba, szalony jak miłość Taryjela; jędrny jak piersi szesnastoletniej Marii Antoniny Patricji Dominiki Huares, z którą nie uprawialiśmy miłości fizycznej, ale która lubiła biegać nago po wysłonecznionej plaży i z którą wiązały mnie zażyłości o wiele głębsze niż ta, jaką może dać najbardziej nawet rozbebeszone łóżko, bo oparte o czystą i prawdziwą miłość do morza, a raczej do słonecznych plaż i do wszystkich rzeczy, które na nich po odpływie znaleźć można; rytmiczny jak czarne spirituals; jak ocean w swym odwiecznym ruchu, jak cykl życia i śmierci; głośny jak stukot kół o stalowy trakt szyn; rzewny jak ukraińskie dumki; liryczny jak klucz żurawi...

Chciałbym napisać o Was taki właśnie poemat; jesteście przecież nieomal moim domem, mam więc w stosunku do was swój dług, ale poematy piszą z reguły ludzie albo bardzo młodzi albo bardzo starzy, a ja jestem jeszcze, wybaczcie, w sam raz; akurat w sam raz, jak uważam, jeśli idzie o poezję, to w zupełności na razie wystarczą mi formy krótkie. Tak, uważam, że jestem na etapie form krótkich, zatem więc będziecie musiały poczekać. O! dworce kolejowe całego świata, aż zestarzeję się na tyle, że będę mógł zabrać się do pisania poematu o Was; lecz ostrzegam Was — najlepsze poematy pisze się zazwyczaj w młodości (mój anioł stróż szepcze mi w ucho, że nie jest to regułą — natomiast mój diabeł rechocze niezwykle obraźliwie i czyni gesty raczej nieprzystojne — ach! oni obaj są zawsze przy mnie, jak dwa wierne psy, dwa charty z dwóch różnych matek, ale po tym samym ojcu; ich egzystencja polega na znakomitym uzupełnianiu się: gdy jeden ma lepszy węch, drugi na przykład jest szybszy; i tak dalej.

W dworcach kolejowych można się kochać jak w kobietach, ale jedne i drugie przyjmują tę miłość jako coś tak oczywistego i naturalnego, że pozostajemy bezradni; bezradni świadkowie ich samodzielnego, samowolnego i precyzyjnego (wprawdzie pozorom całkowitego chaosu i zupełnego braku koordynacji) funkcjonowania. Owo funkcjonowanie tych organizmów jest w gruncie rzeczy dalekie od wszelkich naszych tęsknot, wyobrażeń i nadziei...

* * *

Z daleka zobaczyłem jej figurkę: drobną, energiczną, a raczej może kruchą i energiczną. Szła jak zwykle szybko i pewnie, z tą elegancją i wdziękiem, których nie sposób wyuczyć się nigdzie, a które trzeba mieć w sobie od samego początku, z którymi przychodzi się na świat, a które potem życie albo temperuje i utadza, albo wysubtelnia, szlifuje, przydaje im cech nowych i innych wyrazów i znaczeń. Szła więc szybko przez peron ciemnowłosa i krucha, sprawiając wrażenie i trochę zagniewanej i trochę nieobecnej. Kiedy spostrzegła mnie, powiedziałem: — Cześć, serwus — bo tak zwykle się z nią witam, zwykle używam tych właśnie słów, żeby nie powiedzieć za mało, ale i nie za wiele.

— Cześć — odpowiedziała i usiadła na ławce obok. Ona też używa tych samych słów przy powitaniu, aby nie wypaść z konwencji, nie złamać reguł gry ustalonych od dawna.

— Ty pociągiem? — spytałem.

— Cholera. Nie mam już samochodu.

Zawsze zdumiewało mnie, jak ona potrafi wyrzucać z siebie słowa w jakiś przedziwnie kulistogramiasty sposób.

— Co się stało? — wykazałem dyskretne zainteresowanie, chociaż zawsze gdzieś tam w środku niepokoiłem się o nią, bo przy całej swej energii i odwadze w gruncie rzeczy nie przestawała nigdy być kruchą i bezradną.

— Tramwaj na mnie wjechał, cały bok zgnieciony. Skręcałam w lewo i wjechał tramwaj — opowiadała, opowiadała, że nie mają w MPK ludzi do prowadzenia tramwajów i autobusów i że ten facet co na nią wjechał to jeździł na tramwaju od dwóch miesięcy i że jeździł na pół etatu, bo na całym etacie pracował w tkalni i na tramwaju sobie dorabiał, że właściwie to trudno mieć do niego pretensje, bo przecież... i tak dalej, i tak dalej...

Ten samochód, który miała od niedawna był dla niej ważny; dla tamtego co pracował w tkalni ten dodatkowy zarobek na tramwaju też był ważny i w ten sposób zasupłał się węzełek konfliktów. Niczego nie zmienia w tym układzie fakt, że tamten człowiek był źle przeszkolony i być może zmęczony po zmianie, że nie znał się na tym co robił na pół etatu, chociaż być może znał się doskonale na tym, co robił na pełnym etacie. Przy okazji dowiedziałem się, że brak ludzi w komunikacji sprawia, że takie i podobne kolizje stają się zdarzeniami na porządku dziennym, czymś zupełnie normalnym i nieuniknionym. A potem ona powiedziała — cześć — i odeszła tym swoim szybkim, energicznym krokiem, krucha i drobna...

— Nie ma letko, chleb po osiem — odezwał się długowłosy młodzian przysłuchujący się naszej rozmowie. — We Wrocławiu studentów i magistrów zatrudnili na tramwajarzy. Też na godziny. Ale tam to ich przeszkolili, a poza tym to ferajna z politechniki, z elektrycznego, z mechanicznego. To fachowe głowy. Trzeba myśleć, przyznasz pan.

Przyznałem mu rację, że rzeczywiście trzeba myśleć.

* * *

— Panie, panie, wiesz pan co — nagle znalazł się mój staruszek z żółtym czamadanem — pod Poznaniem spalił się wagon sypialny. Dwie osoby z lekka poparzone, a reszta w piżamach, bo im się ubrania sfajczyły. Za moich czasów to było nie do pomyślenia. Transsyberyjską jeździłem, owszem, rozne tam były zdarzenia dziwne, ale żeby w samych piżamach? Tego nie było. A to heca.

— Znam takiego jednego, co jak sobie popije to mówi, że skończyła się zabawa, a zaczęły się schody — wtrącił długowłosy i zasępił się.

— A ja jadę do Warszawy, żeby dorobić pasek — rzekł staruszek — ot, popsuł mi się, ten tutaj i w Łodzi nikt nie może dorobić, bo sprzączek nie ma o odpowiednim, że tak się wyrażę, gabarycie. Skóra jest, ładna nawet, żółta, ale sprzączek nie ma. Więc do stolicy muszę.

— A pan byś chciał, żeby w Łodzi było wszystko? co? — zaczepnie zasepleni długowłosy. — Cóż się teraz modernizuje, arterie nowe wytyczają, znaki drogowe zmieniają, ulice jednokierunkowe i przelotowe robią, a pan o sprzączkach i pasku. Wapniak.

Długowłosy zerwał się gwałtownie z ławki i poowiewał majtając szerokimi nogawkami wystrzępionych dżinsów. Staruszek z żółtym czamadanem speszył się, posmutniał.

— Koło mnie w sklepie tylko sól, makaron czterojajeczny, herbata gruzińska i krakersy. — powiedział niepewnie, cicho i podreptał w przeciwną stronę.

— Oto odwieczny konflikt pokoleń — mruknąłem do siebie i zrobiło mi się jakoś raźniej, że jednak w tym świecie nie wszystko się zmienia.

* * *

Siedziałem dalej na ławce, obserwując ruchy tłumu podróżnych pulsującego jak magma. Rozmyślałem znów o tajemnicach dworców kolejowych, a tu przysiadł się Znakomity Malarz. Mrużył oczy, mówił o pointylizmie, o płótnach Surata, Alberta, Dubois-Pillet, Henri-Edmonda, Crossa, Signaca, o harmonii, kontraście, stopniowaniu i naświetleniu, o wzajemnych korzyściach wynikających ze stosowania czystych barw, o pryzmatach, kolorze lokalnym i indywidualności dotknięcia narzędziem powierzchni obrazu...

Niespodziewanie znalazł się znowu staruszek z żółtym czamadanem: był jakby nieco weselszy, bardziej pewny siebie...

— A wie pan, zapomniałem powiedzieć, że jak oni tam w tych piżamach, no tam, po tym pożarze wagonów, to zgwałcili jedną kobietę co była w nocnej koszuli i dwóch złapano, a trzeci uciekł. W piżamie... —

Lecz w tym momencie Znakomity Malarz przerwał mu brutalnie:

— Zgwałcili. Jedną kobietę. W nocnej koszuli. Też mi coś wielkiego. Posłuchajcie co pisze Praz o malarstwie Delacroix. Mam tutaj, akurat sobie wynotowałem. No posłuchajcie, co pisze o tym „intelektualiście o niezdrowej zmysłowości". Najpierw z własnych zapisków Delacroix:

„Dziś rano przyszła Helena. Cóż za nieszczęście... nic mogłem.

Dziewczyna przyszła dziś rano pozować. Helena spała lub udawała, że śpi. Nie wiem dlaczego, poczułem się w obowiązku udawać przez cały czas zakochanego; ale natura nie dopisała. Próbowałem usprawiedliwić się bólem głowy w chwili, kiedy właśnie wychodziła i kiedy było już za późno... wiatr się zmienił. Wszystkiego się obawiam i uważam zawsze, że jakaś niedogodność może okazać się wieczna...

Zawsze taki jestem (...) Moje postanowienia rozwiewają się zawsze w obliczu czynu. Potrzebna by mi była stała kochanka dla poskromienia zmysłów. Bardzo mnie to dręczy, staczam w pracowni wielkoduszne boje. Czasami życzyłbym sobie przyjścia pierwszej lepszej kobiety. Daj Boże, żeby jutro przyszła Laura! A potem, kiedy któraś się trafi, jestem prawie że niezadowolony i chciałbym nie musieć działać: to moje przekleństwo..."

Dargenty nazwał obrazy Delacroix „rezultatem zepsutej krwi". A teraz posłuchajcie co pisze Praz o jego malarstwie:

„Kobiety dręczone i chore; piękna, naga branka przywiązana do konia w obrazie Masakra na Chios; piękne konkubiny mordowane u śmiertelnego łoża Sardanapala niczym w jednej z orgii opisanych — bez najmniejszego artyzmu — przez Sade'a (w szkicu do tego obrazu ścinano głowę widocznej po prawej stronie niewolnicy, która ginie od pchnięcia nożem); kobieta zgwałcona i zabita, rozciągnięta na stopniach w nieskromnej pozie, a opodal jasnowłosa patrycjuszka, wycieńczona i dotknięta zarazą, nachylona nad siną twarzą zmarłej matki (Wkroczenie Krzyżowców do Konstantynopola); Ofelia — topielica, której postać prześladować będzie artystę przez całe życie; ukazujący się Faustowi cień Małgorzaty (diabeł trzyma za włosy bladą, martwą dziewczynę o bezwstydnie obnażonej piersi); Angelika i Andromeda przykute do skały; Olindo i Sofronia na stosie; Hinduska szarpana kłami tygrysa; zgwałcona Rebeka; inna młoda kobieta wleczona do mauretańskiej łodzi; sine piękno zwłok kobiecych w Tryumfującym Apollu. Na obrazach Delacroix przewija się przed naszymi oczyma w żałobnym rytmie cały mroczny harem okrutnych larw. Opętana szaleńczą żądzą zemsty Medea ruchem lwicy przyciska dwoje dzieci do marmurowego łona; w ręku trzyma sztylet, a cień zakrywa jej oczy niczym maska. A zakrwawione zwłoki pięknego efeba, św. Sebastiana, z których delikatne kobiece palce wyciągają strzały; a zwłoki innego młodego męczennika, św. Stefana, któremu również kobieta ociera płynącą z ran krew; a storturowane ciało młodego Foscari, nad którym płaczą matka i małżonka; a biskup Liège zmasakrowany podczas orgii. I wreszcie sufit Pałacu Burbońskiego w Paryżu, gdzie malarz zdaje się roztaczać swą bolesną wizję na całą historię ludzkości, a swego rodzaju filozofia w stylu Sade'a, głosząca niezmienne okrucieństwo natury, przebija z epizodów o Pliniuszu ginącym od wybuchu Wezuwiusza, o Archimedeste przebitym mieczem przez ciemnego żołdaka, o Senece — samobójcy z woli tyrana, o św. Janie Chrzcicielu ściętym dla kaprysu kobiety, o wygnanych Izraelitach w babilońskiej niewoli, o Italii deptanej przez dzikie hordy Attyli. Nawet Wolność — postać, od której powinna promieniować nadzieja — stąpa po trupach, zachęca do rzezi, a wygląd ma nie tylko bogini, ale i Fryne, i handlarki rybami zarazem, jak zauważył Heine. Cały kosmos cierpienia i bólu, niczym w Anactorii Swinburne'a. Nie tylko ludzkie ciała prężą się w gwałtownym wysiłku, skręcają się w spazmie lub padają wycieńczone w agonii, a pod skórą drżą napięte do ostatka ścięgna i pokrywa je śmiertelna bladość; ale to samo pełne bólu drżenie zdaje się przenikać zwierzęta i rośliny, niebo zdaje się nasycone dziwną limfą, jakby złożoną z żółci i ropnej cieczy i chyli się zakopcone nad gorączkującymi wodami, nad nieubłaganym morzem".

Już przy biskupie Liège staruszek sięgnął po swój czamadanik i opuścił naszą ławkę. Nie miał dziś biedak najwyraźniej szczęścia. Znakomity Malarz, kiedy skończył czytać, z trzaskiem zamknął gruby notatnik i rzekł:

— Oto sztuka wzbogacona makabrycznym promieniem. Żegnam pana.

Odchodząc, popatrzył na mnie takim wzrokiem, jak bym był dziewicą w jasyr wziętą, którą nie tylko zgwałcić i zasztyletować.

— O sztuko, cóżeś ty za pani...?

GLOBTROTTER

LEWYM OKIEM

PRZY RODZINIE

Czytam sobie niekiedy w rubryce drobnych ogłoszeń o tym, jak to studentki poszukują pokoju, albo cudzoziemiec, albo małżeństwo studenckie bezdzietne najwyżej na rok. Czytam też — ale znacznie rzadziej — że ktoś wynajmie pokój samotnemu panu, albo starszej pani za opiekę nad dzieckiem; czasami jest to pokój na trzy-cztery godziny dziennie, co niekoniecznie musi nasuwać frywolne myśli, jak przekrojowym „Rozmaitościom".

Czytam, a potem zaczynam sobie przypominać przedwojenną Warszawę. Sublokatorstwo — to była cała niezmiernie powszechna instytucja o treści dziś już trudno zrozumiałej, zupełnie innej niż treść kryjąca się za aktualnymi drobnymi ogłoszeniami. Sublokator to był człowiek bezdomny. Nie mamy dzisiaj bezdomnych ludzi.

Dom, w którym mieszkałem na Powiślu, obejmował około czterdziestu mieszkań dwu i trzyizbowych; mówiąc tamtoczesnym językiem — były to mieszkania typu „dwa pokoje z kuchnią" lub „pokój z kuchnią". Pamiętam nazwiska wszystkich „głównych lokatorów", bawiłem się z ich dziećmi, bywałem u nich i oni bywali u nas. I pamiętam też, że **ani jedno mieszkanie** nie było w całości zajęte przez „głównego lokatora" z rodziną. Nie było mieszkania, w którym nie gnieździliby się sublokatorzy, przeważnie nie znani nam z nazwiska, często się zmieniający, zapomniani. Byli nawet w pojedynczych izdebkach oficyny i suteren. Bezdomni ludzie, stanowiący czwartą część ludności Warszawy.

Dziś mało kogo stać na podnajęcie sobie pokoju. Studenci mieszkają w akademikach, fachowcy z różnych wędrownych ekip mają do dyspozycji specjalne hotele pracownicze. Pokój „przy rodzinie" kosztuje drogo, kilka razy drożej niż całe wielopokojowe mieszkanie. Dla gospodarza jest źródłem dodatkowego, poważnego dochodu, w starych nie zniszczonych dzielnicach miast niejedna rodzina żyje dostatnio dzięki ocalałym, dającym się wynająć pokojom. Dla podnajemcy taki pokój to luksus, prawie tyle co hotel, więcej niż pensjonat. Dla podnajemcy nie jest to prawie nigdy jedyny jego dom, dom jest gdzie indziej, tam się wraca i żyje, tu się tylko tymczasem mieszka, a ściślej: nocuje.

Dawny sublokator płacił część, nieraz tylko malutką część czynszu, należnego od całego mieszkania. Główny lokator brał sobie na głowę takich ludzi nie z chęci łatwego zarobku, tylko dlatego, że sam nie był w stanie opłacić „komornego". Sublokatorzy nie stawiali za to wymagań, nie żądali pokoi z osobnym wejściem i z widokiem na park. Mogło to być łóżko w najciemniejszym kącie kuchni, czasem nawet to samo łóżko dla trzech osób, sypiających o różnej porze. Gdyby sublokatora stać było na własne mieszkanie — nie szedłby mieszkać „kątem". To była dla obu stron nieunikniona konieczność, powodowana biedą. Mieszkań wolnych było przecież w bród!

Sublokator miał zazwyczaj kuferek pod łóżkiem i „wymawiał sobie" prawo zawieszenia w rodzinnej szafie świątecznego garnituru. Palto mogło wisieć byle gdzie, jadało się też byle gdzie, nikt nikomu nie przepalał korków włączonymi grzałkami, bo kto miał grzałkę? Nie wiadomo, gdzie sublokatorzy spędzali trzy czwarte doby. Powinni się tym tematem zająć uczeni. Nie było sublokatorów w kawiarniach, w teatrach i filharmoniach. Przychodzili na noc nie wiadomo skąd, raniutko wychodzili — podobno do pracy lub na uczelnię. Po trzech miesiącach niejednemu głównemu lokatorowi nie chciało przejść przez gardło oświadczenie, że „od jutra proszę szukać innego mieszkania" — ale co miał robić, skoro sublokator nie płacił? Porządny, cichy, sympatyczny człowiek, ale nie płacił. Zabierał kuferek i bez niczyjej urazy szedł dalej. Żadnych z nim umów nie spisywano. Ludzie musieli sobie wierzyć, do sądu nie było po co w takich sprawach chodzić.

Sublokatorami była większość studentów spoza wielkich miast i cała rzesza ludzi, ciągnących ze wsi na zarobek, na przeżycie zimy i przednówka, na ryzyko wyrwania się z jeszcze gorszej, bezrolnej nędzy. Setki tysięcy takich ludzi pozostawały sublokatorami całe życie, także po założeniu rodziny, po przyjściu na świat dzieci. Całe życie czekali na nieokreśloną szansę dużych zarobków, które by im pozwoliły zamieszkać i — cóż za marzenie! — kupić własne meble. To było trochę inne czekanie niż nasze kilkuletnie kolejki w spółdzielniach mieszkaniowych.

Co oczywiście nie znaczy wcale, że czekanie w takiej kolejce mamy uważać za przyjemność. To jest także tymczasem zło konieczne. Tyle że czekając — nie tuła się nikt jednak po przystawnych łóżkach, po cudzych zapluskwionych, zagęszczonych, zakisłych facjatach. A jeśli ma szczęście dobrze zarabiać — daje drobne ogłoszenie: pokój z niekrępującym wejściem, w dzielnicy takiej, a takiej wynajmę na trzy lata. Cena obojętna.

ĆWIEK

NIEPOSPOLICI

Niepospolitych ludzi opisuje w swojej książce Adam Grzymała-Siedlecki, sam także człowiek niepospolity. Z wnikliwym obiektywizmem, ale i nie bez emocjonalnego zaangażowania pisze Siedlecki o wybitnych ludziach swojej epoki, widzianych z bliska i na co dzień. Reymont i Sienkiewicz, Sewer i Solski, Przybyszewski i Wyspiański — oto niektórzy tylko bohaterowie tej urokliwej książki.

Nie jest to tradycyjny pamiętnik — pisana jest w trzeciej osobie i tylko czasami autor ujawnia się w bezpośredniej relacji własnych przeżyć lub zwraca się wprost do czytelnika. Wokół centralnych postaci książki przewija się liczna galeria ludzi mniej lub bardziej znanych i wybitnych ze środowiska literackiego, aktorskiego, naukowego i politycznego.

Adam Grzymała-Siedlecki „Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim", Wyd. Literackie, cena 45 zł.

LENINO

Wiele książek napisano o Lenino, małej wiosce, od której zaczęła się droga bojowa Ludowego Wojska Polskiego. „Lenino — początek drogi", taki właśnie tytuł nosi głośny reportaż historyczny Alojzego Srogi. Dla autora, zresztą nie jest to reportaż historyczny, tylko kawał własnego życiorysu.

Książka jest oparta na kilkuset relacjach żołnierskich, na ich podstawie kreśli Sroga dzieje powstania Pierwszej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Znajdujemy na kartach tej publikacji codzienne życie w sieleckim obozie, wymarsz na front, no i wreszcie — bitwę pod Lenino, kulminacyjny moment, a jednocześnie ów tytułowy „początek drogi".

Książka przedstawia nie tylko powstawanie i cementowanie się Pierwszej Dywizji jako całości, lecz także sylwetki setek żołnierzy, często dotąd bezimiennych bohaterów.

„Słowo „Lenino" stało się częścią symbolu i myślowego skrótu. Przynależy dziś do historii i legendy Ludowego Wojska. Ogromną zasługą Alojzego Srogi jest więc to, że ów symbol wypełnił faktografią, że ów myślowy skrót sprowadził do zwykłych, codziennych realiów. A jednocześnie jest ta książka hołdem pamięci poległych i tych, którzy ową historyczną bitwę przeżyli. I choć tyle już napisano o Lenino — książka Srogi jest pozycją fundamentalną, najpełniejszą i najgłębszą relacją o początku drogi polskiego żołnierza.

Alojzy Sroga „Lenino — początek drogi", Wyd. MON, cena 40 zł.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE BROSA CUBAS

Nie jest to może najoryginalniejszy chwyt literacki — ujęcie dzieła w formę pamiętnika zza grobu. Dlatego też autor, najwybitniejszy pisarz brazylijski XIX stulecia — Joaquim Maria Machado de Assis asekuruje się we wstępie: „Jest to dzieło umarłego. Pisałem je piórem żartobliwym maczanym w atramencie melancholii nietrudno przewidzieć, co może wyjść z takiego połączenia".

Dzięki talentowi autora wyszła jednak rzecz znakomita — przeplatana często fajerwerkami humoru, a zarazem nie stroniąca od zręcznych analiz psychologicznych. Ton lekkiej ironii i dystans wobec rodzaju ludzkiego cechuje spowiedź samotnika — Brasa Cubas, którego wspomnienia ukazują obraz życia elity towarzyskiej w Rio de Janeiro XIX wieku. Niezwykle nowatorska jest też jak na tę epokę konstrukcja powieści, zawierająca wiele nieoczekiwanych rozwiązań formalnych i kalamburów.

MACHADO DE ASSIS — „Wspomnienia pośmiertne Brasa Cubas". Wydawnictwo Literackie 1974.

KIEDY CHCĘ PŁAKAĆ – NIE PŁACZĘ

Gorący, dosłownie i w przenośni, kontynent południowoamerykański, szczególnie burzliwy okres przechodził w ciągu ostatnich 10 lat. Ruchy rewolucyjne w krajach tego rejonu świata znalazły odzwierciedlenie na kartach wielu powieści. Powstała tzw. „literatura gwałtu", pragnąca jak najwierniej oddać rzeczywistość hispanoamerykańską.

Jej wymowa jest tak silna i wstrząsająca, że fikcja literacka staje się zjawiskiem wtórnym — fakty życia codziennego są bardziej wyraziste i okrutne. Tak jest też w powieści wenezuelskiego pisarza Miguela Otero Silvy „Kiedy chcę płakać – nie płaczę". Nie pomoże płacz, gdy szerzą się dokoła przemoc i gwałt. Ukazuje je autor poprzez historię trzech młodych ludzi reprezentujących trzy różne warstwy społeczne. Książka jest wyraźnym odbiciem konfliktowej sytuacji politycznej w Ameryce Łacińskiej, a mistrzostwo warsztatu pisarskiego nadaje jej wyjątkowe walory literackie. Nic więc dziwnego, że natychmiast zdobyła sobie ogromną popularność, a na jej podstawie opracowano scenariusz filmowy.

MIGUEL OTERO SILVA — „Kiedy chcę płakać — nie płaczę". Wydawnictwo Literackie 1974.

DALEKO STĄD...

„Prosta jest opowieść o Ogulinach, podobnie jak o całej naszej krainie, Paskvelji" — tak zaczyna się książka macedońskiego pisarza, Zivka Cinga „Daleko stąd, w Paskvelli". I ciągnie dalej opowieść o ludziach zamieszkujących wieś o fikcyjnej nazwie Paskvel, starych, z trudem przywykających do nowych czasów o młodych, którzy te nowe czasy i nowe sprawy z entuzjazmem i porywczością właściwą młodości, chcą jak najszybciej na swojej wsi wprowadzić. Cingo opisuje trudne lata dla macedońskiej wsi, lata okupacji, ale przede wszystkim lata po wyzwoleniu. „Rewolucja w Paskvelji nie przychodzi z muzyką i kwiatami... Cingo unika czarnobiałej kliszy. W dniach powojennego odrodzenia potrafił dostrzec i poezję, i tragedię, i legendę" — tak o książce „Daleko stąd, w Paskvelli" pisał recenzent belgradzkiej „Politiki". Jest to piękna, pełna swoistego uroku i cieplej zadumy nad losami wiejskiej społeczności, książka. Książką tchnąca autentyzmem, bo wprawdzie nazwa Paskvelja jest fikcyjna, to sprawy i ludzie są bliscy autorowi, który urodził się we wsi Velgosti nad jeziorem Ohryd i przeżywał to wszystko, co przeżywali bohaterowie jego opowiadań. Książka składa się bowiem z cyklu opowiadań, w których występują ci sami bohaterowie. Jak wiele uwagi pisarz przywiązywał do cyklu prozy „paskvelskiej", świadczy fakt, że powracał do niej kilkakrotnie, rezygnując z pewnych opowiadań i uzupełniając je o nowe.

Oddzielna sprawa, to piękny przekład polski Danuty Cirlic-Straszyńskiej. Czytając prozę Zivka Cinga nie sposób zapomnieć także o jej wkładzie pracy.

Zivko Cinko — „Daleko stąd w Paskvelji", Czytelnik, Warszawa 1974, str. 234, cena zł 20,—
Odgłosy 18c. 6-6 m.5. E.P.

WARTO PRZECZYTAĆ

P. JASIENICA — „Polska Piastów, PIW cena 16 zł.
R. MARSZAŁEK — „Pamflet na kino codzienne", W. Lit. cena 20 zł.
M. SOBOLEWSKI — „Partie i systemy partyjne świata kapitalistycznego", PWN, cena 50 zł
J. KASPROWICZ „Pisma zebrane", W. Lit. cena 95 zł
F. KAFKA — „Proces", W. Lit., cena 30 zł
R. MACDONALD — „Pasiasty karawan", Iskry, cena 30 zł
A. SCHOPENHAUER — „Aforyzmy o mądrości życia", Czytelnik, cena 30 zł
„PROBLEMY LITERATURY POLSKIEJ LAT 1890—1939", Ossolineum, cena 85 zł
„GRAFIKA WCZORAJ I DZIŚ", PWN, cena 94 zł.

KSIĄŻKA

ŻYCIE KSIĘGARZA

Z iście gawędziarską swadą napisał Stefan Szpinger swoją książkę. Zresztą już we wstępie zaznaczył, że jego celem jest utrzymanie tekstu w formie tak bezpretensjonalnej jak gawęda; pokrywa się to z obiektywną prawdą, bowiem kształt książce nadało barwne, przemyślane a chronologiczne uszeregowanie wspomnień z długiego, bogatego życiorysu. A ma autor wiele do powiedzenia. Przy tym wydarzenia, które zostały opisane, nie były zjawiskami natury elitarnej — to wszystko mogło się przytrafić każdemu, żyjącemu tam właśnie, w tych samych latach, człowiekowi. I jest to właśnie jeden z zasadniczych walorów tej książki — walor pozornej przeciętności zdarzeń. Inną zaletą jest udana w gruncie rzeczy selekcja materiału refleksyjnego i — przede wszystkim — faktograficznego, co w tego rodzaju książkach urasta do sprawy bodaj najistotniejszej. „Żeby nie było suche, żeby nie było niestrawne, czy — po prostu — nudne" — to obawa każdego pamiętnikarza. Uzasadniona obawa, bo przecież każdy z czytelników ma swoje własne życie, interesuje się życiem bliskich sobie osób; ale by zdobyć czynną obserwację ogółu dla prywatnych, obcych przecież czytającym losów, trzeba tych ludzi zainteresować, trzeba im mówić o tym, czego wysłuchanie powstrzyma ich od ponownego odłożenia książki na półkę.

Jednym z elementów potrafiących zaciekawić, jest w pozycjach typu „Na szerokiej drodze" odwoływanie się do osób, miejsc, rzeczy znanych czytelnikowi już wcześniej z innych źródeł, czy to historycznych, czy — rzekłbym — „ogólnowiedzowych". Szpinger ma możliwość zastosowania tego sposobu przyciągnięcia odbiorcy; wszak pracując w najbardziej znanej w minionym półwieczu polskiej oficynie wydawniczej — u Gebenthera i Wolffa, stykał się z wieloma ludźmi, którzy dziś pozostają postaciami legendarnymi (jak choćby wymieniany przez autora mistyk Miciński); widywał tam również pisarzy tej miary, co Henryk Sienkiewicz i Władysław Reymont, na których — jak pisze — patrzył zawsze z podziwem i niemal z uwielbieniem.

Z zainteresowaniem czyta się również fragmenty poświęcone zagranicznym wojażom naszego księgarza, tym bardziej że wyjazdy te miały miejsce na początku XX wieku — i relacja autora oddaje koloryt tej epoki. Z podróży Szpingera najlepiej opisana zdaje się być młodzieńcza wyprawa do Paryża, zresztą i sam autor — zapewne darząc ją szczególnym sentymentem — niezwykle barwnie, a nawet dowcipnie przedstawił „od kuchni" stolicę Francji z owych lat, a także opisał szereg różnego rodzaju wyczynów i awantur, które stały się jego udziałem podczas pobytu pod wieżą Eiffla. Szpinger relacjonuje także swój pobyt w Niemczech, gdzie bywał wielokrotnie. Warto w tym miejscu dodać, że autor wspomina o swoich koligacjach rodzinnych z Niemcami, stwierdzając jednakże, iż bez względu na to czuje się tylko Polakiem.

Biografia Szpingera jest pełna ciągłych niewiadomych, zmian, niepokojów i niespodzianek. Jak pisze — u kresu dzieciństwa spędzanego w większej części w Kłodzku, nie był pewny swego powołania i problem wyboru zawodu pozostawał otwarty; po ukończeniu gimnazjum, nieco protekcyjnie, otrzymał pracę księgarza w Warszawie i... tego zawodu nie chciał już nigdy zamienić na żaden inny. Pokochał go. „Pamiętnik księgarza" — tak było napisane w podtytule, i nie bez racji, bowiem autor wiele miejsca poświęca swej pracy i pasji. A że była to istotnie pasja — niechaj świadczy rozdział opowiadający o wyprawach po książki do walczącej Warszawy, do Warszawy okupowanej.

Zawód księgarza przywiódł Szpingera m. in. do Łodzi, gdzie — jeszcze w początkach stulecia — pracował w filii swego wydawnictwa. Stąd też znajdujemy na kartach książki obraz Łodzi z tego okresu, obraz sugestywny i dobrze zapamiętany, spojrzenie na Piotrkowską (która to ulica jako jedyna — zdaniem autora — podtrzymywała swym wyglądem konkurencję z prawdziwymi metropoliami), znajome nazwy, codzienny ruch: ot, to wszystko, o czym myślimy nieraz patrząc na daty wyryte na frontonach grubościennych kamienic. Ówczesna Łódź, mająca otwarte rynki zbytu w Rosji, znajdowała się w szczytowym stadium rozwoju przemysłowego, ale też coraz częściej „czerwone miasto" manifestowało swe niezadowolenie z panującego ucisku, coraz częściej w „mieście kominów" powtarzały się sceny świadczące o nasilających się z dnia na dzień konfliktach społecznych i narodowościowych. Szpinger, mieszkający wówczas w centrum, bo przy ulicy Sienkiewicza, opisał niektóre z nich. Poza tym trzeba nadmienić, że fragmenty książki dotyczące Łodzi napisano w sposób swojski, ciepły; ten fakt świadczy o uczuciowym związku autora z naszym miastem.

„Na szerokiej drodze" nie jest pierwszą książką wydaną przez zasłużonego księgarza. Poprzednia, nosząca tytuł — „Z pierwszą konną" zawierała jego wspomnienia związane z uczestnictwem w Rewolucji Październikowej; z tego też powodu autor pomija częściowo relację o tamtych dniach, uważając, że stanowiłaby ona jedynie powtórzenie zebranych już wcześniej notatek pamięci. I chyba słusznie, bo przecież każdy, kogo wspominki Szpingera przekonają do niego samego jako autora, sięgnie i po tamtą wcześniejszą pozycję.

Mimo że we wstępie „Na szerokiej drodze" czytamy, iż autor zawsze miał kłopoty z posługiwaniem się językiem polskim (!), nie uczęszczał bowiem do polskiej szkoły, później okazuje się, że ktoś, kto umiłował literaturę — potrafi również z pietyzmem — choć może i z wysiłkiem — kultywować tradycje poprawnego języka. Pisze Stefan Szpinger:

„Młodzi Czytelnicy chyba życzliwie ustosunkują się do bezpretensjonalnie skreślonych dziejów mego życia, a u starszego pokolenia, mam nadzieję, przywiodą one wspomnienia pięknych czasów młodości".

I zaprasza „na szeroką drogę" swojego życia.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Stefan Szpinger, „Na szerokiej drodze" (pamiętnik księgarza), Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1974, str. 232, zł 24,—

KSIĄŻKA

CZYHANIE NA PARADOKSY

Dzięki troskliwości wydawnictwa czytelnicy tomików Ewy Lipskiej oprócz wierszy krakowskiej poetki dostają też rzetelną informację, pouczającą z kim zacz mają do czynienia. Przy „Trzecim zbiorze wierszy" powiadomiono, iż Lipska **„zyskała sobie zgodną opinię najbardziej utalentowanej poetki—debiutantki ostatniego pięciolecia"**. Z okazji „zbioru czwartego", w poszanowaniu dialektyki rozwoju, komunikuje się, **„iż mamy (...) do czynienia z najwybitniejszą poetką młodej generacji"**.

By nie być gorszym, podejmuję się udzielać bezpłatnych informacji, czym będzie Lipska publikując „Jedenasty zbiór wierszy"; oby tylko zdrowie dopisało J. Kwiatkowskiemu, autorowi tradycyjnie cytowanych na drugim skrzydełku obwoluty opinii o wybitnej krajance.

„Czwarty zbiór wierszy" jest kolejną porcją głosów, poświęconych problematyce bliskiej i obecnej we wszystkich dotychczasowych tomikach Ewy Lipskiej. Pamiętamy sugestywną wizję totalnego zagrożenia nieobecnego jeszcze dziecka w rozchwianej rzeczywistości współczesnego świata — („Trzeci zbiór wierszy"). Jeszcze wcześniej poetyckim przeczuciem wiedziona sygnalizowała Ewa Lipska konsekwencje eksperymentu Petrucciego („29 dni" — „Wiersze"). Dopełnienie tego nurtu poetyckiej refleksji spotykamy w ostatnim tomiku. Autorka przewiduje możliwość paradoksalnej sytuacji, gdy dla dziecka „urodzonego w laboratorium" największą wartością wśród zmechanizowanego otoczenia będzie — wbrew powszechnie letargicznie obecnemu przeświadczeniu — mechaniczna lalka, wypowiadająca **„niecenzuralne słowa: mama tata"**. Kpiąc z prymarnego „wychowawczego" dążenia rodziców: dobrego, co dzisiaj znaczy też — umiejętnego — „prowadzenia się" potomków, uprzytamnia Lipska groźny paradoks szansy urodzenia dziecka „na licencji Opatrzność i Philips".

Zagrożenie „dziecięcości", więc tego, co dziś najbardziej autentyczne i szczere, zarazem „unienormalnienie" dorosłych, wybierających czy skazanych w aktualnych warunkach na niedojrzałość, łączą się u Lipskiej w „Czwartym zbiorku wierszy" z problematyką choroby „fizycznej" oraz anormalności w obrębie zdrowia psychicznego. I w tym wypadku jest to odpowiedź wierszy już opublikowanych.

„Choroba" jest u Lipskiej stanem normalnym, odpowiadającym wielości zakłóconych, „odwróconych" związków, chwiejności układów odniesienia, totalnej zewnętrznej względności i niepewności. **„Nic nie jest pewne"**, **„świat się kołysze jak wózek z niemowlęciem"** — stwierdza poetka. Kto wie, może dopiero „chory" lub „szaleniec" widzi i rozumie rzeczywistość prawdziwie taką, jaką ona jest.

„Nic nie jest pewne" — wszystko jest możliwe. I to nie tylko chore może być, w pewien sposób, zdrowe, a normalne — anormalne. Ostatni tomik Ewy Lipskiej to niemal katalog paradoksów współczesnego świata. Umarli mogą być bardziej żywi niż żywi („Dzień Żywych"). Samobójstwo nie jest skuteczną formą ucieczki od życia: **„I jak tu popełnić samobójstwo Droga Pani kiedy się już dawno nie żyje"** („Z listu (II)").

Wszystko jest względne, nawet wtedy, gdy w magazynach broni pojawią się warzywa, może się okazać, **„że chodzi tylko o zmianę amunicji"** („Nieporozumienie"). Historia i rzeczywistość są na usługach chwili, zależne od punktu widzenia. To tylko każdorazowo zmienny **„układ odniesienia, którym w każdej chwili możesz zostać ty"** („Tertium comparationis").

W niepewnym świecie (**„wielka łapka na ludzi"**), niepewny siebie człowiek, tkwiący w ubezwłasnowolniającym **„krochmalu naszych czasów"**, preferuje ostrożność: **„Nie wychylać się. Nie rzucać głowy na wiatr"**, oraz czujność: **„Rzucać kłody pod nogi myślom, aby odroczyć pytanie. Kopać dół pod szybką odpowiedzią"**. Ostrożność i czujność — po co? By ocalić głowy? Ale przecież, zdaniem autorki, można będąc żywym, być bardziej zmarłym od umarłych. — Krąg paradoksów się zamknął.

Zapewne tym razem wiersze Lipskiej nie urzekają taką jak uprzednio — zwłaszcza w „zbiorze trzecim", dociekliwością i błyskotliwością ciągów asocjacji, zrodzonych z poetyckich spostrzeżeń i wątpliwości. Bywa też, że człony metafor, kojarzonych ze znanym i podziwianym temperamentem, okaleczają się nawzajem (do tego ta mnogość metafor „dopełniaczowych").

Niemniej nowy tomik Ewy Lipskiej uzupełnia i wzbogaca odpowiedzi na pytania, już wcześniej przez nią postawione. Nie wiem, czy Lipska jest **„najwybitniejszą poetką młodej generacji"**, ale cenię jej wizję człowieka — paradoksalnego bytu w paradoksalnym świecie.

WIESŁAW PUSZ

Ewa Lipska: Czwarty zbiór wierszy, Czytelnik, Warszawa, 1974, cena 15 zł.

ROZMOWY

Tytuł tego filmu jest przewrotny, choć istotnie rozpoczyna i łączy poszczególne części filmu rozmowa o kobietach, zaś kobiety, a raczej określony sposób rozumienia ich funkcji w życiu mężczyzn wydaje się podkreślać zasadność owego tytułu. Oglądając jednak film **„POROZMAWIAJMY O KOBIETACH"** Mike'a Nicholsa, dość szybko dochodzi się do przekonania, iż jest to rzecz o mężczyznach. Myśląc zaś o tym filmie nie tylko w kategoriach przedstawionej anegdoty i nie tylko w kategoriach prostej zależności tematu k o b i e t a — m ę ż c z y z n a, odbiera się ironiczne konstatacje Mike'a Nicholsa jako wynik przemyśleń moralno-obyczajowych, a także społecznych, dla których forma satyrycznej komedii jest tylko maską.

Przy okazji wcześniejszego filmu Nicholsa, znanego również u nas „Absolwenta", krytyka amerykańska pisała, iż jest to najkłopotliwszy film roku. Określenie to powtórzyć zapewne można przy „Porozmawiajmy o kobietach". Przyczyna tej kłopotliwości tkwi zapewne w szokującej bezceremonialności i odwadze, z jaką Nichols porusza się w sferach tematów będących przecież swoistym obyczajowym tabu. Zrealizowany w 1967 roku „Absolwent" zaskoczył amerykańską publiczność zerwaniem z obowiązującymi właśnie w amerykańskim kinie stereotypami wielce sentymentalnej obyczajowości. Film „Porozmawiajmy o kobietach" mógł zatem powstać dopiero w parę lat później, a i tak swą odwagą szokować może wielu widzów polskich w większym zapewne stopniu niż publiczność kin zachodnich. Gdy przy sprawie tej na chwilę pozostajemy, warto może postawić pytanie o kryteria przesądzające o stopniu dojrzałości naszej publiczności do oglądu filmu „Porozmawiajmy o kobietach", ale nie na przykład „Ostatniego tanga w Paryżu". Przy braku kompetencji, odpowiedź piszącej te słowa dotyczyć może wyłącznie stwierdzenia, że dosłowność filmowego obrazu nie zawsze winna o decyzjach takich przesądzać.

Wracając zatem do filmu Mike'a Nicholsa, pozostawmy na boku ową „kłopotliwość", jak to w końcu film dla ludzi dorosłych i im ku przestrodze zrealizowany. „Porozmawiajmy o kobietach" to film diabelnie smutny i zapewne niewiele na duchu oglądających go może podnieść fakt, iż dzieje jego bohaterów zrośnięte są z bardzo konkretnym modelem i warunkami życia, że z okrutną ironią odsłania styl życia i frustracje współczesnych Amerykanów. Pewnym pocieszeniem może być jednak to, iż owe warunki życia narzucają określony styl, zaś styl ten niszczy wiele wartości i celów.

Mike Nichols, realizując film „Porozmawiajmy o kobietach", nawiązał niejako do „Absolwenta". Przy okazji tamtego filmu powiedział: **„Interesowałem się ludźmi przywiązanymi do przedmiotów, które następnie same przekształcają tych ludzi w przedmioty"**. Bohater „Absolwenta" był człowiekiem, który nie chciał się dać wykorzystywać jako przedmiot, tylko, którego, w pokaźnym etapie jego życia, znamionowała jeszcze aktywność i bunt. W „Absolwencie" Nichols bohatera swego pokazywał w szerokim kontekście społeczno-obyczajowym współczesnej Ameryki. Bohaterowie filmu „Porozmawiajmy o kobietach", choć poznajemy ich w tej samej chwili, w której trwa jeszcze bunt bohatera „Absolwenta" aktywności tamtego już nie posiadają.

Od początku filmu uczestniczymy w „tytułowej" rozmowie, która zachowując swą młodzieńczą naturalność w pierwszym, dorosłym etapie życia dwóch bohaterów, w etapach późniejszych pozostaje jedynym, przybierającym obsesyjny charakter monotematem, więcej — celem życia. Nichols pozbawił nas wiedzy o swych bohaterach w ich życiu dorosłym, poza sprawą jedną, sprawą łóżka. Wszystko mówi jednak o tym, iż jest to życie zawodowego seksu, pełnej stabilizacji i braku jakichkolwiek wartości wyższego rzędu. Ratunkiem pozostaje więc tylko miłość, na miłość w świecie tym miejsca też jednak być nie może — należy bowiem również do owych wartości wyższego rzędu. Zastępuje ją więc seks, pogoń za użyciem, a nie przeżyciem. Tak więc i w tym filmie, jak wcześniej w „Absolwencie", Nichols pokazuje ludzi przekształcających się w przedmioty, sprawnie funkcjonujące i pozbawione duszy.

Historia dwóch panów uprawiających „miłość", historia ich nieuniknionej drogi po równi pochyłej, odważna w ujawnianiu męskich, no nie ukrywajmy, także kobiecych problemów łóżkowych, nie tylko problemów tych dotyczy. W ich tle są szersze konstatacje, dotyczące obrazu społeczno-obyczajowych warunków i ideałów życia, prowadzących do moralnych spustoszeń, których symbolem jest opowiedziana w tym filmie historia o niemożności kochania. Jeśli publiczność naszych kin wychodzi z seansu filmu „Porozmiawiajmy o kobietach" z dziwnym nieco uczuciem, to chyba nie dlatego tylko, że rzadko u nas ogląda się filmy podobne. W tym filmie o amerykańskich paniach i panach jest wiele prawd, dla których nie tylko ich model życia jest wytłumaczeniem. O warsztacie filmowym Mike'a Nicholsa i aktorstwie tego filmu wystarczy powiedzieć to tylko, co przy „nowym" filmie amerykańskim mówi się zawsze: z n a k o m i t e.

EWA NURCZYŃSKA

PROSZĘ O GŁOS!

KINDERSZTUBA PRZEDE WSZYSTKIM

Co pewien czas wybuchają u nas dyskusje prasowe na temat szkolnictwa i nauki i trzeba przyznać, że resort robi sporo, aby te żarliwe spory podtrzymać i rozdmuchać. Przypomnijmy choćby ileż to polemicznego zapału wzbudził słynny projekt „Kodeksu ucznia", zwłaszcza ten jego przepis, który stanowił że:

„Obowiązkiem ucznia jest noszenie określonego przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania ubioru pełniącego funkcje ochronne, obuwia profilaktycznego oraz powszechnie obowiązującego stroju odświętnego, a także munduru szkolnego, jeśli to zostało określone odrębnymi przepisami".

Kodeksowa wynalazczość nie ominęła także wyższych uczelni, które zareagowały natychmiast na tę prasową dyskusję „Kodeksem etycznym pracownika naukowego". Zanim ustalona zostanie ostateczna redakcja przepisów obu projektów upłynie zapewne sporo czasu, a tymczasem życie stawia nauce i oświacie surowe wymagania. Wymagania takie stawia im także prasa, czego dowodem artykuł Kazimierza Koźniewskiego pt. „Imienia nie używaj nadaremno!", odczytywany przez jednych jako paszkwil na środowisko akademickie i panującą w nim tytułomanię, przez innych zaś wychwalany za bezkompromisowość postulatów wobec nauki. Nie mam na ten temat zbyt wyrobionego zdania, ale chciałbym się mimo wszystko z publicystą „Polityki" nieco pospierać. Formułuje on bowiem w ferworze twórczym myśli może efektowne, choć w ostatecznym rachunku pozbawione jednak słuszności. Pisze on na przykład:

„Można tylko śnić i marzyć o jednym: aby z samego społeczeństwa tak zwanych naukowców powstał jakiś odruch ozdrowienia moralnego, tak bym to może nazwał, który by poprzez kształtowanie postaw zmierzał do kilku elementarnych zmian; (...) dążył do takiego podwyższenia poziomu prac doktorskich, by zdobyć je było bardzo trudno i coraz trudniej".

Na tym kategorycznym sformułowaniu Koźniewskiego chciałbym teraz zatrzymać uwagę Czytelnika i przekonać go, że publicysta „Polityki" nie ma racji nawet tam, gdzie się rzeczywiście nie myli. Chciałoby się nawet zakrzyknąć: Hola, panie Koźniewski, hola! Trzeba sięgać głębiej, gdy się naukowców tak ogromnie obliguje!

Mam właśnie w ręku ulotkę podpisaną przez Dział Nauki i Współpracy z Zagranicą Uniwersytetu Łódzkiego, adresowaną do doktorantów, a więc ludzi, którzy po uroczystej promocji zamienią przed swym nazwiskiem mgr na magiczne już dr. Dążyć do podwyższenia poziomu prac doktorskich? Zgoda. Ale czy rzeczywiście jest to takie proste?

„Po zaproszeniu przez J. M. Rektora do promocji doktorantów danego Wydziału — nakazuje ulotka — **wyczytani wychodzą kolejno i idą środkiem sali do stołu prezydialnego. Następnie kłaniają się członkom Prezydium i promotorom, siedzącym po prawej stronie sali".**

W porównaniu z „Kodeksem ucznia", którego artykuły sformułowane zostały bardzo precyzyjnie uderza w tej ulotce nadmierne zaufanie do promowanych doktorów. Nie przewiduje ona, na przykład, jak doktorant powinien być ubrany: czy w stroju ochronnym, w mundurku czy też w ubraniu odświętnym zatwierdzonym przez władze zwierzchnie np. kierownika zakładu czy dyrektora instytutu. Nie ma także ani słowa o obuwiu profilaktycznym, skąd chyba można wyciągnąć wniosek, że dopuszczalne jest przyjście na promocję w kaloszach albo nawet boso, jeśli tylko pora roku dozwoli. Ulotka nie precyzuje także jak głęboki powinien być ukłon: do ziemi, do pasa czy może tylko poprzez skinienie głowy.

Na szczęście mniej niejasności wzbudza kolejna instrukcja:

„Dziekan wydziału odczytuje tekst ślubowania doktorskiego: na zapytanie Dziekana „Czy z całego serca ślubujecie i przyrzekacie"? — doktoranci podnosząc dwa palce prawej ręki, głośno i wyraźnie odpowiadają chórem: „Ślubujemy i przyrzekamy".

Znacznie bardziej skomplikowane jest zalecenie następne:

„Po wręczeniu dyplomu przez Promotorów — doktorant dziękuje (przez podanie ręki) Promotorowi, Rektorowi i Dziekanowi Wydziału".

Uderza, że ulotka nie precyzyje, którą powinno się podawać rękę, lewą czy prawą, a może obie jednocześnie i doktorant narażony zostaje na niemałą próbę samodzielnego myślenia. Na szczęście koniec ceremonii został przewidziany już bez niedomówień.

„Z kolei — stwierdza ulotka — **doktorzy skłaniają się Prezydium oraz pozostałym promotorom i odchodzą na swoje miejsca".**

Jak stąd jasno wynika uzyskanie promocji nie jest wcale takie ułatwione: doktorant powinien bezbłędnie i ze zrozumieniem opanować treść ulotki, aby nie popełnić w czasie ceremonii rażącego błędu, który mógłby spowodować cofnięcie promocji. Wyrobienie sobie pamięci na pewno przyczynia się do podniesienia poziomu prac doktorskich, a dodatkową korzyścią społeczną jest nabycie przez promowanego kindersztuby. Kindersztuba przede wszystkim! Niestety, ulotka nie precyzuje już czy doktorant powinien ustępować miejsca promotorowi w tramwaju ani też w jaki sposób powinien mu się kłaniać. No cóż, autorzy ulotki wyszli chyba z założenia, że doktora powinno cechować samodzielne myślenie.

JERZY DARNAL

TURYSTYKA Z OGŁOSZEŃ DROBNYCH

Ogłoszenia drobne są lekturą pasjonującą. Ktoś kiedyś twierdził (bodaj czy nie Bolesław Prus), że z ogłoszeń więcej można wyczytać prawdy o życiu niż z sążnistych artykułów. Może jest w tym nieco przesady, niemniej dużo można się dowiedzieć z tej lektury.

Niepotrzebne są mi statystyki na temat turystycznych wojaży rodaków. Wystarczy poczytać ogłoszenia drobne.

Czytam więc: „Futro karakułowe duże sprzedam" — **ogłasza się pani R. z ulicy... mniejsza o to. I już wiem, gdzie pani R. urlop spędzała. Albo taki anons:** „Sygnet i pierścionek sprzedam" — **ogłasza się ktoś z ulicy Antycznej w Warszawie. No i jasne — ten ktoś spędzał urlop tam gdzie i pani R.**

Ale geografia turystyczna jest niesłychanie rozległa. Ludzie jeżdżą do Szwecji („Sprzedam sumator „Facit" model 1210 z kwitem celnym") — **do Anglii** („Sprzedam brokat angielski do dekoracji szkła") — **do Włoch** („Sprzedam automat do lodów Carpigiani")...

Szczególnym zainteresowaniem turystów cieszy się Szwecja i sumatory „Facit". W jednym tylko numerze „Życia Warszawy" naliczyłem pięć ofert sprzedaży sumatorów. Ale ludzie jeżdżą wszędzie — do NRD („Sprzedam akordeon Royal Standard prod. NRD") **i do RFN** („Sprzedam złotą folię do ram, prod. RFN"), **a także do Grecji** („Sprzedam łapki karakułowe greckie")...

Turystyka kwitnie! Ogłoszenia drobne to taka dziwna, autonomiczna rubryka, gdzież wbrew logice i przepisom można zaoferować sprzedaż Fiata 126 za 100 tysięcy złotych, choć cena państwowa jest o wiele tysięcy niższa. Ogłoszenia drobne to po prostu tzw. kawał życia.

Mój przyjaciel, kiedy się z nim podzieliłem tymi refleksjami, powiedział: „Popatrz, tylu ludzi jeździ na Węgry i nikt jeszcze się nie ogłosił — „Sprzedam receptę na sprawne działanie handlu"...

Ano, cóż, łatwiej sprzedać sumator niż koncepcję. Sumatorów u nas mało, a koncepcji aż nadto.

JERZY WILMAŃSKI

PANORAMA PUBLIKACJI

Prezentacja dorobku kulturalnego Łodzi i województwa łódzkiego w ramach „Panoramy Trzydziestolecia" dobiega końca. Odbyło się już wiele łódzkich imprez w Warszawie, a wszystkie one wzbudziły zainteresowanie publiczności i krytyki.

PLASTYKA

...nadal znajduje się w centrum uwagi krytyków. **Wojciech Krauze** w **„Życiu Warszawy"** stwierdza na marginesie recenzji z wystawy „Tendencje w sztuce łódzkiej":

„W ramach Panoramy 30-lecia PRL łodzianie przywieźli do Warszawy wiele ciekawych wystaw, lecz pokaz pn. „Tendencje w sztuce łódzkiej" eksponowany w salach Muzeum Narodowego, przewyższa pod każdym względem wszystko, co przedstawiły dotąd inne regiony".

W podobnym tonie pisze o wystawie „Tendencje w sztuce łódzkiej" **Magdalena Hniedziewicz** w **„Kulturze":**

„Dokonanie wyboru na tego typu wystawę — zarazem przekrojową i retrospektywną — jest zawsze niezmiernie trudne i stawia przed organizatorami cały szereg problemów. Tu przyjęto zasadę wyboru niewielu autorów, za to reprezentowanych dość dużą ilością prac, oraz układu chronologicznego i problemowego jednocześnie. Dał to doskonałe rezultaty — wystawa jest jedną z ciekawszych i staranniej pomyślanych ekspozycji, jakie mieliśmy możność ostatnio oglądać w Warszawie. Jest to zarazem pierwsza chyba prezentacja łódzkiego środowiska plastycznego jako całości".

Ekspozycja tkaniny artystycznej na Zamku w Warszawie zdaniem **(grt z „Expressu Wieczornego" „ukazuje skrótowo przy pomocy wspaniałych eksponatów początki spontanicznego rozwoju polskiej tkaniny artystycznej w latach sześćdziesiątych".**

ŁÓDŹ LITERACKA

...zainteresowała **(grl)** z **„Trybuny Ludu", który z okazji wystawy pod tytułem „Łódź literacka — tradycje i współczesność"** przypomniał nie tylko przeszłość literacką „złego miasta", ale też zwrócił szczególną uwagę na współczesność.

„Stworzone w 1957 roku „Wydawnictwo Łódzkie" — pisze w „Trybunie Ludu" (grl) — **ma na swym koncie 875 wydanych tytułów — wśród nich 515 — to książki stworzone przez pisarzy związanych z miastem na stałe"**

(grl) zwraca uwagę na **„bezpośrednią inspirację przez wielkoprzemysłowe środowisko o olbrzymich tradycjach rewolucyjnej walki i robotniczego trudu, środowisko podlegające stałym, burzliwym przemianom".**

„Dzisiejsza Łódź — pisze dalej (grl) — **jest miastem dobrym dla każdego trudu — i ludzkich rąk i ludzkich myśli, i ludzkiej wyobraźni".**

W TEATRACH

...Warszawy gościły zespoły Łodzi. **August Grodzicki** w **„Życiu Warszawy"** recenzując „Kubusia Fatalistę" w wykonaniu zespołu Teatru Nowego z Łodzi wykrzykuje w recenzji zatytułowanej **„Duży sukces Teatru Nowego":**

„Cóż za urocze przedstawienie"!

Pisze on:

„Z osiemnastowiecznej powiastki, mądrej, frywolnej i zabawnej, powstał minimusical, współczesny w środkach teatralnych i w pełni udany".

Podobała się również „Matka Courage" w wykonaniu zespołu Teatru Powszechnego z Łodzi. **Zastępca** z **„Expressu Wieczornego"** analizuje ewolucję roli matki Courage, stwierdzając, że:

„Andrzejewska autentycznie wzrusza, ani na chwilę nie chce nam wmawiać, że rozumie co to wojna. Bo czyż to można pojąć. I tym jest nowa wielka kreacja. Mała markietanka pomnożyła galerię polskich Matek Kuraż".

August Grodzicki pisząc na łamach **„Życia Warszawy"** o tym przedstawieniu stwierdził m.in.:

„Całe przedstawienie trzyma się zasady Brechta, że „teatr to przede wszystkim opowiadanie jakiejś historii". Opowiada więc historię „Matki Courage i jej dzieci" — taki jest pełny tytuł sztuki. Opowiada ze spokojem, bez mocniejszych akcentów dramatycznych, ale w sposób płynny i zajmujący. Aktorzy w tym opowiadaniu wypełniają solidnie swoje zadania...."

A o kreacji Jadwigi Andrzejewskiej:

„Zamierzenia reżysera realizuje w pełni Jadwiga Andrzejewska. Jej Courage jest na pewno postacią żywą i bliską".

W sali Domu Kultury Zakładów im. Róży Luksemburg Teatr Ziemi Łódzkiej wystawił dwie adaptacje powieści: Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament" i Jerzego Wawrzaka „Linia". Występy Teatru Ziemi Łódzkiej w Warszawie stały się dla **Zastępcy** z **„Expressu Wieczornego"** okazją do sprezentowania Czytelnikom krótkiego zarysu dziejów tego teatru.

W artykule pod tytułem **„Rozświetlanie mroków"** Zastępca pisze:

„Aż w końcu 1970 roku nowy dyrektor Jan Perz uznał, że pora już na teatr innego formatu. (...)

Widownia żywo zareagowała na te propozycje, zaczęła interesować się swoim teatrem. A wielkość to niebagatelna: w 1973 roku przekroczyła 120 tysięcy osób. Nie tylko w Piotrkowie, Tomaszowie, Sieradzu czy Kutnie, również we wsiach położonych głęboko, tam, gdzie przysłowiowy diabeł mówi dobranoc".

Bliżej obiema inscenizacjami zajął się **August Grodzicki** na łamach „Życia Warszawy".

„Łódzka adaptacja — pisze on o „Popiele i diamencie" — **przedstawia powieść Andrzejewskiego niejako panoramicznie, poprzez wszystkie wątki, mające w sumie charakteryzować owe czasy. (...)**

Nie wyszło to przedstawieniu na dobre. Słabość aktorstwa i niefortunność niektórych rozwiązań reżyserskich w tak mocnym zbliżeniu obnażyły się bezlitośnie.

„Powieść „LINIA" Jerzego Wawrzaka (...) — pisze dalej August Grodzicki w artykule: „Dwie adaptacje powieści" — **daje autentyczny kawał naszego życia zarówno w swej zewnętrznej otoczce obyczajowej, jak i w głębszej problematyce politycznej. (...)**

Postacie żywe w powieści, w teatrze wypadły dość schematycznie, jednakże ważna problematyka polityczna i tak przebija z przedstawienia, dociera do widza i może go zainteresować. Mimo że reżyser wyposażył ten realistyczny faktomontaż — jak brzmi podtytuł — w nieznośne sceny z zupełnie innej parafii, z przedziwnymi ewolucjami tiulem z drabinami i świetlnym migotaniem".

HALO, TU ŁÓDŹ

W czasie trwania „Panoramy Trzydziestolecia", kiedy to w Warszawie odbywają się łódzkie imprezy rośnie zainteresowanie sprawami łódzkimi i częściej niż to było do tej pory Łódzki Ośrodek Telewizyjny gości na ogólnopolskiej antenie telewizyjnej. Łódź pokazała niedobry, pomieszany w konwencji, zbyt wszystkoistyczny, aby móc pokazać istotę łódzkich przemian — reportaż pod tytułem „Druga młodość miasta". Przeszedł on bez większego echa i dobrze. Natomiast **(grl)** z **„Trybuny Ludu"** odnotował ostatni program rewiowy ŁOT — **„Dobry wieczór — tu Łódź".** Programy te podobają się, co pozwoliło (grl) na ogólniejsze stwierdzenie:

„W przeciwieństwie do innych telewizyjnych programów rozrywkowych o walorach łódzkiego widowiska decydują nie nowatorskie pomysły scenarzystów, nie intelektualna koncepcja, a bogactwo oprawy, jakość poszczególnych fragmentów i tempo spektaklu. Jak w tradycyjnej rewii".

Ale ostatni program z tego cyklu, emitowany właśnie w czasie trwania łódzkich dni w ramach „Panoramy Trzydziestolecia" nie przypadł do gustu recenzentowi „Trybuny Ludu".

„I jeśli można w tym programie — pisze (grl) — **pochwalić bogactwo oprawy, umiejętność operowania baletem (...) to zawiodła — nie po raz pierwszy — jakość poszczególnych występów piosenkarskich.**

Szkoda także, że — tym razem po raz pierwszy — zawiodła w łódzkiej rewii reżyserska sprawność, tempo przedstawienia".

Na łamach **„Expressu Wieczornego" (peg)** przypomina inicjatywę Stowarzyszenia Muzyki Estradowej z Łodzi — I Krajowe Targi Estradowe. Pisze on:

„Ostatnio zmienia się trochę pejzaż rodzącego się przemysłu rozrywkowego i — co tu ukrywać — dobrych wzorów nie trzeba szukać daleko. Gdzie? W Łodzi. Od pięciu lat działa tam Stowarzyszenie Muzyki Estradowej...."

Oprac. M. R.

OBYCZAJE

PROCES O AFORYZM

Jest taki słynny aforyzm Stanisława Jerzego Leca: „Każdy ma swój punkt widzenia, tylko nie każdy z niego coś widzi". Nie miałem dotąd wątpliwości, że myśl tę wyraził w ten właśnie sposób St. J. Lec.

A jednak... W numerze 35 „Nowin Jeleniogórskich" aforyzm ten wydrukowano w stałym cyklu „Myśli Pozłacanych", podpisywanych przez niejakiego HS. Pan HS postanowił uczesać nieuczesane myśli Leca, pozłocić je swoją fałszywą pozłotką, podpisać swoim nazwiskiem i wziąć forsę.

Aforyzm jest bardzo mikrospopijnym gatunkiem literackim — czasem zawiera nie więcej niż pięć słów. Trudno więc aforyzm chronić przed plagiatem, trudno szperać po książkach i wyławiać „myśli" już kiedyś napisane, udowadniać kradzież... Dlatego plagiator aforyzmów czuje się bezpieczny.

Tak właśnie bezpieczny czuje się pan HS z „Nowin Jeleniogórskich", który w swoim dorobku ma aforyzmy Rabindranatha Tagore, francuskich i niemieckich myślicieli, nawet mądrości wschodnie. Pan HS jest przekonany, że w Jeleniej Górze nie czytają nic oprócz „Nowin".

Trafiła jednak kosa na kamień. Panu HS nie wystarczyły odstrzały na terenie autorów nieżyjących, wziął się za żywych. M. in. splagiatował aforyzmy znanego wrocławskiego aforysty, Henryka Jagodzińskiego. Jak na ironię, on to właśnie na łamach wrocławskiego „Słowa Polskiego" prowadzi akcję pod nazwą „Bądź autorem własnej myśli".

Pan HS nie przejął się tym hasłem i postanowił zostać autorem myśli cudzych.

Jagodziński jednak jest z wykształcenia matematykiem, a więc człowiekiem systematycznym, dociekliwym i dokładnym. Wziął więc trzy roczniki „Nowin Jeleniogórskich" i znalazł tam całą niemal światową aforystykę podpisaną przez pana HS. Zapragnął więc poznać bliżej tego pomysłowego człowieka. Wystosował list do redaktora naczelnego gazety, zapowiadając proces o plagiat. Oczywiście o plagiat własnych utworów — umarli myśliciele, niestety, nie mogą upomnieć się o swoje.

I tu spotkała Jagodzińskiego niespodzianka. Redaktor naczelny „Nowin" odpisał, że „Nie mogę podać imienia i nazwiska (pana HS. przyp. mój), ponieważ zarówno obyczaje dziennikarskie jak i odpowiednie przepisy upoważniają kierownictwo redakcji do rozszyfrowania kryptonimu czy pseudonimu współpracownika jedynie w wypadku orzeczenia sądowego".

„Takie są moje obyczaje" — zda się mówić redaktor naczelny „Nowin". I podał jeszcze jeden ważki argument: „Nasz współpracownik, podpisujący się kryptonimem HS, nazwany przez Pana początkującym autorem, przynajmniej od kilku lat należy do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich".

Czyli — członek SDP może popełniać plagiaty?

W sumie — śmieszna sprawa. Ktoś naiwny popełnia oczywiste plagiaty, redakcja zasłania go dobrym obyczajem i legitymacją Stowarzyszenia.

Ale, jak się rzekło, Jagodziński jest uparty. W tej chwili ma już bogate archiwum „dorobku" pana HS (mimo wszystko wzdragam się nazwać go k o l e g ą HS) i występuje do sądu o przywłaszczenie praw autorskich.

Będzie to zapewne pierwsza w Polsce sprawa o kradzież aforyzmu. Zapowiada się ciekawy proces.

J WIL

POWIĘKSZENIA

REWELACJE

Nieoceniony **(rog.)** z „Przekroju" poinformował swoich czytelników o nowym wstrząsającym fakcie. Oto na grobie Rudolfa Valentino od paru lat nie zjawia się „tajemnicza wiekowa dama".

Czytamy już tę rewelację od paru lat.

Dalej **(rog.)** informuje, że Jukka Kuoppamaki, z zawodu piosenkarz, będzie miał szóste dziecko i że był w Polsce siedem razy.

Coś tu się bilans nie zgadza.

Szczytów bzdury natomiast sięga rewelacja, że chicagowski rzeźbiarz przysyła swe prace na aukcję w Warszawie. Na warszawską aukcję przybędzie także pewien kolekcjoner z... Chicago, aby jedną z prac zakupić. I zawieźć z powrotem do Chicago?

Choć skończyły się upały **(rog.)** przeszedł sam siebie.

MODA

„Express Ilustrowany" donosi: **„Moda wysokich butów utrzymuje się nadal (...) Cienkie gumy i inne twarde, sztywne spody zostały definitywnie wyeliminowane".**

I słusznie, bowiem aktualna moda światowa wraca właśnie do... cienkich spodów. Tego zdania jest także Centralne Laboratorium Przemysłu Obuwniczego propagując w „Przekroju" aktualną modę na sezon jesienno-zimowy. Prezentowane tam buty mają cienkie spody. Właśnie te, które zostały „definitywnie wyeliminowane".

Czyli — wszystko po staremu. Prywatnych szewców znów czeka złoty sezon.

GEOGRAFIA

Stanisław Wyszomirski pisze w „Kulisach": **„We wrześniu 1972 roku w Rzeszowie dwaj młodzi mężczyźni — 19-letni Janusz Dębiński i niespełna 18-letni Konstanty Feder zamordowali taksówkarza...".**

Pan. W. Pisze to na marginesie filmu „Zapis zbrodni". Na filmie pan Wyszomirski może się zna, z geografią — gorzej.

„Z MIESZANYMI UCZUCIAMI"

W moim felietonie muzycznym pt. „Z mieszanymi uczuciami", zamieszczonym w nr 41 „Odgłosów" wypadł dość istotny fragment, bez którego dalszy wywód, dotyczący udziału w koncercie Tadeusza Chmielewskiego niejasno się tłumaczy i nabrał nawet nieco opacznego sensu, o czym donoszę z mieszanymi uczuciami.

JERZY KWIECIŃSKI

OD REDAKCJI: Serdecznie przepraszamy Czytelników i Autora za to nieporozumienie wynikłe z przyczyn technicznych.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi Adres redakcji: ul. Piotrkowska 06, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79 217-98 oraz 293-00 wew 29, 39 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwart 36 zł Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 2290. C-4. Nr indeksu 37006.